

Z nowego
świata

Spis treści

| | |
|-------------------------|------------|
| Rozdział 1 | 4 |
| Rozdział 2 | 23 |
| Rozdział 3 | 44 |
| Rozdział 4 | 66 |
| Rozdział 5 | 88 |
| Rozdział 6 | 111 |
| Rozdział 7 | 132 |
| Rozdział 8 | 154 |

Autor przekładu z nieoficjalnego tłumaczenia angielskiego na język polski: Jovex
Korekta: Eqeminiv

Wszelkie prawa autorskie do powieści 新世界より (Z Nowego Świata) należą do Yusuke Kishi.

Ten dokument jest fanowskim tłumaczeniem, nieautoryzowanym przez posiadacza praw autorskich.

Autor tłumaczenia nie rości sobie jakichkolwiek praw do treści powieści.

Autor przekładu nie wyraża zgody na umieszczanie tego tłumaczenia na stronach innych niż znowegoswiatapl.wordpress.com, helheim.pl oraz centrum-mangi.pl

W razie pojawienia się tłumaczenia oficjalnego dokument ten zostanie natychmiastowo usunięty z Sieci.

Część II: Letni mrok

Rozdział 1

Po około godzinnym marszu, nasze lekkie z początku plecaki zaczęły ciążyć coraz bardziej i bardziej, aż ostatecznie wydawało nam się, że zapakowaliśmy do nich kajaki. Nasze tempo spadło tak bardzo, że ledwo co się przemieszczaliśmy.

Od czasu, gdy tylko rozpoczęliśmy naukę w Akademii Mędrców, polegaliśmy na cantusie w celu wykonywania wielu czynności i prawdopodobnie zaniedbaliśmy sprawność fizyczną naszych ciał. Odebranie nam mocy sprawiło, że poczuliśmy się tym bardziej słabi i bezradni.

Co jakiś czas Rijin schodził ze swojego siedziska zrobionego z lotosu i obserwował nasze ślimacze ruchy z pogardą i rozdrażnieniem; nigdy jednak nie odezwał się ani słowem. Najpewniej uważał, że rozmowa z nami jest bezcelowa.

Lotosowy fotel unosił się dwa metry nad ziemią. Rijin siedział w nim po turecku, medytując. My wlekliśmy się jakieś trzydzieści metrów za nim, a gdy na niego patrzyliśmy, było to zupełnie jakbyśmy obserwowali go z dna stawu.

– To jest dopiero prawdziwa lewitacja – szepnął Shun, próbując stłumić emocje.

Nawet dorośli, którzy wyuczyli się wszystkiego, co oferuje Akademia Mędrców, nie w każdym przypadku umieli zrobić coś takiego. Natomiast w porównaniu do naszego przyspieszania płynących kajaków, był to zupełnie inny poziom.

– Rozumiem, w jaki sposób sprawić, żeby lewitował przedmiot, na którym się siedzi, ale jaki dokładnie obraz on sobie wyobraża, by napędzać w powietrzu samego siebie?

Na początkowych lekcjach korzystania z cantusu, uczyliśmy się, jak poruszyć nieruchomym obiektem. Aby poruszać w powietrzu samym sobą, trzeba skoncentrować się na punkcie w stałej odległości od własnego ciała, co jest znacznie trudniejsze. Ludzie, tacy jak Rijin, którzy trenowali latami, wyobrażają sobie prawdopodobnie siebie jako

wspomniany nieruchomy punkt, względem którego przesuwa się reszta świata.

– Obraz, który widzi nie ma już żadnego znaczenia, nie? – powiedział posępnie Satoru. – Nie zanosz się na to, byśmy kiedykolwiek mogli ponownie używać swojego cantusu.

Wszyscy zamilkliśmy. Pozostający przez ten cały czas na granicy łez Mamoru w końcu wybuchnął płaczem. Również Maria zaszlochała.

– To nieprawda. Nie gadaj takich rzeczy! – spojrzałam na Satoru. – Z pewnością go odzyskamy!

– Skąd możesz to wiedzieć? – odparł Satoru, oglądając się do tyłu z nietypową dla siebie zaciekłością.

– Nie straciliśmy mocy. One zostały tylko tymczasowo zapieczętowane.

– Naprawdę myślisz, że zamierzają je odpieczętować? – Satoru pochylił się w moim kierunku. W jego głosie dało się wyczuć delikatną nutkę groźby. – Pamiętasz, co mówił fałszywy minoshiro, prawda? Jesteśmy zgniłymi jabłkami, które za dużo wiedzą. Wkrótce zostaniemy przeznaczeni do likwidacji.

– To...

Nie potrafiłam mu odpowiedzieć.

Shun odwrócił się w moją stronę.

– Nie zauważyłaś niczego dziwnego, Saki? – spytał, jeszcze ciszej niż Satoru.

– Dziwnego?

– Ten cały Rijin. Od jakiegoś czasu nienaturalnie się zachowuje.

– Nie widzę niczego podejrzanego. Czy on taki nie był od początku? – wymamrotał Satoru, zerkając przelotnie na mnicha.

– Moment... Rzeczywiście wygląda dziwnie.

Nie zauważyłam tego wcześniej, gdyż do tej chwili byłam skupiona jedynie na własnych problemach. Rijin rzeczywiście zachowywał się nietypowo. Ruchy jego ciała były nienaturalne. Siedział w pozycji medytacyjnej, więc powinien oddychać,

wykorzystując mięśnie brzucha, jednak wyraźnie było widać, jak z każdym oddechem unoszą się jego ramiona. Do tego tył jego głowy błyszczał się od potu.

– Może jest chory? – podsunął Shun.

– A co to nas obchodzi? Czemu mielibyśmy się nim przejmować? – burknął Satoru.

– Nie... Jest tak, jak podejrzewałem. – Coś najwyraźniej potwierdziło przypuszczenia Shuna.

– Więc co, według ciebie, mu jest?

– To klątwa fałszywego minoshiro.

– Przecież już mówiłem, że to było kłamstwo, pamiętasz? – prychnął Satoru. – To tylko taka plotka, nic więcej.

– Nie, zdaje się, że to nie jest taka zupełna bzdura. Pamiętasz, jak fałszywy minoshiro płonął? – Pytanie Shuna było skierowane do mnie.

– Tak, pewnie.

– Na krótką chwilę pojawił się nad nim obraz człowieka, zgadza się? Matki trzymającej dziecko.

– Co to ma do rzeczy?

– Uważam, że używał tego obrazu w celu obrony przed ludźmi.

– Też tak pomyślałam.

– Kiedy to zobaczyłem, zrobiło mi się naprawdę niedobrze. Wam też, nie mylę się? Skoro Rijin był osobą atakującą fałszywego minoshiro, to nie ulega wątpliwości, że odczuł to znacznie silniej od nas. Płomienie zgasły prawdopodobnie dlatego, że został zdekoncentrowany.

– Więc myślisz, że to... uczucie jest efektem tamtego widoku?

Wciąż nie domyśliłam się sensu jego słów.

– To uczucie jest śmiertelnym sprzężeniem zwrotnym. Dokładnie tak, jak mówił minoshiro.

Zaparło mi dech. Dlaczego wcześniej sobie tego nie uświadomiłam?

– Po tym, jak fałszywy minoshiro wyświetli obraz, wszystko czego potrzebuje to sekunda przerwy w ataku wroga, pozwalająca na ratowanie się ucieczką. Jednak dla ludzi, ta jedna chwila wystarczy, by aktywować mechanizm sprzężenia. Mimo to śmierć nie jest natychmiastowa, ponieważ celem ataku nie jest prawdziwy człowiek.

Analiza przeprowadzona przez Shuna była zdumiewająco dogłębna. W przyszłości prawdopodobnie zostaną przeprowadzone badania nad podatnością aktywacji mechanizmu śmiertelnego sprzężenia zwrotnego na klątwę fałszywego minoshiro, lub raczej na wyświetlane przez niego obrazy. Po ujrzaniu takiej sceny, nawet wiedząc, że jest to tylko iluzja, w podświadomości zadomawia się wizja ohydneho aktu wyrządzenia krzywdy innemu człowiekowi. Po miesiącu lub dwóch, racjonalna kontrola nad wspomnieniem osłabia się i zaczyna ono powracać, powodując aktywację śmiertelnego sprzężenia zwrotnego, skutkującego natychmiastowym zgonem.

– Więc mówisz, że on umrze za jakiś miesiąc? – spytał triumfalnie Satoru. – To będzie kara za niszczenie własności biblioteki.

– Prawdopodobnie nawet szybciej – odparł Shun, patrząc w zamyśleniu na Rijina.

– To nawet lepiej, nie? Jeśli umrze, nie będzie mógł nikomu donieść o tym, co zrobiliśmy.

– Nie wygaduj takich głupot! – wysyczałam. – Teraz żadne z nas nie może używać cantusu, zapomniałeś? Jeżeli on zginie i nas tu zostawi, to jak, na bogów, wrócimy do domu?

To były moje własne słowa, a pomimo tego, gdy ujrzałam w oczach przyjaciół strach, sama zadrzałam. Ponownie uderzył mnie ogrom naszej bezradności wobec całej tej sytuacji.

Gdybyśmy jednak mieli dalej zmierzać w kierunku Świątyni Czystości, nie wydawało mi się, byśmy mogli oczekiwać w tamtym miejscu ciepłego przyjęcia, tak jak powiedział Satoru. Bez względu na to, jak długo o tym myślałam, pozbycie się nas było jedyną możliwą rzeczą, której mogliśmy tam oczekiwać. Nawet jeśli o tym

widzieliśmy, podjęcie zuchwałej próby ucieczki mogłoby okazać się jeszcze gorsze w skutkach. Z deszczu pod rynnę. Byliśmy w sytuacji bez wyjścia.

Na takich rozmyślaniach upłynęły dwie godziny. Nasze tempo stawało się coraz wolniejsze, aż w końcu zaczęło się nam wydawać, że przegralibyśmy wyścig nawet ze ślimakiem. Wątpiłam, że w ogóle uda nam się dojść do Świątyni Czystości, jeśli pójdzie tak dalej.

Nagle coś zaszeleściło w krzakach po mojej lewej. Rijin odwrócił się, a liście i gałązki uniosły się w powietrze. Gdy kamuflaż został zniszczony, ujrzeliśmy stworzenie, które próbowało się przed nami ukryć.

– Dziwoszczur – wyszeptał Shun.

Sięgnęłam pamięcią do tamtego dnia, gdy po szkole spotkaliśmy dwa dziwoszczury, które o mało co nie utopiły się w kanale. Ten tutaj był prawie dwa razy większy, być może nawet równie wysoki jak ja. Wyglądało na to, że jeszcze nie zdaje sobie sprawy z tego, co się stało; węszył w powietrzu swoim pomarszczonym pyskiem.

– Ale wygląda jakoś inaczej...

Miałyśmy z Marią takie same odczucie. Na plecach dziwoszczura znajdował się łuk i strzały, a poza tym był ubrany w coś przypominającego skórzany pancerz, jednak to nie ten ekwipunek był najdziwniejszy. W jego wyglądzie brakowało czegoś ważnego.

– Co jest z nim nie tak? Czemu zachowuje się tak zuchwale?

Satoru trafił w samo sedno. Żaden z dziwoszczurów, które wcześniej widzieliśmy nie prezentował takiej postawy. Tamta dwójka z Trociniarek Czerwic, którą uratowaliśmy, była tak posłuszna, że praktycznie płaszczyła się nawet przed nami, dziećmi. Dla kontrastu, ten dziwoszczur nie okazywał nawet cienia strachu, gdy stał przed lotusowym siedziskiem Rijina.

Stworzenie nagle, bez uprzedzenia, odwróciło się.

– Gagagaga! Grrrrr. Chichichichichi. ☆▲Å! – zaczęło wyrzaskiwać.

To, co stało się później, było kompletnie nie do uwierzenia. Dziwoszczur wyciągnął jedną ze strzał i wycelował ją w Rijina, mrużąc swoje czerwone, perliste oczy.

W ułamku sekundy zarówno łuk jak i strzały zostały pochłonięte przez białe płomienie. Dziwoszczur upuścił je z piskiem i próbował uciekać, ale Rijin użył cantusu do schwywania i przyciągnięcia do siebie wierzgającego i wrzeszczącego stwora.

– Ty, zwykłe zwierzę, ośmielasz się unosić na mnie rękę? – spytał chłodno Rijin wydającego niezrozumiałe dźwięki dziwoszczura, po czym rzucił jego stożkowate nakrycie głowy. – Brak tatuażu, co? Skąd jesteś?

Dziwoszczur obnażył swoje żółte zęby i groźnie zawarczał. Najwyraźniej nie rozumiał naszej mowy.

– W Japonii nie ma dzikich kolonii. Musisz być z obcego plemienia – mruknął Rijin.

Mnich obrócił dziwoszczura do góry nogami, podobnie jak my uczyniliśmy to z krabem tygrysim. Następnie zrobił ponownie, jednak tym razem pozostawiając głowę stwora nieruchomo. Dziwoszczur wydał z siebie ostatni pisk, po czym zawisł bezwładnie ze skrzyconym karkiem. Rijin odwrócił się w naszą stronę, pozwalając, by zwłoki upadły na ziemię.

– Wygląda na to, że obce plemiona w jakiś sposób zdołały wdrzeć się na nasze ziemie – powiedział. – Jako, że jestem odpowiedzialny za to, byście dotarli bezpiecznie do świątyni, może okazać się to małym problemem – skrzywił się. – Oznacza to, że musicie mi trochę pomóc. Oczywiście na tyle, na ile możecie.

Usłyszeliśmy ulotny dźwięk, który sprawił, że Satoru wzdrygnął się i obrócił na pięcie, żeby spojrzeć do tyłu. Malująca się na jego twarzy panika zaczynała mnie coraz bardziej stresować.

– Skoro masz zamiar odwracać się co dziesięć sekund, czemu nie zaczniesz po prostu iść tyłem?

– O co ci chodzi? Jak ty właściwie możesz iść sobie tak bez troski? Tak jak już ci mówiłem, jesteś totalnie oderwana od rzeczywistości – odburknął Satoru.

– Spójrz na Shuna i Marię. Idą zupełnie z przodu, ale żadne z nich nie boi się tak, jak ty.

– Nie rozumiesz, kretynko? Ostatniej osobie zawsze grozi największe niebezpieczeństwo. – Twarz Satoru poczerwieniała z gniewu. – Nie pamiętasz już, że tamten dziwoszczur nawoływał coś, co znajdowało się za naszymi plecami? Jego pobratymcy mogą być wszędzie!

– Wiem.

– Nie uważasz więc, że będą chcieli go pomścić? I czy w takim razie zaatakowałyby nas od frontu? Przecież wtedy byśmy ich zobaczyli, prawda?

Rozumowanie Satoru było słuszne. Nie chciałam jednak tego przyznawać, aby nie dawać mu satysfakcji. Rijin również musiał być świadomy tego, że na tych, którzy stanowią straż tylną, czyha większe zagrożenie. Mówiąc inaczej, prawdopodobnie uznał, że Maria i Shun są na tyle wartościowi, że zasługują na ochronę, natomiast strata Satoru i mnie byłaby do zaakceptowania.

Podążając tym tokiem rozumowania, najwyraźniej osobą o największej wartości był ten z nas, kto został potraktowany najokrutniej – Mamoru. Siedział on na lotosowym fotelu, który stał się sterowanym mocą Rijina punktem obserwacyjnym, unoszącym się wcześniej niż poprzednio, bo około trzy metry nad ziemią. Dla wszystkich było jednak oczywiste, że mnich używa Mamoru jako przynęty.

Rijin trzymał się niedaleko z tyłu, obserwując wszystkie kierunki swoimi bystrymi, sokolimi oczami. Bardzo silnie się pocił, co było efektem stworzonej przez Minoshiro projekcji, ale od czasu, gdy zabił dziwoszczura, stało się to znacznie widoczniejsze.

– Coś tam jest! – krzyknął Mamoru z lotosowego siedziska.

– Wszyscy stać! – zakomenderował Rijin.

Zatrzymaliśmy się, rozglądając się nerwowo dookoła.

– Co widzisz?

– Nie jestem pewien, ale coś się... Coś się porusza. Jakieś sto metrów przed nami – odpowiedział Mamoru. Jego usta drżały.

Rijin wyglądał na głęboko pogrążonego w myślach

– O czym on myśli? – zapytałam Satoru.

Satoru oblizał usta.

– Jeśli dziwoszczury czekają w ukryciu, a my nie przestaniemy iść do przodu, znajdziemy się w zasięgu ich strzał – wyjaśnił spokojnie. – Nieważne, jak dużą mocą dysponuje mnich, wciąż jest tylko człowiekiem. Jest wrażliwy na ataki wroga z zaskoczenia, więc w sytuacji takiej jak ta, najlepiej jest poruszać się z dużą ostrożnością.

Nawet posiadając wszechpotężną moc, którą jest cantus, nadal umiera się od strzały. To pobudza do refleksji.

Gdyby więc rzeczy rzeczywiście miały się potoczyć w taki sposób, lepiej byłoby, gdyby nasz cantus nie został zapieczętowany. Jestem pewna, że Rijin też żałował wtedy, że to zrobił. Miałam nadzieję, że zdecyduje się na odpieczętowanie naszych mocy, niestety, jak się okazało, nie dane nam było takie szczęście.

– Mamoru Itou – powiedział Rijin, spoglądając w górę, na lotosowy fotel – Posłuchaj uważnie. Czy widzisz jakieś dziwoszczury? Dobrze się przyjrzyj. Nie bój się. Obronię cię swoim cantusem. Nie dosięgnie cię ani jedna z ich strzał.

Gdy Mamoru uświadomił sobie, co ma za chwilę nastąpić, jego twarz stała się zupełnie biała.

– N-nie... Przestań!

Reszta naszej grupy wstrzymała oddech, gdy lotosowe siedzisko podryfowało w kierunku miejsca, gdzie mogły ukrywać się dziwoszczury i zatrzymało się tam. Fotel obrócił się raz lub dwa wokół własnej osi. Czekaliśmy w napięciu, jednak nic się nie wydarzyło. Ostatecznie Rijin przyciągnął z powrotem olbrzymi kwiat lotosu i zmierzył Mamoru ostrym wzrokiem.

– No i? Gdzie są dziwoszczury?

– Nie wiem. – Z twarzy Mamoru odpłynęła cała krew; chłopiec trząsł się jak małe, przerażone zwierzątko. – Niczego... Niczego nie widziałem.

– Nie mówiłeś wcześniej, że widziałeś, jak coś się porusza?

– Ale teraz niczego nie dostrzegłem. Poprzednio musiało mi się wydawać.

Rijin skinął głową, ale nie wznowił od razu marszu. Był nie tylko wprawnym użytkownikiem cantusu; cechowała go też przebiegłość. Po krótkim namyśle spojrzał ponownie w górę.

– Twierdziłeś, że dostrzegłeś ruch gdzieś tam – powiedział do Mamoru, wskazując kierunek.

Mamoru przytaknął bezgłośnie.

– Więc czas na sterylizację.

Usłyszeliśmy dudniący dźwięk, gdy niedaleko przed nami ziemia zaczęła się poruszać. Drzewa padały jedno po drugim. Kiedy kamienie i błoto zaczęły przecinać ze świstem powietrze, mieliśmy wrażenie, że ziemia zwija się niczym olbrzymi wąż. W niecałe pięć minut piękny zielony zagajnik został pogrzebany pod górą gleby. Nie mieliśmy pojęcia, czy rzeczywiście kryły się tam dziwoszczury, jednak teraz przestało już to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Od teraz mieliśmy przemieszczać się jeszcze wolniej.

Nie trzeba nadmieniać, że byliśmy dość ostrożni, idąc przez obszar „wysterylizowany” przez Rijina. Wyglądało to tak, jakby sam Niszczyciel Śiwa przetoczył się tamtędy z całą swoją destrukcyjną mocą, siejąc spustoszenie wśród pięknej scenerii i pozostawiając za sobą orszak śmierci i strachu. Nieważne, jak bardzo wojownicze były tamte obce dziwoszczury; gdyby teraz choćby pomyślały o zaatakowaniu nas, byłoby to skrajną głupotą.

Efekty zniszczeń były jednak niekorzystne dla obu stron. Droga dziwoszczurów została zablokowana, więc nie musieliśmy już obawiać się frontalnego ataku, ale również my pozbawiliśmy się najszybszego sposobu na dotarcie do Świątyni Czystości przed zmrokiem.

Nie muszę dodawać, że jedynym powodem, dla którego w ogóle się śpieszyliśmy była obecność obcych dziwoszczurów. Przyczyna i skutek były jednym i tym samym; jedno wynikało z drugiego, przypominając węża, zjadającego własny ogon.

Kiedy wspięliśmy się na połowę wysokości nowo uformowanego wzgórza, ujrzelśmy pierwsze rzędy obronnej formacji dziwoszczurów.

– Och! Co to jest? – krzyknął idący z przodu Shun.

Kiedy dotarliśmy na szczyt, naszym oczom ukazały się nagle setki sylwetek. Wszystkie dziwoszczury uderzały w swoje bronie, gongi i inne metalowe przedmioty, czyniąc rozdzierający hałas, będący specyficznym wezwaniem do bitwy.

– Wygląda na to, że przygotowują się do szarży na nas. – Głos Marii w połowie zdania zamienił się w pisk.

– Nie ma dla was miejsca w trzech wymiarach; tylko łaska Buddy pozwala wam istnieć w waszych zwierzęcych powłokach. A wy nadal w swej głupocie próbujecie rzucać mi wyzwanie – powiedział Rijin śmiertelnie poważnym tonem. – Niech i tak będzie; unicestwię was wszystkich.

Nie – pomyślałam. One nie mają zamiaru nas zaatakować.

Gdyby rzeczywiście ich intencją była napaść, uderzyłyby na nas od tyłu. Nie zrobili tego jednak, kierując się zamiast tego drogą, która, jak miały nadzieję, pozwoli im uniknąć konfrontacji. Gdy dobrze się wsłuchałam, to co wzięłam za okrzyk bitewny brzmiało raczej jak chóralne, pełne bólu błaganie, a nie jak wezwanie do walki.

Poczułam na policzkach podmuch wiatru. Uniosłam wzrok i ujrzałam, że Rijin stworzył coś, co wyglądało jak olbrzymia trąba powietrzna. W odpowiedzi zawrodozenie dziwoszczurów jeszcze bardziej przybrało na sile. W następnej chwili, wszystkie uwięzione w powietrznym wirze głązy runęły w dół i zaczęły staczać się po zboczu. Fruwające kłody i kamulce miażdżyły całe rzędy dziwoszczurów zanim zdążyło się choćby mrugnąć okiem.

Nastąpiła sekunda ciszy, po czym powietrze rozdarł przeraźliwy, przepełniony strachem i gniewem wrzask. W naszą stronę poleciał prawdziwy grad strzał. Nie były jednak one żadnym wyzwaniem dla rozszalałego wiatru, który sprawił, że zostały daleko odrzucone w dzikim, wirującym tańcu.

– Wy plugawe robale... Unicestwię was – wysyczał złowrogo Rijin zachrypniętym głosem.

– Przestań! – krzyknęłam. Nikt mnie jednak nie słuchał.

Mój głos został zagłuszony przez wycie wiatru, które brzmiało jak ostrze noża rozdzierające jedwab, albo podwyższony o oktawę kobiecy pisk. W tamtym momencie wydawało mi się, że widzę nieprzebrane zastępy skrzydlatych, uzbrojonych w kosy demonic, wynurzających się spod ziemi i nacierających na dziwoszczury. Niezależnie od tego, czy ta wizja była prawdą czy tylko iluzją, dziwoszczury padały jeden po drugim. Zdałam sobie sprawę, że patrzę na Kamaitachi.¹ Silny wir powietrzny z podciśnieniem we wnętrzu, działający jak niezliczone noże, siekające ofiarę w plasterki. Żeby stworzyć coś takiego przez cantus, trzeba precyzyjnie wyobrazić sobie ruch powietrza – coś, co z natury jest niewidzialne i pozbawione formy. Jest to więc skrajnie trudna technika, którą udało się opanować tylko niewielu.

W okamgnieniu armia dziwoszczurów została zdziesiątkowana. Czułam jak moja głowa wiruje. Pomimo, że w rzeczywistości stałam zbyt daleko, by było to możliwe, mogłabym przysiąc, że widzę bryzgającą krew i czuję jej okropny zapach.

– Tak! Udało mu się... Spójrz, tam! Uciekają!

Stojący przy mnie Satoru krzyczał podekscytowanym głosem, zupełnie jakby cała ta masakra była tylko jakąś grą.

– Zgłupiałeś? Co cię tak bawi? – zapytałam ostro.

¹ Kamaitachi (jap. 鎌鼬?) – yōkai występujący w japońskim folklorze, najczęściej spotykany w regionie Kōshin'etsu. Nazwa składa się z dwóch słów: kama oznacza sierp, itachi - rodzaj łasicy. Jest tłumaczona jako "łasicca o pazurach jak sierpy". Najczęściej jest przedstawiany jako jedna z trójki łasic o ostrych pazurach, zdolna zadawać rany cięte z prędkością wiatru lub dosiadająca wirów powietrznych.

– Ale... One są naszymi wrogami, nie? – odparł, patrząc na mnie beznamiętnie.

– To nie są nasi prawdziwi przeciwnicy.

– Więc kto nimi jest?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, było już po wszystkim. Hekatomba w imię Buddy, dokonana przez mnicha, który przysiągł mu służbę. Na wzgórzu nie pozostał nawet jeden żywy dziwoszczur.

– No dobrze... Kontynuujmy – zarządził Rijin. W jego głosie było słychać znużenie.

Satoru i ja spojrzeliśmy na siebie nawzajem.

Gdy wspinaliśmy się na szczyt wzgórza, mieliśmy okropny widok na miejsce śmierci dziwoszczurów. Stosy porozrywanych ciał, odciętych głów i poszatkowanych kończyn wały się u naszych stóp. Wszystko wokół nasiąkło rdzawą krwią, łącznie z glebą, która zabarwiła się od niej na czarno. Jej smród wwiercał się w moje nozdrza i oczy. Muchy, które wydawały się pojawić znikąd, zaczęły już swoją ucztę na zwłokach. Idący z przodu Maria i Shun zawahali się na chwilę widząc ogromną chmurę tych owadów.

Rijin wiedział, że wszyscy mamy nadzieję, że pozbędzie się much, jednak mnich zastygł w miejscu, nie wykonując nawet najmniejszych ruchów.

– Co się dzieje? – spytał cicho Satoru.

Sylwetki – pomyślałam instynktownie. Z dużej odległości nie sposób było odróżnić zarys człowieka od sylwetki dziwoszczura. Rijin znajdował się już pod wpływem klątwy fałszywego minoshiro, więc gdy zabijał dziwoszczury wietrzną kosą, jego podświadomość prawdopodobnie zinterpretowała to jako morderstwa dokonywane na kolejnych ludziach. Jeśli tak było w istocie, tym razem śmiertelne sprzężenie zwrotne mogło zadziałać z pełną mocą.

– Rijin, wszystko z tobą w porządku? – zapytał Shun.

– Tak... Nie martwice się – odparł mnich po krótkiej pauzie. W jego oczach było widać pustkę, a głos brzmiał dziwnie.

Skupiliśmy na Rijinie całą naszą uwagę, więc nie zauważyliśmy, że pod osłoną kurtyny z much coś podpełza do ciał.

– C-co to jest? – wydusiła Maria, odwracając się do tyłu.

To było dziwne zwierzę.

Wielkością zbliżone do psa, pokryte długą, czarną sierścią. Z potężnym, zwalistym cielskiem kontrastowała nienaturalnie mała głowa, którą trzymało zwieszoną tak nisko, że skradając się w naszą stronę, prawie szorowało nią po ziemi.

– Bombopies! – wrzasnął Mamoru zduszonym głosem.

– O czym ty gadasz? One są zmyślane – uciał Satoru, kompletnie ignorując fakt, że jeszcze całkiem niedawno ze śmiertelną powagą próbował nas przekonywać o ich istnieniu.

– Jakby na to nie patrzeć, jeden właśnie przed nami stoi – odparł Mamoru, broniąc własnego zdania.

– I myślisz, że zaraz zaczniesz nadymać się do rozmiarów balonu? Coś tak głupiego nie...

Jakby na komendę, po usłyszeniu słów Satoru, bombopies nagle zaczął puchnąć, podwajając swoją wielkość.

– Och, naprawdę się nadał!

Myślałam, że zwierzę po prostu wciąga powietrze, by sprawić wrażenie powiększania się, ale gdy tylko bombopies na nas łypnął, zaczął pęcznieć jeszcze bardziej.

– Wszyscy do tyłu!

Na słowa Shuna wszyscy zaczęliśmy biec, starając się jak najbardziej powiększyć dystans między nami i bombopsem.

– I co teraz się stanie? – spytałam.

– Nie mam pojęcia. – Shun wyglądał na zafascynowanego. – Ale jak na razie, zachowuje się dokładnie tak, jak w historii Satoru. Być może będzie nadal się nadymał, aż w końcu eksploduje.

Jak na rozkaz, bombopies ponownie zwiększył swoje rozmiary.

– Ale po co?

– To groźba – wyszeptał Shun.

– Groźba?

– Prawdopodobnie chce nas odstraszyć od tego miejsca.

Bombopies powoli przemieszczał się w kierunku Rijina, jedynego z naszej grupy, kto się nie wycofał. Nie widząc żadnej reakcji ze strony mnicha, nadał się jeszcze mocniej. Był teraz wielkości wyjątkowo grubego barana.

Dlaczego Rijin się nie rusza? – pomyślałam. Zerknęłam na niego z ciekawością, ale mnich nie rozbił nic poza staniem tam z zamkniętymi oczami. Możliwe, że był ogłuszony.

Bombopies zatrzymał się na chwilę, czekając w ciszy, po czym raptownie trzykrotnie zwiększył swoją objętość. Jego ciało było teraz prawie idealnie kuliste, a spomiędzy szorstkiego włosa zaczęły prześwitywać białe promienie światła.

– To znak ostrzegawczy...? O nie, w nogi! – wrzasnął Shun.

Uciekaliśmy jakby gonila nas sama śmierć, gnając w dół zbocza ile sił w nogach. Pozostali biegli bez oglądania się za siebie, ale w moim przypadku ciekawość wzięła górę i zatrzymałam się, spoglądając za siebie. Zobaczyłam, że bombopies nadał się już do nieprawdopodobnych, przerażających rozmiarów.

Rijin w końcu otworzył oczy. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, zanim bombopies stanął w oślepiających płomieniach.

Usłyszeliśmy ogłuszający huk, a gwałtowny podmuch wiatru ściał nas z nóg.

Byliśmy na zboczu, jakieś trzydzieści metrów poniżej bombopsa. Jestem pewna, że gdybyśmy stali na płaskiej powierzchni, wybuch zabiłby nas.

Naprawdę wolałabym nie opisywać tego, co stało się później. Po chwili, jaką potrzebowaliśmy na otrząśnięcie się z szoku, cofnęliśmy się, by zajrzeć do pozostałego po eksplozji krateru.

Rijin znajdował się tak blisko centrum wybuchu, że jego ciało zmieniło się w niezidentyfikowaną miazgę. Ponieważ nie mogliśmy skorzystać z cantusu, by go pochować, przysypaliśmy tylko lekko ziemią jego zwłoki. Sama ta prosta czynność sprawiła, że zebrało mi się na wymioty.

– Saki, spójrz na to – powiedział Shun, pokazując coś, co właśnie wygrzebał głęboko spod ziemi.

– Co to jest? – Zawahałam się i nie wzięłam przedmiotu do rąk.

Shun zaprezentował mi trzymaną rzecz w taki sposób, bym mogła się jej dobrze przyjrzeć. Wyglądało to jak dysk otoczony obwódką z sześciu piórkowatych kolców sterczących w różnych kierunkach.

– Przypomina turbinę wodną.

– To prawdopodobnie część kręgosłupa bombopsa.

– Kręgosłupa?

Satoru podszedł bliżej i wziął przedmiot od Shuna, a następnie obrócił go kilkakrotnie w dłoniach.

– Jest twardy jak skała. I ciężki. Gdybyśmy tym oberwali, pewnie już byśmy nie żyli.

– Są tak ukształtowane, by po eksplozji bombopsa mogły wyfrunąć w różnych kierunkach.

– Ale po co?

– Żeby zabić wrogów.

Gdy się rozejrzałam, zobaczyłam więcej takich części wystających z gleby. Ramiona pokryła mi gęsia skórka. Bombopies był w stanie dokonać tak ogromnych zniszczeń...

Satoru przysunął nos do kości i powąchał ją.

– Co ty wyprawiasz? – Wyobraziłam sobie zapach krwi i mimowolnie się skrzywiłam.

– Pachnie trochę jak fajerwerki.

– Naprawdę? Więc chyba już mam – powiedział Shun, najwyraźniej sam do siebie. – Wnętrznosci bombopsów są prawdopodobnie wypchane siarką i saletrą, z których może powstać proch. Samo nadymanie się aż do momentu pęknięcia nie wywołałoby tak potężnej eksplozji... Niektóre z ich kości działają jak krzesiwo, produkujące iskrę, która rozpoczyna całą reakcję.

– C-co? Naprawdę istnieją zwierzęta które wyewoluowały by być zamachowcami-samobójcami?

W świecie zwierząt zjawisko powiększania rozmiarów w celu odstraszania przeciwnika nie jest niczym niezwykłym, ale czy wysadzanie się w powietrze, gdy wróg ignoruje sygnały ostrzegawcze nie przynosi efektu odwrotnego do pożądanego?

– Ta. Shun, mówiłeś to już wcześniej, zanim tu trafiliśmy. Jeżeli bombopсы tylko by wybuchały, ich gatunek wymarłby w mgnieniu oka.

– Tak też myślałem. Ale właśnie przypomniało mi się, że w jednej ze starych ksiąg biologicznych, które czytałem, natknąłem się na opis podobnego zwierzęcia – odparł.

– To ich jest więcej? – spytaliśmy jednocześnie z Satoru.

– Tak. I przez analogię, wiem mniej więcej czym naprawdę są bombopсы.

– Czym?

– Och tak? Więc są bardziej psem czy bardziej balonem? – zażartował Satoru.

To była nasza reakcja na szok – dać choć na chwilę upust emocjom.

– Przestańcie gadać o bzdurach – Maria w końcu nie wytrzymała i wybuchła gniewem. – Czy wy w ogóle zdajecie sobie sprawę, w jakiej sytuacji się właśnie znaleźliśmy? Pozostawieni sami sobie pośrodku niczego, a do tego żadne z nas nie może użyć cantusu...

Przestaliśmy się uśmiechać.

– Masz rację – przyznał Shun po chwili zupełnej ciszy. – W każdym razie, wróćmy tam, skąd przybyliśmy. Dzisiejszej nocy będziemy musieli spać pod gołym niebem.

– Hej...! – powiedział nerwowo Satoru, ciągnąc Shuna za ramię. Wskazał ruchem policzka na krater.

Podążyliśmy za nim wzrokiem i zamarliśmy. Trzydzieści lub czterdzieści metrów przed nami stała grupa postaci, obserwując nas w milczeniu. Dziwoszczury.

– I co teraz zrobimy...? – spytała Maria łamiącym się głosem.

– Czy to nie oczywiste? – odpowiedział Satoru. – Ruszemy w ich stronę i zaatakujemy.

– Zaatakujemy? Niby jak mamy to zrobić bez cantusu? – odparłam.

– One tego nie wiedzą. Jeśli zaczniemy uciekać, okażemy swoją słabość i zaczną nas ścigać.

– Ale jeżeli pójdziemy naprzód, zostaniemy schwytani – powiedział Mamoru cienkim głosem.

– Dokładnie! Musimy zwiewać – dodała Maria.

Kiedy spojrzałam na dziwoszczury, utwierdziłam się silniej w swoim przekonaniu. – One nie mają zamiaru walczyć. Chcą tylko, byśmy się oddalili – powiedziałam.

– Skąd wiesz? Jeśli tak jest, to one powinny stąd pójść – upierał się Satoru.

– Tutaj są ich nory.

To właśnie było powodem, dla którego ta grupa walczyła, nie zważając na śmierć. Bombopies musiał też...

– No dobrze, wycofajmy się powoli – powiedział Shun. Przejmował dowodzenie tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. – Zachowajcie ciszę i nie prowokujcie ich. Jeśli pomyślą, że się boimy, będzie po nas.

Nie musiał już niczego dodawać. Cofaliśmy się najciszej, jak potrafiliśmy. Szybko zapadł zmierzch, i za każdym razem gdy usłyszałam chrzęst kamienia pod butem, zamierałam ze strachu.

Dziwoszczury obserwowały bacznie nasz odwrót po zboczu wzgórza, ale nie okazywały żadnych zamiarów podjęcia pogoni.

– Saki miała chyba rację. Nie chcą walczyć – powiedziała Maria z ulgą.

– Jest zbyt wcześnie, by stwierdzić to z całą pewnością – stwierdził ponuro Satoru. – Mogą po prostu odwlekać atak do momentu, aż nasza czujność zostanie uśpiona.

– Czemu wciąż gadasz takie rzeczy? – warknęłam. – Cieszy cię to, że się nas obawiają?

– Spoko, mam powiedzieć coś bardziej optymistycznego? – odburknął Satoru.

– Satoru ma prawdopodobnie rację – odezwał się niespodziewanie Shun.

– Dlaczego?

– Saki nie myliła się, twierdząc, że nie chcą walczyć w tamtym miejscu. Może dlatego, że znajdują się tam ich gniazda. Jednak kto wie, co zrobią, gdy dostatecznie się oddalimy.

– Ale... Co miałyby osiągnąć, atakując nas?

– Człowieku, nie widziałeś, co zrobił wcześniej Rijin? Jak myślisz, ile dziwoszczurów zabił? Śmierć tylko jednego z nas ich nie usatysfakcjonuje.

Rozumowanie Satoru było przygnębiająco logiczne.

– Ale one są przekonane, że wciąż mamy cantus, prawda? Będą chciały uniknąć większej ilości niepotrzebnych ofiar – powiedziała Maria.

– Jak wspomniał wcześniej Rijin, to obce plemię. – Shun pokręcił głową. – Kiedyś mogły być ucywilizowane, ale przez długi czas nie miały kontaktu z ludźmi. Pamiętacie tego pierwszego zwiadowcę, którego złapaliśmy? Nie miał pojęcia, czym jest cantus.

– To prawda, ale teraz już wiedzą. Czy to nie nauczyło ich, że powinny się go obawiać? – spytałam cicho, próbując przeanalizować sytuację z punktu widzenia dziwoszczurów.

– Dokładnie tak. Dlatego właśnie jeszcze nas nie zaatakowały. Jednak w najlepszym wypadku, jedynie połowicznie wierzą w nasze umiejętności.

– Czemu?

– Prawdopodobnie uznały, że gdyby to one dysponowały taką mocą, jak nasza, zmasakrowałyby nas już dawno temu.

Zapadła cisza tak ciężka, że trudno było oddychać.

– Jak myślisz, jakie mają teraz zamiary? – spytał Shuna Satoru.

– Gdy oddalimy się wystarczająco od gniazd, bardzo prawdopodobne jest, że na nas ruszą.

– I co stanie się, jeśli nie będziemy w stanie nawiązać walki?

Milczenie Shuna wystarczyło za odpowiedź.

– Więc jak duża odległość od gniazda jest dla nich wystarczająca? – zapytała zatroskana Maria.

– Nie potrafię powiedzieć tego z całą pewnością – Shun spojrzał w górę. – Ale najniebezpieczniejszym miejscem prawdopodobnie jest podnóże wzgórza.

Rozdział 2

Ponieważ poruszaliśmy się jeszcze wolniej, niż poprzednio, było już całkowicie ciemno gdy dotarliśmy do stóp wzgórza.

Cała byłam oblana okropnym, zimnym potem. Z trwogi skostniały mi dłonie.

Dziwoszczury podążały za nami w milczeniu, utrzymując stały dystans.

Według wyjaśnień Shuna, podejmowanie kardynalnych decyzji, takich jak wypowiedzenie wojny wymaga znalezienia odpowiedniego miejsca kluczowego. Musi być ono dobrze widoczne, położone tam, gdzie natura i zdolność orientacji łączą się i wpływają na siebie wzajemnie.

Przykładowo, można sobie wyobrazić uzbrojonego w łuk i strzały łowcę, ścigającego jelenia. Zwierzę gna przez puszcę, wybiegając w końcu na brzeg rzeki, gdzie szanse myśliwego na celny strzał znacząco rosną. Wraz ze zmianą otoczenia zmieniają się też panujące warunki. Refrakcja światła na powierzchni wody nie tylko ułatwia orientację; zwiększa też pole widzenia łowcy, dzięki czemu jest on w stanie stwierdzić, że z łatwością ustrzeli swoją ofiarę. Wszystkie te czynniki sprzyjają jego wysiłkom.

Do tej chwili wszystkie działania dziwoszczurów były bardzo ludzkie. Dlatego właśnie Shun przewidział, że będą próbowały wykorzystać ukształtowanie terenu do zdobycia przewagi. Jeśli ich gniazda rzeczywiście znajdowały się na szczycie wzgórza, naturalną granicą, za którą zaatakują musiała być linia łącząca wzniesienie z otaczającym je płaskim terenem.

– Co robimy? – spytałam Shuna. Czułam, że był on jedyną osobą, na której mogliśmy wtedy polegać.

– Musimy rozdzielić się, gdy tylko znajdziemy się w lesie. Nie ma innego wyjścia.

Gdybyśmy trzymali się razem, stalibyśmy się łatwym celem dla dziwoszczurów. Decyzja o rozdzieleniu się nie była łatwa, ale, tak jak powiedział Shun, to było wszystko, co mogliśmy zrobić.

– Jeśli zaczną was atakować z ukrycia, po prostu biegnijcie ile sił w nogach. Jeżeli dacie się złapać, to koniec z wami, więc starajcie się też w miarę możliwości oszczędzać energię. Oddalcie się na tyle, na ile zdołacie. Gdy upewnicie się, że brzeg rzeki jest bezpieczny, idźcie w kierunku ścieżki, którą dziś obraliśmy. Spotkamy się w miejscu ukrycia kajaków.

Szanse na to, że wszyscy ponownie się zobaczymy były raczej mizerne. Czy idea rozdzielenia się nie zakłada bowiem przede wszystkim, że niektórzy zostaną poświęceni, aby pozostali zdołali zbiec?

– A zanim dobiegniemy do lasu? – zapytał Satoru, przybliżając się do Shuna.

Zrozumiałam co miał na myśli, zanim jeszcze skończył mówić. Krawędź lasu znajdowała się dobrych pięćdziesiąt metrów od podnóża wzgórza. Na tej przestrzeni nie było żadnych drzew ani głązów, za którymi moglibyśmy się schronić, więc stalibyśmy się łatwymi celami.

Maria załkała. Ponownie z całą mocą dotarła do mnie powaga sytuacji, w której się znaleźliśmy. Objęłam jej drżące ramiona i dotknęłam czołem do jej czoła, próbując podnieść ją na duchu.

Wkrótce znów zaczęliśmy dyskutować ściszonymi głosami. Zastanawialiśmy się nad intencjami wrogów. Czy mają zamiar tutaj zaatakować? Czy może po prostu chcą się upewnić, że odchodzimy?

Gdybyśmy założyli, że zamierzają na nas ruszyć, musielibyśmy jak najszybciej biec do lasu. W ten sposób jednak natychmiast wydałoby się, że nie możemy użyć cantusu. Akt ucieczki z pewnością sprowokowałby je do ataku, a w takim wypadku prawdopodobieństwo przeżycia całej naszej piątki byłoby nieprawdopodobnie niskie.

Z drugiej strony, gdybyśmy zaryzykowali, uznając, że nie zostaniemy zaatakowani a okazałoby się inaczej, bylibyśmy straceni.

– Jedyne wyjście to wstrzymanie się od działania i obserwowanie ich reakcji dopóki nie zbliżymy się do stóp wzgórza.

– W głosie Shuna wybrzmiewała delikatna nutka przekory.

– Kto pójdzie przodem, żeby się przekonać, co zrobią? – spytał Satoru.

– Wszyscy kładziemy swoje życie na szali – westchnął Shun.

– Głosujmy więc.

Z powodu subtelnych pagórków i zagłębień, nie dało się jednoznacznie określić granicy między wzgórzem i otwartym polem. Pogłębiający się mrok otulał wszystko cieniem, rozmywając zarysy otoczenia. Przekroczyliśmy punkt, który, jak uznaliśmy, był miejscem kluczowym i kontynuowaliśmy marsz przez otwartą polanę, nie wiedząc, kiedy spodziewać się lecącej w naszym kierunku ze świstem strzały.

Mój oddech stał się szybszy i płytszy. Czułam silne pulsowanie w skroniach. Mimo, że musiałam być przygotowana by zerwać się do biegu w każdej chwili, moje nogi były jak z waty, niezdolne do podjęcia wysiłku.

Odwróciłam się po cichu i spojrzałam na oświetlone słabym blaskiem księżycą wzgórze. Dziwoszczury wciąż nie ruszyły się z miejsca. Nadal śledziły nas wzrokiem ze swojego punktu obserwacyjnego w połowie zbocza.

Dobrze, dobrze. Po prostu tam zostańcie. Zaraz nas tu nie będzie. Nikt wam nie zagraża. Wiecie przecież, co się stanie, jeśli do nas strzelicie, prawda? Jeśli tylko pozwolicie nam odejść, nic się nie stanie. Jednak gdy spróbujecie nas zranić, zabijemy was wszystkie. Więc proszę, stójcie, tam gdzie stoicie jeszcze przez chwilę... – mówiłam do siebie błagalnie w myślach. Ponownie odwróciłam się do przodu i zamarłam. Zobaczyłam cztery czarne sylwetki. Jedna z nich unosiła dłoń.

– Kto to? – odezwał się ktoś ściszym głosem.

– T-to ja – wyjąkał Mamoru. Wydaje mi się, że powinniśmy uciekać, i to już.

– O czym ty mówisz? Wszystko będzie w porządku, jeszcze tylko kawałeczek.

Mamoru opuścił rękę i wszyscy poczuliśmy lekką ulgę. Jeśli trzy osoby podniosłyby dłonie, byłaby to większość. W rzeczywistości jednak, nawet jeśli nie przeprowadzilibyśmy demokratycznego głosowania, i tak wystarczyłoby, żeby jedno z nas spanikowało i zaczęło biec, by cały plan legł w gruzach. Pomyślałam, że gdy dziwoszczury zaczną atakować, wszyscy będziemy musieli uciekać, jakby goniła nas sama śmierć.

– Saki, idziesz zbyt szybko.

Głos Shuna sprawił, że wróciłam do rzeczywistości. Okazało się, że bezwiednie przyspieszyłam i mój chód zamienił się w trucht.

– Och, przepraszam – powiedziałam, zwalniając i kajając się w myślach za panikowanie.

– Jeszcze tylko trochę – powiedział Satoru. – Shun, gdy zbliżymy się do drzew na dwadzieścia metrów, zacznijmy biec. Minie kilka sekund zanim zaczną strzelać. Z pewnością zdołamy w tym czasie dobiec do lasu.

– Ale możemy tam się ukryć. Jeżeli nie będziemy biegli, może one... – Mamoru zaciął się w połowie zdania, ponownie unosząc dłoń.

– Hej! Za nami! To... – powiedziała Maria zdławionym głosem.

Odwróciłam się i poczułam jak boleśnie zaciska mi się serce. Dziwoszczury zbiegały w dół zbocza.

– Nadchodzą! – wrzasnęła Maria, unosząc dłoń. Dwa głosy za.

– Czekać! Jeszcze nie. To nie oznacza, że zamierzają atakować – próbował uspokoić ich Shun. Nie opuścili jednak swoich rąk.

Również Satoru niepewnie zaczął unosić swoją dłoń

– Zaczekaj – powiedziałam do niego. – Już prawie jesteśmy. Jeszcze tylko...

Nagle usłyszeliśmy świszczący dźwięk. Strzała przeleciała nam nad głowami, a następnie wbiła się w ziemię tuż przed granicą lasu.

Wiedziałam, że to sygnał do rozpoczęcia bitwy.¹ Nie czekając na wolę większości, pobiegliśmy najszybciej, jak potrafiliśmy.

Po raz pierwszy w życiu gnałam tak, jakby zależało od tego moje przetrwanie, lecz niezależnie od tego, jak bardzo starałam się wyteżać nogi, wydawało mi się, że w ogóle się nie poruszam. Czułam się jak w sennym koszmarze.

Mimo tego granica puszczy powolutku się zbliżała. *Jeszcze tylko kawałeczek.*

Dopiero gdy wpadłam do lasu i zaczęłam lawirować między drzewami, uświadomiłam sobie jak szybko biegłam.

– Nie trzymajcie się blisko siebie! Rozdzielcie się i zwiewajcie!
– rozbrzmiał spomiędzy drzew głos Shuna.

Skręciłam ostro w prawo i zaczęłam gnać przez zarośla, aż w końcu nie mogłam już usłyszeć głosów ani kroków moich przyjaciół. Byłam zdana tylko na siebie.

Jedynym dźwiękiem, który słyszałam, było moje własne dyszenie. Pędziłam tak szaleńczo, że nie miałam pojęcia, gdzie się znalazłam. Tak czy owak, nie mogłam się zatrzymać, dopóki nie dobiegnę do celu.

Jeszcze kilka chwil wcześniej miałam przy sobie czworo przyjaciół; teraz zostałam sama jak palec. Strach przed pogonią dziwoszczurów, połączony z wywołanym samotnością niepokojem sprawił, że poczułam nieprzyjemny ucisk w piersi. Moim jedynym towarzyszem był wyglądający zza drzew księżyc.

Ciężko było oddychać; z trudem łapałam powietrze i sapałam, próbując dostarczyć płucom większej ilości tlenu. Miałam wrażenie, że uda mam z ołowiu, a w łydkach czułam nieprzyjemne mrowienie.

Osiągnęłam już granicę swoich możliwości. Chciałam zatrzymać się i odpocząć, ale gdybym to zrobiła, prawdopodobnie zostałabym zabita.

Jeszcze trochę. Wytrzymaj jeszcze trochę.

¹ Kaburaya - strzała ze specjalnym grotem wydającym gwizdzący dźwięk, często używana jako sygnał do rozpoczęcia bitwy

Gdy tylko wypowiedziałam do siebie w myślach te słowa, potknęłam się o coś.

Próbowałam utrzymać równowagę, ale moje ciało zeszywniało. Po krótkim locie runęłam jak długa na ziemię.

Wiedziałam, że muszę natychmiast się podnieść, ale w całym ciele czułam przeszywający ból, który nie pozwalał mi się ruszyć. Udało mi się jakoś przewrócić na plecy. Ujrzałam żółtawy blask księżyca, który wydał mi się jaśniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Chłodna gleba odebrała całe ciepło mojego ciała. Leżałam tam, niezdolna do zrobienia czegokolwiek poza oddychaniem. Moja klatka piersiowa unosiła się i opadała jak ogromny miech.

Czy ja tu umrę? – przyszło mi nagle do głowy. Byłam jeszcze młoda; śmierć wydawała mi się czymś abstrakcyjnym.

– Saki! – rozbrzmiał gdzieś w oddali nawołujący mnie głos.

To był Satoru. Zbliżał się w moją stronę.

– Saki, wszystko w porządku?

– Satoru... uciekaj – zdołałam w końcu z siebie wykrztusić.

– Możesz się poruszyć?

Głos był coraz bliżej. Ujrzałam nad głową spoglądającą na mnie twarz. Nie mogłam dostrzec jej wyraźnie, ale bez wątpienia należała do Satoru.

– Chyba nie.

– Nie poddawaj się. Szybko, zbierajmy się stąd – powiedział Satoru, dźwigając mnie. Z jego pomocą udało mi się jakoś stanąć ponownie na nogach.

– Możesz biec?

Pokiwałam głową.

– Więc pójdziemy.

– Nie... Już za późno.

– O czym ty mówisz?

Spojrzałam ponad ramieniem Satoru. On sam również się odwrócił. Wśród mroku mieniły się setki błyszczących oczu. Dało się usłyszeć ciche oddechy.

– Dziwoszczury kompletnie nas otoczyły.

Byłam przekonana, że tamto miejsce stanie się naszym grobem. Na szczęście okazało się jednak, że się myliłam. Grupa dziwoszczurów mierzyła w nas grotami włóczni, zmuszając nas do marszu naprzód. Wyglądało jednak na to, że nadal trochę się nas obawiają; cały czas utrzymywały dystans co najmniej trzech metrów. Dzięki temu nie zostaliśmy związani i nie byliśmy popychani. Ostrza ich broni pozostawały jednak cały czas wycelowane w naszą stronę, a kilka kroków dalej kolejna grupka trzymała łuki w pogotowiu.

– Co z pozostałymi? Zdołali uciec? – spytałam cicho.

– Nie wiem. Zniknęli mi z oczu, gdy tylko wbiegłem do lasu.

Zastanawiałam się, czy dziwoszczury zabronią nam się komunikować, ale najwyraźniej nasza rozmowa w ogóle ich nie obchodziła. Doszłam do wniosku, że to tak samo dobry moment na zadawanie pytań, jak każdy inny.

– Jak ty mnie właściwie znalazłeś?

– Widziałem cię przed sobą, kiedy biegłem.

Pogoń za mną rujnowała całą ideę rozdzielenia się, ale nie miałam serca wypominać tego Satoru.

– Inni pewnie uciekli.

– Ta. Pewnie tak.

Wiedziałam, że zgadzając się ze mną, próbuje mnie pocieszyć. W każdym razie udało mu się to.

Idący na przedzie dziwoszczur zasygnalizował nam, żebyśmy stanęli.

Przed nami rozpościerała się niewielka polana. *Czy to tutaj nas zabiją?* Zamknęłam oczy, jednak po chwili ponownie je otworzyłam, gdy coś długiego i twardego szturchnęło mnie w klatkę piersiową.

– Gigigigi... Grrrr!

Stojący przede mną, dorównujący mi wzrostem dziwoszczur był ubrany w zbroję i trzymał długą włócznię. Wyglądał na przywódcę grupy. Rozmasowałam miejsce, w które mnie dźgnął. Nie krwawiłam,

a moja koszulka nie była rozdarta. Najwyraźniej nie szturchnął mnie grotem, ale drugim, tępym końcem broni.

– Saki...! – Satoru zerwał się w moją stronę, ale potknął się o wyciągniętą włócznię innego dziwoszczura.

– Wszystko ze mną w porządku. Nie ruszaj się! – krzyknęłam.

Nie wierzyłam oczywiście, że nie zrobią nam krzywdy, gdy będziemy robić to, co każą. Właściwie to w tamtym momencie pogodziłam się już częściowo z faktem, że zostaniemy zabici.

Stojący przede mną dziwoszczur ponownie zaczął wrzeszczeć swoim przeszywającym głosem. Po raz pierwszy mogłam wyraźnie ujrzeć jego twarz.

Pod czarnym hełmem płonęły złe, czerwone oczy. Podobny do świńskiego ryjek był taki sam jak u dziwoszczurów, które spotkaliśmy nad kanałem, jak i u tego, którego wcześniej zabił Rijin. Istniała jednak jedna, wyraźna różnica – całe oblicze, od czoła po policzki, miał pokryte łuskami, nadającymi mu wygląd sosnowej szyszki.

Ciało pokryte łuskami występuje u niektórych ssaków, na przykład u pangolinów; cecha ta jednak jest nieobecna u gryzoni. Jeszcze bardziej dziwne było to, że w obrębie jednego gatunku występują osobniki z łuskami i bez nich.

Coś chłodnego i metalicznego zostało przytknięte do mojego policzka, kładąc kres tym rozmyśleniom. Światło księżyca odbijało się od ostrza wycelowanej we mnie włóczni.

Czy to już koniec? – pomyślałam. Włócznia nieznacznie się cofnęła. Miałam zostać na nią nabita.

Dowódca o szyszkowatej twarzy wydał z siebie bitewny okrzyk, brzmiący jak kwiczenie zarzynanej świni. Zamknęłam oczy.

Po kilku sekundach otworzyłam je ponownie.

Nic się nie wydarzyło. Kapitan Szyszka szedł w kierunku Satoru, przytrzymywanego przez dwójkę dziwoszczurów.

Zanim zdążyłam zareagować, dowódca zamachnął się włócznią w kierunku twarzy Satoru, jednak nagle zatrzymał ją dosłownie o włos od chłopca. Dźgnął bronią jeszcze raz, a potem następny.

Satoru starał się nie okazywać strachu, ale kolana odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się bezwładnie, podtrzymywany za ramiona przez dziwoszczury. Chwilę później włócznia drasnęła jego czoło.

– Satoru! – Ruszyłam bez opamiętania w jego stronę, ale od razu powstrzymała mnie włócznia dziwoszczura.

– Nie martw się, nic mi nie jest – odpowiedział Satoru.

Jego czoło krwawiło. Rana zdawała się bolesna, lecz płytka. Odetchnęłam z ulgą, widząc, że uraz nie jest poważny.

Podkomendnym Kapitana Szyszki najwyraźniej również ulżyło. Prawdopodobnie powodem nie była jednak rana Satoru; wyglądało na to, że nie byli do końca przekonani, że na pewno nie możemy używać cantusu. Zrobili więc to, żeby zyskać pewność, zanim zabiorą nas do swojej kolonii.

Ponownie ruszyliśmy przez las.

– Boli? – spytałam.

Satoru w ciszy pokiwał głową. Krwawienie nie ustało, więc całą jego twarz pokrywały strużki ciemnej krwi.

– Co się z nami stanie?

– Prawdopodobnie nie zabiją nas od razu – odparł cicho.

– Skąd wiesz?

– Bo gdyby miały taki zamiar, zrobiłyby to już dawno temu.

– Jesteś pewien, że to nie tylko twoje pobożne życzenia?

– Tak. Zanim wbiegły za nami do lasu, wystrzeliły świszczącą strzałę, pamiętasz? To prawdopodobnie było ostrzeżenie, byśmy się zatrzymali. Jeśli od początku miałyby zamiar nas zabić, nie zrobiłyby tego.

– Więc po co nas schwytały?

– Kto wie? Ale skoro dzisiaj po raz pierwszy zetknęły się z cantusem, to mimo tego, że się boją, prawdopodobnie chcą się dowiedzieć o nim czegoś więcej, mam rację? Jesteśmy dla nich jedynym źródłem informacji, więc nie zamordują nas tak bezmyślnie.

Rozumowanie Satoru było najprawdopodobniej słuszne. Jak na razie, nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo.

Wyszliśmy z lasu i ponownie zaczęliśmy wspinać się na wzgórze. Nasze zmęczenie osiągnęło szczyt już wieki temu, ale wycelowane w nas włócznie skutecznie zmuszały nas do marszu.

Cały czas nie mogliśmy się powstrzymać od spoglądania na dziwoszczury. Zaskakujące było, że z ich około dwudziestoosobowej grupki, jedynie połowa wyglądała jak normalne osobniki. Druga część charakteryzowała się uderzającymi odmiennościami, które wyglądały raczej na celowe modyfikacje ciała niż na wady wrodzone.

Zarówno kapitan, jak i jego zastępca byli pokryci łuskami. Po dokładniejszym przyjrzeniu się, zaobserwowałam, że poza tymi pokrywającymi głowy i ręce, prześwitują one też spod szczelin między częściami ich zbroi.

Wśród oddziału łuczników, cztery dziwoszczury dzierżyły łuki znacznie większe od broni swoich towarzyszy. Każdy z tych osobników miał nieproporcjonalnie duże jedno z ramion, podobnie jak kraby skrzypki. Większa kończyna, która trzymała łuk, przypominała długą maczugę i była raczej sztywna, z kolei ta mniejsza, dzierżąca strzały była krótsza i miała muskularne ramię. Przedramię zaś zwężało się w kierunku dłoni, a palce wydawały się uzbrojone w parę haczyków.

Były też inne dziwoszczury, na przykład posiadające wyrastający z czół pojedynczy róg lub obdarzone nienaturalnie długimi kończynami. Nie mogłam sobie wyobrazić, jaki mogą mieć użytek z tych cech.

– Co jest z nimi nie tak? – spytał Satoru. – Są jak jakaś parada dziwolągów.

– No cóż, to w końcu dziwo-szczury.

– Nie miałem pojęcia, że to właśnie oznacza ich nazwa.

Właściwie to ten żart nie był nawet zabawny, ale w pewien sposób podniósł nas na duchu.

Gdy wspinaliśmy się po zboczu, blask księżyca ujawnił ścieżkę otoczoną upiornymi sylwetkami drzew. Dziwoszczury poszły jednak w przeciwną stronę, wybierając wąski przesmyk pomiędzy krzewami

róży wielokwiatowej. Nie mieliśmy innego wyboru jak podążyć za nimi, przeciskając się wśród ciemnych gałęzi.

Zastanawiałam się, czy celowo posadziły te krzaki w celu odstraszenia drapieżników od swojego gniazda. Gdy tak rozmyślałam, wąska dróżka gwałtownie przeszła w otwartą przestrzeń.

Na pierwszy rzut oka wyglądała ona na pustą łąkę, ale stojące pod rozłożystym dębem mongolskim dziwoszczury były jasnym dowodem na to, że znajduje się tutaj ich kolonia. Wejście było całkowicie zasłonięte wysokimi zaroślami, więc wyglądało to tak, jakby wchodzące do środka dziwoszczury rozmywały się nagle w gęstej mgle.

Jeden z nich, wyraźnie wyższy od swoich pobratymców, szedł powolnie naprzód, odpychając po drodze mniejsze dziwoszczury. Na skórzaną zbroję miał zarzucony płaszcz i bez wątpienia był najwyższy rangą w całej kolonii, jednak tym, co go najbardziej wyróżniało była odstająca głowa o kształcie młota.

Kapitan Szyszka padł na kolana i przyczołgał się ulegle do Młotogłowego. Zaczęli coś wspólnie omawiać. Młotogłowy patrzył na nas swoimi perlistymi ślepiami, wydając Kapitanowi Szyszce jakieś rozkazy.

Obawiałam się, że zostaniemy zaprowadzeni do ciemnych jak smoła tuneli, ale zamiast tego odciągnięto nas od gniazda i pokierowano w kierunku lasu. Znajdowała się tam olbrzymia klatka na ptaki. Była zrobiona z pędów róży wielokwiatowej oplecionych wokół gałęzi drzew, wysoka na metr i szeroka na dwa metry.

Nie widziałam nigdzie wejścia do klatki, ale jeden fragment ściany był pozbawiony gałęzi i składał się jedynie z biegnących od góry do dołu różanych łądyg. Dziwoszczury rozchyliły pędy swoimi włóczniami i wepchnęły nas do środka. Gdy cofnęły swoje ostrza, roślinne kraty ponownie przybliżyły się do siebie. Wydostanie się na zewnątrz, nie zostając przy tym poszatwowanym przez ciernie, było niemożliwe. Jakby tego było mało, na zewnątrz pozostawiono strażnika, który mierzył nas złowrogim wzrokiem.

Klatka była zbyt niska, byśmy mogli stać, więc nie mieliśmy innego wyboru jak siedzieć na zimnej ziemi, jedynie z naszymi plecakami w roli poduszek. Światło księżyca wystarczało zaledwie byśmy z trudem widzieli swoje twarze.

– To był ciężki dzień, co? – spytał Satoru znacznie miłszym głosem, niż mogłabym się kiedykolwiek po nim spodziewać.

Łzy zebrały się w kącikach moich oczu i dużo nie brakowało, bym się rozpłakała.

– Poważnie, najgorszy dzień w życiu... Satoru, co z twoją raną?

– Wszystko w porządku. Krew już zaschła, on drasnął tylko skórę – odpowiedział, poruszając uszami.

Nikt z naszej klasy poza nim nie posiadał tej zdolności. Odprężyłam się i uśmiechnęłam nieznacznie. Krew na jego czole nadawała przecięciu groźnego wyglądu, ale, tak jak powiedział, nie było to nic poważnego.

– Co teraz zrobimy?

– Cóż, wszystko co nam zostało to oczekiwanie na ratunek. Jeśli Shunowi i pozostałym udało się uciec, zaalarmują wioskę.

Jak długo będziemy musieli czekać, aż przybędzie odsiecz? Samo myślenie o tym było przygnębiające.

Siedzieliśmy przyciśnięci do siebie w ciasnej klatce na ptaki.

– Cały czas nas obserwuje, hmm...

Minęła już mniej więcej godzina od kiedy wtrącono nas do klatki, ale strażnik bez ustanku łypał na nas podejrzliwie. Gdy napotkał mój wzrok, natychmiast się odwrócił, ale chwilę później znów zaczął na nas patrzeć.

– Ignoruj go. To tylko głupi dziwoszczur – powiedział Satoru, obejmując mnie dłonią w pasie.

– Ale w jakiś sposób... Hej, co ty robisz? – Druga część mojego zdania była skierowana do Satoru.

– Nerwy masz pewnie napięte jak postronki, prawda? Pomogę ci się odprężyć – powiedział, pochylając się nade mną. Świecące od tyłu

światło ukryło w cieniu jego twarz, ale wciąż mogłam zobaczyć jego jasno błyszczące oczy.

– Dobra. Ja to zrobię. Po prostu się połóż – odparłam, kładąc dłoń na jego piersi.

Satoru przestał się poruszać. Poczułam przez koszulkę bicie jego serca. Uśmiechnęłam się i powoli go przewróciłam.

Błady blask księżyca oświetlał jego twarz, gdy wodziłam wierzchem dłoni po jego policzku. Satoru zamknął oczy i znieruchomiał zadowolony, zupełnie jak udomowiony kot.

Gdy objęłam dłońmi jego głowę i pocałowałam go w czoło, on zanurzył swoją twarz w moich piersiach.

Pieściłam go delikatnie; od szyi po tors, od torsu po pas.

Do tego dnia nie mieliśmy okazji dotykać się w ten sposób. Nasze codzienne zachowania, takie jak droczenie się czy warczenie na siebie nie były jednak niczym innym jak wyrazami miłości.

Penis Satoru był już zupełnie twardy. Do tamtej pory miałam doświadczenie jedynie z dziewczętami, więc nie miałam pojęcia jak postąpić z chłopcem. Gdy dotknęłam go przez dzinsy, poczułam pod grubym materiałem ciepło i pulsowanie. *Co powinnam teraz zrobić?*

Próbowałam kupić sobie trochę czasu, wodząc dłońmi po pachwinach Satoru i ściskając jego pośladki, ale chwycił moją dłoń, nakierowując ją na swoje krocze.

Odpięłam guzik i rozpięłam rozporek. Pod nim poczułam taką sztywność, że wydawało mi się, że bokserki zaraz zostaną rozerwane.

Ponownie zaczęłam pieścić jego najbardziej wrażliwe miejsce. Tym razem, przez cieką bieliznę, mogłam zobaczyć znacznie dokładniej jego wielkość i kształt. Pomyślałam, że to, iż wydaje się czymś żywym i reaguje na mój dotyk jak małe zwierzątko, jest całkiem interesującym faktem.

Nagle usłyszałam w głowie odbijające się echem słowa fałszywego minoshiro.

Kiedy wśród członków stada narasta gniew i niepokój, dają mu upust poprzez intymne zachowania seksualne. Dorosłe samce i samice odbywają stosunki, ale nawet niedojrzale osobniki i pary jednopłciowe pocierają wzajemnie swoje genitalia, imitując stosunek. Zapobiega to konfliktom i pozwala utrzymać porządek wewnątrz stada.

Nie. Nie jesteśmy małpami.

Potrząsnęłam głową, próbując odgonić natrętną myśl.

Jednakże, jeśli chodzi o kontakty seksualne między chłopcami i dziewczętami, Kodeks Etyki zawiera bardzo ostre regulacje, praktycznie zakazując takich aktów. Z drugiej strony jednak, coś bardzo podobnego, czyli zbliżenie dwojga ludzi tej samej płci jest nie tylko dozwolone, ale wręcz zachęca się do niego. *Dlaczego tak jest?*

Pierwszym z kroków był częsty kontakt fizyczny, taki jak trzymanie się za ręce, przytulanie czy całusy w policzek. Drugi etap zakładał zachęcanie do takich kontaktów, zarówno z płcią przeciwną, jak i w obrębie własnej płci, począwszy od dzieciństwa, aż do późnej starości. Chciano w ten sposób wytworzyć nawyk rozpraszania napięć międzyludzkich poprzez seksualne zabawy i przeżywanie orgazmów. Trzecim krokiem było zachęcenie dorosłych ludzi do praktykowania między sobą wolnego seksu.

Jeśli słowa fałszywego minoshiro były prawdziwe, wszystko to zostało sztucznie stworzone w celu ochrony naszego społeczeństwa...

– Co się stało? – spytał Satoru, zaniepokojony tym, że przestałam się poruszać.

– Nic takiego, wybacz.

– Tym razem moja kolej – powiedział, obmacując mnie.

– Cz-czekaj...!

Satoru prawdopodobnie wydawało się, że jest delikatny, ale tak naprawdę łaskotał mnie. Wygięłam się do tyłu i odchyliłam głowę. Poczułam wtedy, jak wwierca się we mnie czyjś wzrok. Strażnik. Patrzył się na nas, zapominając nawet o mruganiu.

Nikt, dorosły czy dziecko, nie chciałby być oglądany, gdy przeżywa intymne chwile ze swoim partnerem. Gdy osoba trzecia nakryje parę w podobnej sytuacji, właściwą rzeczą jest odwrócenie wzroku i oddalenie się najszybciej, jak to możliwe.

Gdy jednak ta trzecia osoba nie jest człowiekiem, nie można spodziewać się po niej takiego zachowania. Pewnego razu, gdy spędzałyśmy wspólnie z Marią czas na piaszczystych wydmach Hasamaki, był z nami buldog Shuna, Subaru, choć nie pamiętam dokładnie, jak się tam znalazł.

Spojrzenie tego dziwoszczura było jednak zupełnie inne od wzroku Subaru i sprawiało, że czułam się wyjątkowo nieswojo. To oczywiste, że nie rozumiał znaczenia naszego zachowania; obsceniczny akt był wszystkim, co mógł sobie wyobrazić ten prymitywny rozum. Patrzył na nas sprośnie ze śliną kapiącą z ust.

Ponieważ znowu znieruchomiałam, Satoru otworzył oczy.

– Co teraz? Przestań się ze mną droczyć.

– Nie dro... Spójrz. – wskazałam ruchem oczu w kierunku strażnika.

– Po prostu go ignoruj – syknął Satoru.

– Nie mogę.

Cały humor Satoru się ulotnił. Chłopiec łypał groźnie na dziwoszczura.

– Cholera. A to drań. Już ja mu pokażę!

– Bez cantusu?

Satoru wyczuł w moim głosie kpinę, przez co jego twarz sposepniała. – Nawet bez cantusu, ludzie wciąż dysponują wiedzą.

Zdecydowałam się zachować dla siebie zgryźliwą ripostę. – Ale nic nie możesz mu zrobić – powiedziałam. – Nie możesz wydostać się z klatki ani niczego mu powiedzieć, bo nie rozumie naszego języka.

Satoru pogrążył się w myślach na kilka chwil, po czym jego oczy zapłonęły. Miałam co do tego złe przeczucia, lecz niczego na razie nie mówiłam. Satoru zaczął przekopywać się przez zawartość swojego plecaka.

– Czego szukasz?

– Tego – odparł z dumą, wyciągając białe, jakby się mogło wydawać - ptasie jajo. Tak naprawdę nie zostało jednak zniesione przez ptaka. To było sfabrykowane jajo sianokułki.

– I co zamierzasz z nim zrobić?

Kiedy fałszywe jajo zostanie uderzone, eksploduje, uwalniając z wnętrza coś, co zwie się czarcią dłonią. Wydziela także paskudny smród i rozbryzguje na dwa lub trzy metry ohydłą breję. Mimo tego, siła jego rażenia nie jest wystarczająca, by spowodować śmierć. Może najwyżej rozdrażnić wroga.

– Po prostu patrz.

Satoru przesunął się na kolanach w kierunku wejścia do klatki, wyciągając dłoń z fałszywym jajem w kierunku dziwoszczura. Po raz pierwszy spróbowaliśmy się z nim porozumieć. Wydawał się być skrajnie ostrożny, wymachiwał włócznią z przesadną siłą.

– Hej, nie wściekaj się tak. Od pewnego czasu tak stoisz, więc na pewno zgłodniałeś, co? To jajko bączka jest naprawdę przepyszne – zachęcał go Satoru, przysuwając jajo bliżej wejścia.

Strażnik odwrócił głowę, śledząc tor ruchu jajka. Zawahał się przez chwilę, po czym wyciągnął łapę i chwycił je.

– Zgłupiałeś? Nawet dziwoszczury wiedzą, czym są fałszywe jaja.

– Naprawdę? Nie wydaje mi się. – W głosie Satoru, oprócz nerwowości i wyczekiwania dało się usłyszeć zadziwiającą pewność.

– Ci tutaj dopiero niedawno przybyli z kontynentu, racja? Sianokułki są najwyraźniej gatunkiem endemicznym dla Kanto, więc możliwe, że się nie połapie.

– To nie zmienia faktu, że zostanie cały umazany łajnem i nielicho się wkurzy. No bo jeśli nie połknie jaja w całości, tak jak wąż, to...

Satoru wydał krótki okrzyk zwycięstwa. Zobaczyłam jak dziwoszczur otwiera usta i wpycha do nich jajko.

To co stało się chwilę później było niezwykle brutalne i trudno było na to patrzeć z zimną krwią.

Miałam już zrugać Satoru, mówiąc, że nie powinien był robić czegoś tak okrutnego, ale gdy ujrzałam, że jest zszokowany bardziej ode mnie, postanowiłam to przemilczeć.

Strażnik już się nie ruszał. Prawdopodobnie był martwy. Nie miał nawet szansy krzyknąć, więc jak na razie nasza zbrodnia pozostawała nieodkryta.

– I co dalej? – spytałam cicho.

Moje niezdecydowanie sprawia, że wyglądam, jakbym zawsze pytała się innych ludzi o ich zdanie. Tym razem chciałam jedynie by Satoru coś powiedział. Cokolwiek.

– I tak musimy zwiewać – wyszeptał. – Kiedy zorientują się, że zabiliśmy tego gościa, z pewnością nie pozwolą nam żyć.

– Ale jak się stąd wydostaniemy? – spytałam, chwytając różany cierń. Szybko jednak odsunęłam dłoń, gdy kolec wbił mi się w palec. Gdybyśmy spróbowali sforsować ściany klatki, zostalibyśmy pocięci na plasterki.

– Mam! – wykrzyknął Satoru, wskazując na leżącą obok martwego strażnika włócznię.

Jego ręka ledwo mieściła się w szczelinie między tworzącymi drzwi naszego więzienia cierniami. Satoru opróżnił swój plecak i użył jednej z jego szelek jak lassa, próbując chwycić włócznię. Nie szło mu zbyt dobrze, ale w końcu udało mu się przerzucić pętlę przez drzewce broni i przyciągnąć ją trochę bliżej.

– Zmieńmy się – powiedziałam, widząc, jak kolce poraniły jego ramię, ale Satoru pokiwał tylko głową, nie mając zamiaru rezygnować.

– Mam ją!

Co prawda całą rękę miał we krwi, ale udało mu się złapać włócznię. Naśladowując dziwoszczury użył jej jak dźwigni, próbując rozchylić kraty, ale jedna włócznia okazała się niewystarczająca. Do zrobienia otworu o odpowiedniej szerokości potrzebowaliby dwóch.

– No cóż, chyba musimy po prostu się przebić.

Podczas gdy Satoru przerąbał się przez kolce, przyjrzałam się włóczni i uświadomiłam sobie, że jej grot jest kamienny, podczas gdy ostrze broni Kapitana Szyszki było zrobione z metalu.

– Pośpiesz się, albo nas nakryją! – powiedziałam nerwowo.

– Jeszcze kawałek – odparł Satoru, tnąc bez słowa skargi tak szybko, jak potrafił.

Zazwyczaj lubił się popisywać, był sarkastyczny i nie tolerował najmniejszej krytyki, więc byłam zszokowana tym, jak bardzo odmienne stało się jego zachowanie.

Na szczęście obsydian, czy jakkolwiek inaczej nazywał się minerał, z którego wykonano grot, okazał się zadziwiająco ostry. Mimo tego odcięcie wszystkich cierni i tak zajęło Satoru dobre dwie lub trzy minuty. Nie mogliśmy sobie pozwolić na stratę większej ilości czasu. Satoru owinął zwisające łodygi wokół rękojeści włóczni i podważył je.

– Szybko! Zmywajmy się stąd!

Pomiędzy kratami było akurat tyle przestrzeni, bym mogła przeczołgać się pod nimi na czworakach.

Satoru podał mi swój plecak i przygotował się do wyjścia z klatki. Ciężko mu było jednocześnie podtrzymywać łodygi i przechodzić pod nimi, ale jakoś sobie z tym poradził. Był jednak nieco większy ode mnie, więc ciernie skaleczyły go w paru miejscach. W tym momencie całe jego ciało było już pokryte ranami. Pomyślałam, że prawdopodobnie dadzą one o sobie znać po męczącym biegu.

Nisko pochyleni zajrzeliśmy za linię drzew. Widzieliśmy dużą grupkę dziwoszczurów, najwyraźniej szukających śladów Shuna i pozostałych, jednak gdy się wyprostowaliśmy, uświadomiliśmy sobie, że tak naprawdę jest ich jedynie dwóch lub trzech. Reszta tylko wchodziła i wychodziła z nory.

– W porządku, spadajmy.

W ciszy oddaliliśmy się jak najszybciej od gniazda. Zostawiliśmy też w tyle nasze kajaki, schowane na plaży jeziora Kasumigaura, ale to była jedyna możliwa droga ucieczki. Po przebyciu kilku metrów, puściliśmy się biegiem.

– Dokąd zmierzamy?

– Po prostu gnaj przed siebie!

Zastanawiałam się, ile czasu mogło upłynąć od chwili, gdy nas schwytano. Księżyc chował się już powoli za widzianymi w oddali szczytami.

Biegliśmy rozpaczliwie ciemnymi, górskimi ścieżkami. Nie miałam wątpliwości, że gdybyśmy znowu zostali złapani, nie czekałoby nas nic oprócz śmierci.

– Nie uważasz, że powinieneś się jej pozbyć? – spytałam, dysząc ciężko.

Satoru wciąż trzymał kurczowo zdobyczną włócznię, zupełnie jakby była ona największym skarbem świata.

– Może jeszcze się przydać – odparł krótko.

Nie mogłam przestać wyobrażać sobie różnych sytuacji, w których rzeczywiście mógłby mieć z nich użytek. Żadna z tych wizji nie była przyjemna, zwłaszcza, gdy pamiętało się, że jesteśmy tylko dwójką dzieci, które właśnie utraciły swój cantus a za broń mają jedynie tę nędzną włócznię.

W ciągu następnych czterdziestu lub pięćdziesięciu minut nic się nie wydarzyło. Byliśmy skrajnie wyczerpani, ale mimo tego jakoś udawało nam się utrzymywać tempo. Na szczęście nikt nas najwyraźniej nie gonił, ale sprawiało to jedynie, że byliśmy bardziej zaniepokojeni.

Przyszła mi na myśl melodia i słowa smutnej piosenki, której uczyliśmy się w Szkole Harmonii.

Dom jest coraz dalej. Coraz dalej.

Zawróć ze swej drogi. Zawróć z drogi.

– Jak długo będziemy tędy szli? – Byłam już u kresu swoich sił.

– Musimy po prostu oddalić się od ich gniazda.

Jedyną rzeczą, jaka zaprzętała myśli Satoru, były ścigające nas dziwoszczury.

– Idziemy na zachód, racja? Jeśli nie zmienimy kierunku będziemy oddalać się od jeziora Kasumigaura coraz bardziej i bardziej.

– Tak, lecz nie możemy zawrócić. Dopóki nie znajdziemy jakiejś okrężnej drogi, musimy trzymać się tego szlaku.

– Ale wszystkie te ścieżki są proste. Czemu po prostu nie cofniemy się bezdrożami?

– Zgubisz się, jeśli wejdiesz do lasu w środku nocy. Nie będziesz w stanie określić kierunku, w którym idziesz i szybko wrócisz do punktu wyjścia – odparł Satoru.

– Ale gdy będziemy trzymać się tych dróg, to bez trudu nas odnajdą.

– To dlatego staram się jak najbardziej zwiększyć do nich dystans.

Mieliśmy zupełnie różne poglądy na temat tego, co powinniśmy zrobić. Satoru ani trochę nie zwalniał tempa, więc nie pozostawało mi nic innego, jak podążać za nim.

Nagle jednak się zatrzymał.

– Co się stało?

Satoru przyłożył palec do ust, dając mi do zrozumienia, że mam być cicho. Uklęknął i zaczął się intensywnie przypatrywać czemuś, co znajdowało się przed nami.

Również skierowałam swój wzrok w tamto miejsce, ale nie zauważyłam niczego nadzwyczajnego.

Miałam już coś mu powiedzieć, kiedy usłyszałam dochodzący z pobliskich krzaków szelest.

Zamarliśmy.

Dwadzieścia, może trzydzieści metrów na wprost nas, po obu stronach ścieżki pojawiły się sylwetki, przypominające niskich ludzi.

Niektóre z nich zdawały się trzymać coś, co wyglądało jak miecze i dzidy.

– Dziwoszczury...

Beznadzieja sytuacji była porażająca. Trzymając pewnie swoją lichą włócznię, Satoru zrobił krok naprzód.

Rozdział 3

Łącznie było sześć dziwoszczurów. Pomału szły w naszą stronę.

– Satoru, rzuć tę włócznię – wyszeptałam, starając się by mój głos brzmiał jak najbardziej naturalnie. – Zabiją nas, jeśli będziemy stawiać opór.

– I tak nas zamordują. – Satoru pokiwał głową. – Posłuchaj mnie. Uciekaj do lasu, gdy będę z nimi walczył.

– To jest bez sensu. Nie damy rady im uciec, ale jeśli spokojnie się podporządkujemy, może nie zabiją nas od razu. Możemy poczekać na pomoc.

– Nie. Nikt się nie zjawi – odparł Satoru z uporem. – A ja nie chcę znowu skończyć zamknięty w klatce.

– Satoru, błagam cię, bądź rozważny!

Cała szóstka dziwoszczurów zatrzymała się jakieś cztery czy pięć metrów przed nami. To było dziwne, zupełnie jakby nadal się nas obawiały.

– Poczekać chwilę – powiedziałam, łapiąc Satoru za dłoń, w której trzymał broń.

– Zejdź mi z drogi.

– Nie... Spójrz tylko, one wyglądają inaczej niż tamte, z którymi mieliśmy wcześniej do czynienia.

– He? – zdziwił się Satoru.

Pomyślałam, że dziwoszczury za chwilę rzucą w nas włóczniami, ale stało się coś zupełnie innego: nagle wszystkie padły przed nami na kolana.

– Co...? – krzyknął Satoru. Ja natomiast jedynie wpatrywałam się w nie z szeroko otwartymi ustami.

– Kikikiki grrr... b-bogowie... – Stojący w środku dziwoszczur uniósł głowę i wydał z siebie dziwny dźwięk, który przypominał mowę. – Szszsz.... K-kolnia Łowików... ∈∂Å. Ziemne Pająki... ★ brrr.. Z-zgrożenie.

Nie miałam pojęcia, co mówi; dostrzegłam jednak na jego czole coś wyglądającego na tatuaż.

– Jesteśmy uratowani! Są z kolonii posłusznej ludziom! – wykrzyknęłam, czując, że z ogromnej ulgi uginają mi się kolana.

Satoru wciąż wyglądał jakby się wahał, jednak stanowczym, acz drżącym krokiem podszedł do dziwoszczurów na około trzy metry i spojrzął na ich tatuaże.

– „Łów 604”¹, co? To oznacza kolonię Łowików?

– Kikikikiki... Łowiiki! Ł-łowiiki! – dziwoszczur, który w pewnym stopniu potrafił używać naszej mowy, odpowiedział Satoru, dziko potakując ruchami głowy, przez co wyglądał jak długogłowa szarańcza. – Ziepażaki... Ńbezpieczeństwo. Ziemne Pażaki, Ńbezpieczeństwo!

Jak się później dowiedzieliśmy, Wydział Zdrowia wiedział już w tamtym momencie o istnieniu obcej kolonii, której nadał nazwę Ziemych Pażaków. W przeciwieństwie do Krocionogów, innej grupy przybyłej z półwyspu, Ziemne Pażaki były jednak uważane za łagodnie usposobioną, nie sprawiającą kłopotów kolonię. Jak się okazało, zupełnie ich nie doceniono.

Ciekawym zbiegiem okoliczności, podczas epoki Yamato w starożytnej Japonii (mam tu na myśli zupełnie inny okres od Nowego Yamato, przypadającego na czas istnienia Świętego Cesarstwa Kwitnącej Wiśni), określenie „ziemne pażaki” było obraźliwym przydomkiem dla autochtonicznego ludu Jomonów. Fakt, że po tak długim czasie użyto go ponownie do nazwania napływowej kolonii dziwoszczurów jest ironicznym chichotem historii.

Tak czy siak, byliśmy prowadzeni przez ciemny las przez sześć Łowików.

– I znowu jesteśmy w nieciekawej sytuacji – westchnął Satoru z poważnym wyrazem twarzy.

– Jak to? Przecież zostaliśmy uratowani. A ci tutaj na pewno nie wezmą nas w niewolę.

¹ oryg. „sól 604”, pierwsze kanji słowa „łowik” oznacza właśnie sól.

– Racja, ale biorę pod uwagę nasz obecny stan.

– Obecny stan?

– Jak myślisz, dlaczego dziwoszczury czczą ludzi jak bogów? – Satoru rzucił mi smutne spojrzenie. – Czy to nie dlatego, że mamy cantus? To, że nam się podporządkowują wynika jedynie z ich przekonania, że posiadamy tę moc, ale co według ciebie zrobią, gdy zorientują się, że ją utraciliśmy?

Satoru mówił szeptem, odchylając się do tyłu. Możliwe, że bał się, że zostanie podsłuchany przez idące z przodu dziwoszczury.

– Przesadzasz. – Poczulałam lekki niepokój, ale wciąż uważałam, że powinnam odmówić mu racji. – Łowiki znajdują się pod naszą kontrolą, tak? Jeśli by nas skrzywdziły, a inni ludzie dowiedzieliby się o tym, cała kolonia zostałaby unicestwiona. One dobrze o tym wiedzą. Nie mają żadnej motywacji do wyrządzenia nam krzywdy.

– Nigdy nie można mieć pewności, co nimi kieruje. Może i dziwoszczury myślą czasami tak, jak my, ale to wciąż są gryzonie – powiedział Satoru. Brzmiał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. – W każdym razie, nie możemy uśpić swojej czujności. Z pewnością nie pozwolę, by dowiedziały się, że nie możemy korzystać z cantusu. Ty też powinnaś być ostrożna, Saki.

Miałam ochotę spytać się go, jak niby wyobraża sobie bycie ostrożnym, ale to z pewnością nie był dobry czas na sprzeczki. Im dłużej szliśmy przez leśne bezdroża, tym bardziej nieswojo się czułam.

Czy zdołamy wywieść w pole kolonię Łowików? To nowe pytanie coraz silniej zaprzętało moje myśli, zastępując poprzedni strach przed Ziemnymi Pająkami.

Zastanawiałam się, jak długo jeszcze będziemy szli. Nagle jeden z dziwoszczurów odwrócił się i coś krzyknął; moje ciało było jednak tak wyczerpane, a umysł tak zamglony, że nie mogłam zrozumieć o co chodzi.

– Co on powiedział?

– Nie dosłyszałem do końca, ale najwyraźniej ogłosił, że dotarliśmy do celu.

Słowa Satoru sprawiły, że przeszył mnie dreszcz strachu.

Ze znajdujących się naprzeciwko nas zarośli wychylił się kolejny dziwoszczur. Różnił się wyglądem od tej szóstki, która nas przyprowadziła. Był wyraźnie większy od pozostałych i miał na sobie metalową, łuskową kolczugę oraz hełm ozdobiony tradycyjnymi, wygiętymi w półksiężyc rogamami. Prawdopodobnie zajmował w kolonii taką samą, albo nawet i wyższą pozycję jak Kapitan Szyszka wśród Ziemnych Pająków. Przez kilka chwil stał spokojnie, słuchając raportu składanego przez jednego z dziwoszczurów a następnie ostrożnie do nas podszedł.

– Witajcie, bogowie – powiedział w oszalamiająco płynnym japońskim, zdejmując swój hełm. – Jestem rzecznikiem kolonii Łowików. Nazywam się $\Theta\xi\%_{\infty}\star\forall\partial$.

Jego imię było seria skomplikowanych, wysokich pisków.

– Prawdopodobnie jednak łatwiej będzie wam mówić na mnie Squealer, więc proszę, zwracajcie się do mnie w taki sposób.

– No więc, Squealerze, – powiedział spokojnie Satoru. – Zgubiliśmy się i nie możemy odnaleźć drogi powrotnej do naszego obozowiska. Bylibyśmy bardzo wdzięczni, gdybyście zaprowadzili nas na brzeg Jeziora Kasumigaura. Dalej już sami sobie poradzimy.

– Rozumiem – odpowiedział pospiesznie Squealer, sprawiając że odetchnęliśmy z ulgą. – Obawiam się jednak, że w tym momencie będzie to bardzo trudne.

– Dlaczego? – spytałam bez namysłu. – Czy to dlatego, że jest ciemno? Albo...

– Mam bardzo dobrze rozwinięty zmysł powonienia i mogę poruszać się po lesie w środku nocy bez żadnych przeszkód. Jeśli nie odczuwacie zmęczenia i chcecie wyruszyć już teraz, z przyjemnością wskażę wam drogę – odpowiedział z szacunkiem Squealer. – Jednakże, obecnie ten obszar jest bardzo niebezpieczny. Znajdujemy się w stanie zagrożenia z powodu obcej kolonii Ziemnych Pająków,

która napadła na nasze ziemie. Kilka dni temu wypowiedziały one wojnę naszej tubylczej społeczności. Nie natknęliście się może na nich po drodze?

Miałam zamiar odpowiedzieć zgodnie z prawdą, ale powstrzymała mnie mina Satoru.

– Nie, nikogo nie spotkaliśmy – odparł z kamienną twarzą.

Wydawało mi się, że widzę jak Squealer rzuca przelotne spojrzenie na zranione czoło Satoru, ale prawdopodobnie tylko wyobraźnia spletała mi figła.

– Dobrze to słyszeć. Ziemne Pajaki to bandycka grupa. Prawdopodobnie próbowałyby schwytać bogów, nie zdając sobie sprawy z własnej pozycji wobec nich. Oczywiście, wykorzystując cantus poradzilibyście sobie z nimi z dziecinną łatwością, jednak znane są one z tchórzowskich sztuczek, takich jak ataki z zasadzki przy użyciu zatrutych strzałek.

Dziwoszczur prychnął z gniewem, jeszcze bardziej marszcząc swój już i tak pokryty fałdami pysk.

– Przepraszam za ten wybuch emocji – powiedział. – Wkładamy olbrzymi wysiłek w próby obrony, ale nie jesteśmy na tyle silną grupą, by się z nami liczone i dlatego właśnie znaleźliśmy się w obecnej sytuacji.

– To znaczy, że przegrywacie? – spytałam.

– Sprawa nie jest taka prosta – kontynuował Squealer, zupełnie jakby czekał na moje pytanie. – Niewiele wiem o dużych koloniach, takich jak Olbrzymie Szerszenie, ale Łowiki liczą tylko siedmiuset osobników. Dla porównania szacunkowa populacja Ziemnych Pajaków to przynajmniej cztery tysiące.

Zadrżałam. Przed swoją śmiercią, Rijin zgładził najwyżej tysiąc z nich. Założenie, że unicestwił całe ich plemię było zbyt optymistyczne. Prawdopodobnie trzy tysiące z nich nadal pozostawało przy życiu.

– Wczoraj wyprawiliśmy specjalnych wysłanników z prośbą o pomoc do trzech sąsiednich kolonii, ale zanim tam dotrą upłynie trochę czasu

– Więc jeśli zaatakują was w tej chwili, będziecie bezbronni? – wypaliłam bezmyślnie.

Squealer spojrział na mnie podejrzliwie i uświadomiłam sobie swój błąd. Człowiek posiadający cantus nie obawiałby się konfrontacji z dziwoszczurami, bez względu na ich liczbę.

– Właśnie, co byście zrobili, gdybyśmy się tu nie zjawili? – dodał bez chwili namysłu Satoru. Doprowadził tę umiejętność do perfekcji, wyługując się ze swoich rozlicznych zmyślonych historyjek.

– Jestem głęboko poruszony waszą troską. – Squealer nisko się uklonił. – Jednakże, walki pomiędzy naszymi koloniami są czymś wyjątkowym, i nawet mimo znaczącej różnicy sił między nimi a nami, jest zbyt wcześnie na wysuwanie wniosków.

– Co masz na myśli?

– Mówi się, że dopóki nie zobaczy się czegoś na własne oczy, nie uwierzy się w to. Dlatego proszę was żebyście poszli za mną, chciałbym wam coś pokazać. – Squealer cofnął się, cały czas z pochyłą głową. Wydawało mi się, że to typowe zachowanie dla dziwoszczurów podczas rozmowy z kimś wyżej postawionym.

Kiedy wyszliśmy z gęstych zarośli, znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Księżyc zdążył już się schować, ale światło gwiazd dobrze oświetlało całą polanę, usianą kopcami przypominającymi mrowiska.

– Czy to gniazdo kolonii Łowików? – spytałam.

Squealer pokręcił przecząco głową. – Nasze gniazdo jest tam, gdzie żyje królowa, dość daleko stąd. To jedna z naszych linii obrony przed atakami Ziemnych Pająków.

– Linii obrony?

– Bunkry, okopy, ściany szczelinowe, tunele. Wszystko to w celach obronnych... Bogowie, interesujecie się może strategicznymi grami planszowymi, takimi jak shogi czy go?

To pytanie zbiło mnie z tropu.

– Cóż, tak myślę – odparłam. – W szkole uczyliśmy się zasad obu tych gier.

Mówiąc szczerze, na początku wydawały mi się one dobrą zabawą, ale szybko przestały mnie interesować, więc znałam tylko podstawy zasad. Głównym powodem, dla którego porzuciłam granie, było to, że z kilkoma osobami nie byłam w stanie zwyciężyć. Jedną z nich, co zrozumiałe, był Shun, jednak za każdym razem gdy widziałam triumfalną minę Satoru, traciłam wszelką ochotę na zabawę.

– W takim razie może lepiej będzie, jeśli wytłumaczę to w następujący sposób: my, $\beta\star\ddot{e}\odot\text{\AA}$, to znaczy kolonie dziwoszczurów, walczymy w stylu bardziej zbliżonym do gry w go niż w shogi.

Przez chwilę zastanowiło mnie, dlaczego użył słowa „dziwoszczury”.

Squealer zaczął wyjaśniać tajniki starć siłowych pomiędzy dziwoszczurami w stylu przypominającym wywód fałszywego minoshiro.

Dziwoszczury są potomkami golców z wschodniej Afryki, żyjących głównie w ciasnych, podziemnych tunelach. Nawet mimo tego, że ludzie przyczynili się do zmiany ich wyglądu zewnętrznego i wzrostu ich inteligencji, umożliwiając im stworzenie własnej kultury, ich podstawowa struktura społeczna nie uległa żadnej zmianie. Ich siedziby mniej lub bardziej przypominają pionowe szyby, od których odchodzą niezliczone odgałęzienia, umożliwiające ucieczkę na powierzchnię w razie powodzi. Doły są połączone dodatkowo podziemnymi poziomymi tunelami, które umożliwiają przemieszczanie się między nimi bez konieczności wychodzenia na powierzchnię.

– Walka na powierzchni jest dla nas dość nowym odkryciem. To jasne, że na zewnątrz ma się lepszą mobilność niż w podziemiach, niezależnie od noszonej zbroi. Prawdę powiedziawszy, nie wiem jak

zapatrują się na to inni walczący na powierzchni żołnierze, ale osobiście uważam, że jeśli chodzi o odnajdywanie pozycji wroga, ofensywa naziemna mija się z celem.

– Dlaczego? – zapytał Satoru.

– Ponieważ $\beta \star \ddot{e} \odot \text{Å}$... Nasi pobratymcy znajdując się pod ziemią potrafią za pomocą dźwięków i wibracji zlokalizować oddziały z powierzchni, gdy jednocześnie ci na zewnątrz nie są w stanie wykryć pozycji przeciwników znajdujących się pod nimi. Wynika z tego, że jeśli uda nam się zadziałać na grunt z dołu, powodując jego zapadnięcie się, wpadną wprost na nasze włócznie i nie dadzą rady w żaden sposób uniknąć śmierci.

Przypuszczalnie dziwoszczury już wielokrotnie stosowały tę taktykę. Podobnie jak ludzie, nie potrafią wyciągać wniosków z lekcji, dopóki nie zostanie przelana wystarczająca ilość krwi.

– Innymi słowy, działając defensywnie, zawsze zyskuje się przewagę – powiedział wyglądający na zadowolonego z siebie Satoru.

– Dokładnie. Agresorzy nie mają innego wyboru jak szturm pod ziemią, lecz nawet w takim przypadku broniący się są w stanie określić z wyprzedzeniem ich pozycje. Mogą wtedy wznieść blokady, wykopać tunele nad ich głowami, zrzucając z góry ciężkie kamienie i przygotować wiele innych pułapek. Mówiąc inaczej, jeśli chodzi o walkę w podziemiach, atak jest znacznie trudniejszy niż obrona.

– I co dzieje się później? – spytałam.

– Zazwyczaj utrzymywana w wiecznym szachu ofensywa musiała się wycofywać, żeby nie ponosić dalszych strat. Pewnego dnia jednak pojawił się $\mathcal{K} \odot \infty \Sigma \cdot \dots$ Ioki, genialny strateg. Ioki, zainspirowany otrzymaną od bogów księgą, sam jeden opracował taktykę pozwalającą pojmać całą kolonię.

– Co to była za książka? – spytał Satoru, marszcząc brew.

Zastanawiałam się jakim cudem tak niebezpieczna lektura, zamiast zostać zakazaną, trafiła do rąk dziwoszczurów.

– Niestety, tamta święta księga już nie istnieje. Do dziś zachował się tylko tytuł, który nosiła: „Wprowadzenie do gry w go dla trzylatków”.

Spojrzeliliśmy na siebie nawzajem z Satoru. Obydwoje widzieliśmy tę książkę w świetlicy w Szkole Harmonii.

– Strategie Iokiego opierały się na go. Po pierwsze, żołnierze na powierzchni byli wysyłani do upatrzonych z góry miejsc, gdzie mieli wykopać rowy i utrzymywać pozycje. Następnie tworzone kanały komunikacji pomiędzy bazami i dogodnym punktem obserwacyjnym. Podziemne tunele łączyły bazy z linią frontu. W ten sposób bazy połączone były ze strefą walki, która z kolei była skomunikowana z powierzchnią. Tym samym zwiększało się znajdujące się pod naszą kontrolą terytorium. Ostatecznym celem było uwięzienie przeciwnika w ciasnej przestrzeni, zawsze zostawiając sobie bezpieczną drogę ucieczki, w razie konieczności odwrotu. Gdy wróg został otoczony, mogliśmy odciąć jego zaopatrzenie w wodę i pożywienie. Żeby tego dokonać, trzeba było zbudować bazy pomiędzy pozycjami wroga, przerywając tym samym komunikację między nimi i tworząc własne szlaki łączności. Zgodnie z zasadami go, żeby skutecznie uwięzić przeciwnika, trzeba wykonać wszystkie te kroki. Dopiero wtedy można przejść do walki w zwarciu.

Ponownie omiotłam wzrokiem polanę. Tym razem zrozumiałam, że podobne do mrowisk wieże zostały zbudowane w ściśle określonym celu.

– W mgnieniu oka we wszystkich koloniach przyjęły się rewolucyjne zmiany w taktyce, wprowadzone przez Iokiego. Kolonie, o których mówiono, że są niemożliwe do pokonania, przegrywały walki jedna za drugą, co drastycznie obniżyło ich wpływy. Te grupy, które zaadoptowały ten nowy sposób planowania, szybko urosły w siłę, podczas gdy kolonie trzymające się starych metod zostały unicestwione.

– Co się później stało z Iokim?

Sama byłam zdziwiona tym, że tak bardzo interesowały mnie losy bohatera dziwoszczurów. Czyżby Ioki, będąc tak wpływową postacią, był kamieniem węgielnym dobrobytu Olbrzymich Szerszeni? A może Squealer opowiadał o nim z taką pasją, ponieważ Ioki był przodkiem kolonii Łowików, który przyczynił się do jej odbudowania?

– Ioki zginął podczas jednej z wojen – powiedział smutno Squealer. – Urodził się w kolonii Jętek, słabej, liczącej około czterystu członków grupie. Z tego powodu często musiał stawać w pierwszym szeregu, dowodząc w bitwie. Podczas starcia z sąsiednią kolonią, linia frontu osiągnęła przyczółek wroga i rozgorzały zacięte walki. To, czyje szlaki komunikacji zostaną odcięte, a czyje zachowane zależało od wyniku tej bitwy. Ioki był tego świadomy, a ponadto zauważył, że jeśli poświęci jedną z własnych baz, będzie w stanie przełamać obronę przeciwnika. Był tylko jeden problem. Baza, która musiała zostać oddana przeciwnikowi, była tą, w której znajdował się sam Ioki.

Satoru westchnął.

– Ioki postanowił poświęcić własny oddział. Mimo tego, że byli otoczeni przez wroga, on i sześciu jego towarzyszy walczyli aż do śmierci, której zresztą się spodziewali. Upojeni szczęściem ze zwycięstwa przeciwnicy próbowali dołączyć do reszty swojej armii, jednak uświadomili sobie, że ich oddziały zostały rozdzielone na dwie grupy, a komunikacja między nimi została odcięta. Zostali uwięzieni we własnym punkcie obserwacyjnym bez żadnej drogi odwrotu. Połowa wrogich jednostek została pozbawiona zaopatrzenia i zginęła w oblężeniu. Kolonia Jętek odniosła wspaniałe zwycięstwo.

Byliśmy urzeczeni historią Squealera. Czuliśmy się tak samo jak wtedy, gdy słuchaliśmy słów fałszywego minoshiro, mimo, że brzmienie ich głosów było zupełnie inne.

– Jednakże, kolonia Jętek została zniszczona zanim zdołała nacieszyć się choć trochę upojnym smakiem triumfu – powiedział smutno Squealer, ubolewając nad losem kolonii, która na zawsze zniknęła z kart historii, pozostawiając po sobie tylko ulotne

wspomnienie. – Liczebność Jętek była tak niewielka, że gdy straciły Iokiego – swoją atutową kartę, szybko stały się łupem dla sąsiednich grup. Jeśli pozostano by przy starych taktykach, może zdołałoby przetrwać, jedynie się broniąc, jednak, jak na ironię, to nowa strategia Iokiego stała się głównym powodem, dla którego Jętki poniosły tak potężne straty, że nie pozostało im nic innego jak bezwarunkowa kapitulacja.

– Co się dzieje z dziwoszczurami z przegranej kolonii? – spytałam. *Czyżby wszystkie były zabijane?*

– Dokonuje się egzekucji królowej, a pozostali mieszkańcy kolonii stają się niewolnikami. Do końca życia traktowani są gorzej niż śmieci, a gdy umrą, ich zwłoki pozostawia się niepochowane by zgniły i użyźniły glebę pól uprawnych.

Milczeliśmy. Gdy myślę o tym dzisiaj, ta odpowiedź również była najprawdopodobniej częścią planu Squealera. Usta Satoru wypowiedziały coś bezgłośnie. Wydawało mi się, że odczytałam z ich ruchu słowo „mrówki”...

Mrówki. To takie oczywiste. Z jednej strony dziwoszczury posiadały ludzką mentalność, z drugiej jednak cechowało je okrucieństwo socjalnych owadów. Cel wojen między koloniami był taki sam jak w przypadku inwazji mrówek amazonek na obce mrowiska – pozyskanie siły roboczej.

– Szczerze mówiąc, opowiadam wam to wszystko w pewnym celu. – Siedzący na ziemi Squealer wyglądał naprawdę dostojnie. – W ciągu ostatnich kilku dni straciliśmy w bitwach z Ziemnymi Pająkami wszystkie bazy, które posiadały połączenie z zewnętrznym światem. Posłańcy, których wyprawiliśmy do okolicznych kolonii z prośbą o pomoc zostali najpewniej pojmani i zabici. Innymi słowy, dla naszej kolonii to teraz kwestia życia i śmierci. Przybycie młodych bogów musi być znakiem z niebios. To zwiastun naszego ocalenia, tak jak Budda powracający z piekieł.

Satoru rzucił mi przelotne spojrzenie. Rozmowa zmierzała w najgorszym z możliwych dla mnie kierunków.

– Jestem w pełni świadomy, że proszenie bogów o angażowanie się w nasze błaha, przyziemne sprawy to czysta bezczelność, ale jestem zmuszony błagać was, byście ocalili naszą kolonię. Spuśćcie młot zemsty na te bluźniercze Ziemne Pajaki, którym obca jest nawet bojaźń przed bogami.

Satoru odchrząknął. – Bardzo chcielibyśmy wam pomóc, ale nie możemy sami o tym decydować.

– Dlaczego? Przecież wystarczyłoby, żebyście tylko o tym pomyśleli, by zniszczyć ich wszystkich.

– Dziwoszczury to chroniony gatunek, więc nie możemy tak po prostu ich zabijać – Satoru ostrożnie dobierał słowa. – Żeby móc pozbyć się stanowiących zagrożenie istot, musielibyśmy złożyć wcześniej wnioski w Wydziale Zdrowia i w ratuszu.

– Rozumiem. Jednak jeśli nic nie zrobicie, nie unikniemy porażki – Squealer nie przestawał rozpaczliwie prosić. – Błagam, miejcie litość! Nie musicie zabijać wszystkich, proszę tylko o skromny atak, który przełamie ich oblężenie. Później jakoś sobie poradzimy. Proszę was...

Squealer miał najwyraźniej zamiar coś jeszcze dodać, ale przeszkodziło mu pojawienie się posłańca, który wyszeptał mu coś na ucho. W mgnieniu oka zmieniła się jego postawa; stał teraz w wyniosłej pozycji i słuchał informacji. Wreszcie odwrócił się w naszą stronę z nieco zmieszaną miną.

– Rozumiem więc. Jest już późno, więc porozmawiam z wami ponownie jutrzejszym rankiem. Musicie być zmęczeni, ale czy zechcielibyście spotkać się z naszą królową, zanim udacie się na odpoczynek?

– Królową?

Miałam sprzeczne uczucia. Z jednej strony pragnęłam ujrzeć królową dziwoszczurów, z drugiej jednak już prawie świtało a w ciągu ostatniej doby wydarzyło się tak wiele, że byłam totalnie wykończona.

– Królowa znajduje się w pobliskim bunkrze. Będzie zachwycona możliwością spotkania bogów.

– Dobrze, możemy wpaść do niej na chwilę. Ale pozostałe sprawy muszą poczekać do jutra – odparł Satoru, powstrzymując się od ziewnięcia.

Podążaliśmy za Squealerem przez polanę. Zatrzymaliśmy się u stóp dużej wieży, przypominającej kształtem mrowisko; nigdzie jednak nie mogłam dostrzec drzwi.

– Tędy proszę. Wiem, że wygląda niezbyt przyzwoicie, ale to właśnie jest wejście – powiedział Squealer, odgarniając kępę uschłej trawy, która zasłaniała dziurę o mniej więcej metrowej średnicy.

– Co? To tędy się wchodzi? – spytałam. Przepęłniały mnie obawy.

– Chyba byłoby lepiej, gdyby królowa wyszła do nas na zewnątrz – dodał Satoru. W jego głosie również było słychać niepewność.

– Niezwykle mi przykro, ale ten tunel jest szeroki tylko na tyle, by zmieścili się w nim żołnierze. Królowa nie byłaby w stanie się tędy przecisnąć. Oczekuje na was w swojej podziemnej komnacie.

Nie mieliśmy wyboru. Odmowa audiencji u królowej byłaby zniewagą, a skoro nie mieliśmy już dostępu do cantusu, nie chcieliśmy prowokować walki.

Satoru wszedł do środka za mną. Wewnątrz było zauważalnie zimniej niż na zewnątrz. Samo wejście było wygładzone i pokryte gliną, natomiast sam tunel był wyłożony zbitą ziemią wymieszaną z trawą; prawdopodobnie miało to zapobiegać poślizgnięciu się. Obawiałam się, że wpadnę do pionowego szybu, ale dzięki dwójce dziwoszczurów które asekurowały nas z dołu, zejście nie było trudne. Dziwoszczury, niczym miękkie poduszki przyczepione do ścian tunelu spowalniały tempo naszego ruchu w dół. Uświadomiliśmy sobie z Satoru, że i tak nie dalibyśmy rady znaleźć na pionowej ścianie miejsc, których dałoby się uchwycić, więc podróż w dół

podpierając się na ramionach dziwoszczurów była wszystkim, co nam pozostało.

Po przejściu kolejnych dwudziestu lub trzydziestu metrów, tunel nagle się rozszerzył. Wstaliśmy i rozejrzeliśmy się wkoło, ale było zbyt ciemno, by określić rozmiary jaskini. Woń pleśni i zwierząt dotarła do moich nozdrzy, sprawiając, że włosy stanęły mi dęba.

– Proszę, poczekajcie minutkę – odezwał się Squealer zza naszych pleców.

Gdy się odwróciłam, okazało się, że wszystkim, co jestem w stanie dostrzec w mroku, jest błysk jego oczu. Wiedziałam, że połyskliwe oczy są charakterystyczną cechą dzikich zwierząt, ale mimo tego coś sprawiało, że nie mogłam pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, którego doświadczałam, patrząc na nie.

Squealer potarł krzesiwo i zapalił małą pochodnię. Jasne światło oślepiło mnie na kilka chwil. Kolejny raz uświadomiłam sobie, jak bardzo dodaje ono otuchy.

– Tędy.

Myślałam, że znajdujemy się w olbrzymiej sali, lecz gdy została ona oświetlona, jej powierzchnia okazała się nie większa niż sześciu mat tatami. W trzech różnych kierunkach odchodziły od niej poziome tunele. Squealer szedł na przedzie, oświetlając drogę pochodnią. Idące w wyprostowanej pozycji dziwoszczury rzucały na ściany komnaty dziwne, drżące cienie.

– Uważajcie na głowy.

Tunel poszerzał się, ale jednocześnie coraz bardziej zmniejszała się jego wysokość. Dziwoszczury najpewniej pokonywały zazwyczaj ten odcinek na czterech łapach.

Gdy tak przemierzaliśmy ciemne tunele, za źródło światła mając jedynie pochodnię ogarnęło mnie dziwne poczucie oderwania od rzeczywistości. Nie potrafiłam do końca uwierzyć, że naprawdę się tam znajduję.

Z drugiej strony jednak, uświadomiliśmy sobie przytłaczającą wręcz czyjąś obecność. To był ten sam zapach, który czuliśmy

wcześniej. Tunel był przepelniony wonią dziwoszczurów, która przybierała na sile, w miarę gdy schodziliśmy coraz głębiej. To był zapach Squealera i pozostałych żołnierzy, jednak nakładała się na niego jeszcze inna woń – przypominająca bardziej smród rozkładu. Co więcej, ten odór był tak silny, że prawie się dusiłam.

Kolejną rzeczą, która przykuła naszą uwagę była seria cichych dźwięków. Gdy dobrze się wsłuchałam, brzmiało to jak odgłos pracujących miechów, przeplatany nikłym echem odległych grzmotów. Fale nieregularnych drzeń przetaczały się z turkotem po ścianach tunelu, tak jakby coś okropnie dużego pełzało okolicznymi korytarzami...

Czułam wibracje pod stopami. Z trwogi ciało zaczęło odmawiać mi posłuszeństwa, lecz nie powiedziałam Satoru, że chcę wracać. Któż wie, co mogłoby się stać, gdybym okazała słabość przed Squealerem.

– Jak daleko jeszcze? – Satoru starał się sprawiać wrażenie spokojnego, ale nie potrafił ukryć lekkiego drżenia w głosie.

– Za chwilę będziemy na miejscu.

To nie było kłamstwo. Niecałe dwadzieścia metrów dalej tunel łagodnie zakręcał w prawo. Squealer padł twarzą ku ziemi i zaczął wykrzykiwać coś piskliwym głosem.

W odpowiedzi usłyszeliśmy warczenie, które sprawiło, że zadrżała ziemia. Fala dźwięku o niskiej częstotliwości przeszła nasze ciała niczym silny wicher.

– Królowa jest zaszczycona waszymi odwiedzinami – powiedział Squealer.

Wydawało się, że Satoru chce coś powiedzieć, ale nie może znaleźć odpowiednich słów.

– To my jesteśmy zaszczyceni. Przekaż jej, że jesteśmy wielce uszczęśliwieni spotkaniem z nią. – odpowiedziałam.

Squealer skinął głową i przekazał królowej nasze słowa w swojej jazgotliwej mowie.

Nagle, ku naszemu zaskoczeniu, królowa odezwała się w ludzkim języku.

– Grrrr... B-bogow-wie ★⊖. Prosz-szę.....∫Δθ... Pode-jejdźcie b-bliż-żej...

Jej głos brzmiał jak niski gruchot wymieszany z dziwnym chrzęstem podobnym do tego, które można usłyszeć, zgrzytając zębami; w jakiś sposób byłam jednak w stanie zrozumieć że zaprasza nas bliżej do siebie.

Spojrzeliliśmy na siebie nawzajem i ruszyliśmy pomału naprzód. Odrażająca woń przybrała na sile tak bardzo, że stała się praktycznie nie do zniesienia.

Squealer pozostał w miejscu, gdzie tunel łukowato skręcał, ściskając pochodnię. Padające od tyłu migoczące światło sprawiało, że trudno było zobaczyć, jak wygląda królowa. Mimo tego, po samej sylwetce i ilości ciepła jakie wydzielало siedzące przed nami stworzenie, byłam w stanie bez wątpliwości stwierdzić, że jest ono niespotykanych rozmiarów.

– ★☆...gagaga! □■! ...◇◆!

Zostaliśmy owiani przez podmuch gorącego powietrza. Odruchowo odwróciłam twarz, lecz następne dźwięki, które dotarły do moich uszu ponownie wprawiły mnie w zaskoczenie.

– Bbb-bo-bogow-wie... W-witajcie. Ja... B-bardzo za-zaszczycona.

Królowa zwracała się do nas falsetem, więc jej mowa była słyszalna dla ludzkiego ucha. Co jeszcze bardziej zaskakujące, jej głos bez cienia wątpliwości był żeński.

Rozmawialiśmy z królową przez jakieś pięć minut. Niestety, nie mogę przypomnieć sobie treści tamtej konwersacji. Być może jest tak dlatego, że byliśmy wtedy skrajnie zmęczeni i wystraszeni, a może z powodu jeszcze bardziej dramatycznych wydarzeń które nastąpiły kilka chwil później, a których przyczyna była dość błaha.

Królowa przeprosiła nas za to, że musimy tak długo stać i zawołała dwójkę dziwoszczurów, która miała nam służyć za krzesła. Próbowaliśmy, oczywiście, grzecznie odmówić, ale nie odniosło to skutku. Wciąż trzymający pochodnię Squealer podszedł do nas wraz z dwójką swych pobratymców.

Jasny płomień łuczywa oświetlił jaskinię i królową. Ponieważ podczas rozmowy głos władczyni wydał nam się nieoczekiwanie wręcz miły, dręczące nas początkowo obawy nieco zelżały. Dlatego też byliśmy podwójnie zszokowani jej rzeczywistym wyglądem.

Pierwszym co przyszło mi na myśl była gigantyczna gąsienica z czterema krótkimi nogami i ogonem. Chorobliwie blada z braku słońca skóra, zwisająca pierścieniami fałd opasującymi ciało jedynie nasilała to podobieństwo. Tym, co odróżniało królową od owada była jej twarz. Połowa ogromnej głowy była usiana brązowymi plamami, które prawdopodobnie stałyby się czerwone, gdyby wystawić je na działanie światła. Oczy były zaledwie niewielkimi fasolkami zatopionymi pomiędzy licznymi zmarszczkami a silne, grube szczęki ukrywały ostre, długowate zęby. Szyję królowej ozdobił naszyjnik wysadzany lśniącymi w świetle szkarłatnymi almandynami, błyszczącymi fluorytami, beryłami i kordierytami.

Gdy wygląd dziwoszczurzej władczyni został ujawniony, zaczęła ryczeć i rzuciła się do przodu. Wzdrygnęliśmy się, ale najwyraźniej jej cel znajdował się gdzieś z boku.

Złapała Squealera w pysk i z łatwością uniosła go w powietrze, brutalnie miotając nim we wszystkie strony. Squealer wrzasnął i upuścił pochodnię. Jaskinię zalała ciemność. Słyszałam gniewne powarkiwania królowej, przerywane jego sporadycznymi krzykami.. Pozostałe dwa dziwoszczury skuliły się w rogu pomieszczenia i rozpaczliwie próbowały przekopywać się pazurami przez ziemię.

– Królowo, zaczekaj! – powiedziałam, zbierając całą swoją odwagę. – Nie zabijaj Squealera! On nie zrobił tego celowo.

Satoru ścisnął moje ramię. Próba uspokojenie wściekłej królowej była ryzykownym przedsięwzięciem. Gdyby jednak ludzki bóg nie zainterweniował w takiej sytuacji, mogłoby to wzbudzić podejrzenia.

Królowa nie reagowała przez dłuższą chwilę a następnie z pogardą upuściła Squealera, po czym zręcznie się odwróciła, prześliznęła obok nas i zniknęła w głębi jaskini. Wciąż panowały nieprzejrzone ciemności, więc nie widzieliśmy jej ruchów; raczej je wyczuwaliśmy.

Squealer leżał na ziemi, dygocząc. Po chwili jednak zebrał się w sobie, wstał i odwrócił w naszą stronę.

– Dziękuję, że zainterweniowaliście by ocalić mi życie.

– Trochę nas to zaskoczyło – odparł ochryple Satoru po krótkiej pauzie.

– Królowa nigdy wcześniej nie chciała cię zabić, czyż nie? – zapytałam.

Squealer nie odpowiedział.

– Bogowie, musicie być zmęczeni. Przygotuję dla was sypialnie, mam nadzieję że dobrze się wyśpicie tej nocy. – Squealer podniósł pochodnię i ponownie ją rozpałił.

Spojrzałam na kolczugę, którą nosił i mimowolnie się wzdrygnęłam. Metalowe spoiwa zostały odgryzione a znajdująca się pod spodem skórzana zbroja była usiana dużymi dziurami, z których sączyła się krew. Oczywiście było, że Squealer jest ranny, ale robił wszystko co mógł, by nie okazać przed nami cierpienia.

– To bez wątpienia dziwne. Coś jest nie tak z królową – wyszeptał mi na ucho Satoru gdy szliśmy w kierunku kwater sypialnych. – Bądź ostrożna. Nie wiadomo co może zrobić, jeśli się ją wkurzy.

Dopiero co zdołaliśmy uciec złowrogiej, obcej kolonii tylko po to by znaleźć się wśród społeczności rządzonej przez obłąkaną władczynię.

Zastanawiało mnie, co tak właściwie rozwścieczyło królową. Nawet z takim wyglądem, rozmowa z nią nie różniła się zbytnio od

konwersacji z każdą inną kobietą, więc nie było to niczym nieprzyjemnym. Czy to możliwe, że po prostu nie chciała byśmy ją w ogóle ujrzeli?

Byłam zbyt wyczerpana by więcej się nad tym zastanawiać.

Pomieszczenie, które nam wskazano było zwykłą, wykopaną w ziemi norą. Wewnątrz było trochę chłodno, ale podłogę wyłożono suchą słomą, która okazała się zaskakująco wygodna. Położyliśmy się na niej i natychmiast zasnęliśmy.

Szeroko otworzyłam oczy.

Nie miałam pojęcia, która jest godzina, ponieważ wszystko wokół tonęło w mroku, ale nie mogłam zmrużyć oka od dobrych kilkadziesiąt minut. Cały czas czułam, że moje ciało jest sztywne ze zmęczenia, jednak coś mówiło mi, że powinnam wstać. To było jak dziwne ostrzeżenie płynące z głębi umysłu.

– Satoru... Satoru!

Potrasnęłam nim, ale nic nie wskazywało na to, by zaczął się budzić. To było w sumie zrozumiałe. Gdy dotknęłam jego twarzy, wyczułam, że jego skórę nadal pokrywają plamy zaschniętej krwi. Nie mieliśmy nawet okazji porządnie się umyć, zanim poszliśmy spać.

– Satoru! Obudź się!

Nie było czasu na próby delikatnego przerwania snu Satoru. Pomimo tego, że było mi przykro, że muszę to zrobić, zakryłam dłońmi jego nos i usta. Satoru zaczął się wić i młócić ramionami, łapiąc mnie za ręce i próbując powstrzymać mnie przed duszeniem go.

– Czego chcesz...? Daj mi spać.

– Nie. Wstawaj, i to już. Rozumiesz? Jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Satoru niechętnie otworzył oczy, ale wciąż wyglądał na zaledwie w połowie przebudzonego. Nie zaczął nawet się podnosić.

– Co to za niebezpieczeństwo...?

– Mam przeczucie. Coś złego się zbliża.

– Niby co?

Nie odpowiedziałam. Satoru wyglądał na zdezorientowanego. Po chwili milczenia odwrócił się mówiąc „dobranoc” i powrócił do spania.

– Satoru, wiem że jesteś zmęczony, ale jeśli nie wstaniesz teraz, możesz nie wstać już nigdy.

– O czym ty mówisz? – odparł Satoru, pocierając głowę. – Miałaś jakiś koszmar?

– To nie koszmar. Może przeczucie. Podczas snu umysł przetwarza wydarzenia z minionego dnia. A mój umysł podpowiada mi teraz, że nadciąga coś bardzo niebezpiecznego.

– Dobra, no to posłuchajmy co to za niebezpieczeństwo. Zgaduję, że wszystko będzie jasne i uporządkowane, nie?

Skrzyżowałam ramiona i zastanowiłam się. Wydawało mi się że już prawie wiem w czym rzecz, jednak wciąż brakowało mi jakiegoś elementu. Cały czas nie zauważaliśmy jakiegoś niespodziewanego zagrożenia.

– Myślę że zbyt łatwo uwierzyliśmy w historię Squealera.

– Myślisz że skłamał w którejś kwestii? – Satoru nareszcie zaczął wyglądać na rozbudzonego.

– Nie do końca. Oczywiście możliwe, że nie był do końca szczery, ale uważam że większość z tego, co powiedział, było prawdą. Myślę, że jest coś z czego sam Squealer również nie zdaje sobie sprawy. I właśnie to jest prawdopodobnie dla nas najniebezpieczniejsze.

Podczas gdy mówiłam, ostrzegawcze przeczucie w mojej głowie zaczęło przybierać klarowną postać.

– Atak. Jestem tego pewna. Ziemne Pająki mają zamiar przypuścić szturm dzisiejszej nocy, najpewniej tuż przed świtem, gdy nasze zdolności bojowe będą najmniejsze.

– Niemożliwe. Nie pamiętasz co mówił Squealer? Wojny dziwoszczurów opierają się na regułach go.

– To błędne założenie. Sam pomyśl. Ziemne Pająki to dzika, nietutejsza kolonia. Dlaczego miałyby trzymać się strategii bitewnych Iokiego?

– Ale jeśli zaatakują w tunelach, próbując nas pojmać, będzie to oznaczało, że używają takiej samej taktyki jak my sami.

– Jasne, takie posunięcie jest prawdopodobnie uniwersalne wśród dziwoszczurów. Ale Ziemne Pająki mogą mieć w zanadru inną strategię.

– Cóż, to nie jest niemożliwe... – westchnął Satoru, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że jestem przewrażliwiona a moje argumenty nie mają solidnych podstaw.

– Już mam! – wykrzyczałam. – Wreszcie wiem czym jest to dziwne przeczucie, którego nie potrafiłam wcześniej określić.

– Zanim coś powiesz, przypomnij sobie jak Rijin zabijał Ziemne Pająki. Nie walczyły pod ziemią, prawda? Do starcia doszło na powierzchni – odparł szybko Satoru. Wreszcie w pełni się dobudził.

– To dlatego, że wcześniej zostały pogrzebane żywcem. Musiały zdać sobie sprawę, że ukrywanie się pod ziemią jest bez sensu.

– Ale to był ich pierwszy kontakt z cantusem, mam rację? Jak to możliwe, że tak szybko opracowały nową strategię?

– Wiedziały, że są w niekorzystnej sytuacji, więc próbowały nas przepędzić wykorzystując zwykłą przewagę liczebną.

– Też o tym pomyślałem, ale czy nie powinny w takim razie schronić się w podziemiach, gdy tylko rozpoczęła właściwa potyczka? Zamiast tego po prostu zaczęły strzelać w naszym kierunku. Dlatego, że to jest ich styl walki.

– Ale przechwycenie podziemnej kolonii, atakując z góry jest...

– Musi być inny sposób. Taki, który jest szybszy niż okopywanie się na pozycjach i odcinanie komunikacji wroga. – Satoru zamilkł na chwilę. – Jeśli jest tak, jak mówisz, teraz, gdy już wiedzą o cantusie, musieli uświadomić sobie, że nie mają innego wyboru jak przeprowadzenie ataku z zaskoczenia.

Nawet pomimo panujących ciemności wyczułam, że kiwa ze zniechęceniem głową.

– To nie wszystko. Bez względu na to, że Łowiki mają za sojuszników potężnych ludzi, walka z Rijnem nauczyła Ziemne Pajaki, że da się ich zabić, atakując z zasadzki.

Po kręgosłupie przebiegł mi złowrogi dreszcz, który stawał się silniejszy z każdą sekundą.

Nie zostało dużo czasu.

Rozdział 4

– Uciekajmy – powiedział Satoru.

– Dokąd?

– Dokądkolwiek, w każdym razie jak najdalej od gniazda. – Satoru wstał i wyrzwał na zewnątrz naszej sypialni. – Saki, pamiętasz którądy tu przyszliśmy? Droga była dość skomplikowana.

– Może. Pamiętam to trochę jak przez mgłę, więc nie mam pewności...

Próbowałam przypomnieć sobie sekwencję skrętów i korytarzy, które przywiodły nas tutaj z kwater królowej.

– Nie dam rady. Pamiętam, że najpierw skręciliśmy w lewo, ale kierunki, które wybieraliśmy później, kompletnie mi się pomieszały.

Moja zdolność orientacji nigdy nie należała do najlepszych. Nie jest tak źle, kiedy przeszłam już daną drogę kilka razy, lecz nawet w takim przypadku wciąż bywam zdezorientowana, gdy muszę pójść nią wstecz.

Satoru skrzyżował ramiona, próbując z całych sił wygrzebać z pamięci przebieg naszej wędrówki.

– Nie było wielu rozwidleń. Najbardziej skomplikowane było miejsce, gdzie korytarz rozdzielał się na trzy kolejne. Na pierwszym skrzyżowaniu poszliśmy w lewo, później w prawo, a potem... no właśnie, którądy?

– Przypominam sobie coś jeszcze. Na całym przebiegu nasza ścieżka prowadziła lekko w dół.

Zapamiętałam to, ponieważ odniosłam przez to wrażenie, że jesteśmy prowadzeni w głąb piekieł.

– Och, naprawdę? Hmm... Na pewno ani razu nie szliśmy w górę? – Satoru chwycił moją dłoń. – No to po prostu teraz zmierzajmy w stronę powierzchni. Jeśli droga zacznie opadać, zawróćimy do ostatniego rozwidlenia i wybierzemy drugi korytarz.

– Ale nie wszystkie ścieżki wiodące w górę muszą być właściwe, racja? – zauważyłam oczywistą niedoskonałość planu.

– Tak, ale nawet jeśli nie odtworzymy wiernie drogi, którą tu przyszliśmy, to dopóki będziemy szli w górę, w końcu wydostaniemy się na powierzchnię, prawda?

Zachodziłam w głowę, czy możemy być tak beztroscy. Zaczęłam się zastanawiać czy Satoru ma rację i czy damy w ogóle radę odtworzyć naszą drogę w tym mroku. Może gdybyśmy mieli linę lub coś podobnego... Nawet Tezeusz miał ze sobą kłębek nici Ariadny, który prowadził go przez labirynt Minotaura.

– Hej, czy nie możemy po prostu zawołać dziwoszczurów i powiedzieć im, że chcemy wyjść na zewnątrz? No bo jeśli zabłądzimy...

Satoru przybliżył się do mnie.

– Nie możemy im wyjaśnić, czemu chcemy odejść, prawda? I tak samo nie potrafimy przewidzieć ich reakcji, kiedy zorientują się, że nie mamy cantusu.

Wyteżyłam słuch, ale nigdzie w pobliżu nie słyszałam odgłosów dziwoszczurów. Wyglądało na to, że tuż przed świtem są najmniej aktywne. Korytarze były jednak jeszcze ciemniejsze niż nasz pokój, sprawiając wrażenie zatopionych w atramencie. Nie mogłam zdobyć się na odwagę by zrobić krok na zewnątrz.

– Ej, czy to nie jest trochę dziwne? – spytałam.

– Niby co? – Satoru chrząknął ze zniecierpliwieniem. – Nie ma tu nic dziwnego.

– Dlaczego wewnątrz sypialni jest jaśniej niż poza nią?

Zatrzymał się w pół kroku, wyglądając na zaskoczonego. Nie myliłam się, Mimo, że było to ledwie dostrzegalne, wewnątrz izby dało się zobaczyć ruch, podczas gdy na zewnątrz panowały zupełne ciemności.

– Masz rację... No tak. Gdzieś tutaj musi być źródło światła!

Rozglądaliśmy się, ale nie udało nam się niczego znaleźć.

Satoru wciąż ścisnął odebraną Ziemię Pająkom włócznię, jakby była najcenniejszą rzeczą na świecie. Kiedy upewnił się,

w którym miejscu stoję, zaczął szturchać bronią ściany pokoju. Po kilku chwilach na jej grocie pojawił się świecący punkcik.

– Co to było?

Pomału przeszłam w głąb jaskini. Wyglądało na to, że z góry pada słabe światło. Uniosłam wzrok i westchnęłam.

Przez ogromną szczelinę wyłupaną w suficie widziałam gwiazdy błyszczące wysoko na niebie.

– Powierzchnia? Czy to droga na zewnątrz?

– Nie... To nie są gwiazdy – wyszeptał z niedowierzaniem Satoru. – Wyglądają jak one, ale wcale nie migocą. Co to jest, u diabła?

Satoru zamachnął się w kierunku szmaragdozielonych świetlnych drobinek. Pomyślałam, że to niemożliwe, by ich dosięgnął, ale ku mojemu zdziwieniu włócznia bez trudu musnęła sufit, powodując, że światełka zadrżały.

Pomału cofnął broń. Wydawało mi się, że na grocie pozostanie kilka błyszczących punkcików, ale zamiast tego z ostrza zaczęły skapywać krople gęstej cieczy.

Satoru dotknął brei palcami. – Jest strasznie lepka. Chcesz sama sprawdzić?

Pokręciłam głową. Tym, co świeciło z sufitu, były udomowione przez dziwoszczury robaczki świętojańskie.

Pierwsze wzmianki o tych insektach pojawiały się już w starożytnych czasach, kiedy to odnaleziono je w jaskiniach Australii i Nowej Zelandii. Pomimo, że nazywa się je robaczkami, znacznie bliżej spokrewnione są z muchami czy komarami. Ich larwy gnieźdzą się na sufitach, gdzie za pomocą lepkich kulek śluzu polują na inne owady, które następnie zjadają. Światło, które emitują służy do wabienia ofiar, a odbijając się od śluzowych kuleczek sprawia jednocześnie wrażenie galaktyki zbudowanej ze szmaragdowych gwiazd.

Robaczki świętojańskie nie były w Japonii rodzimym gatunkiem; niedługo przed upadkiem starożytnej cywilizacji zostały

tu zawleczone jako wędkarska przynęta na ryby. Pewna część z nich zdołała przetrwać i została zmodyfikowana przez dziwoszczury tak, by służyć im za żyrandole w holach wejściowych.

Satoru ponownie szturchnął sufit włócznią by zebrać na nią więcej śluzu i zorientować się, gdzie właściwie znajdują się owady. Po krótkiej dyskusji wspierałam się na jego ramiona by nagromadzić go jeszcze więcej. Ponieważ byłam lżejsza, to ja musiałam być na górze, dotykając paskudnych, świecących na zielono owadów.

Satoru wziął ode mnie robaczki, i używając ich własnych lepkich wydzielin, przykleił je do ostrza włóczni. Może to dzięki selektywnemu rozrodowi prowadzonemu przez dziwoszczury, insekty nie przestawały świecić nawet gdy obchodzono się z nimi tak brutalnie.

– No dobra, ruszajmy – oświadczył zdecydowanie Satoru, ruszając w kierunku wyjścia.

Zarzuciliśmy plecaki na ramiona, chwyciliśmy się za dłonie i wkroczyliśmy w mrok, rozświetlany jedynie nikłym światłem robaczków świętojańskich.

Wracając myślami do tamtego dnia, to była dziwna podróż.

Słaby, widmowy blask koniuszka włóczni był całym naszym oświetleniem. Poza tą niewielką, kulistą łuną nie mogliśmy ujrzeć nawet własnych dłoni. Próbowałam rozglądać się wkoło i machać ręką blisko przed twarzą, ale widziałam jedynie czarny cień. Musieliśmy iść tuż obok siebie, aby w ogóle orientować się w którą stronę się poruszamy. Szerokość tunelu była akurat na tyle duża, byśmy mogli przemieszczać się w taki sposób. Właściwie to nawet cieszyłam się, że nie jest szerszy, ponieważ w ten sposób któreś z nas zawsze dotykało ściany.

– Idziemy teraz w górę? – pytał co kilka kroków Satoru.

Za każdym razem odpowiadałam mu coś w rodzaju: „tak”, „nie wiem” albo „kto wie?”. Niezależnie od tego, jakiej odpowiedzi akurat udzieliłam, nie wyglądało na to by nasza sytuacja miała ulec zmianie.

Blask światła ujawniał od czasu do czasu rozwidlenie drogi na dwie lub trzy odnogi. Te skrzyżowania zawsze były dobrze widoczne, ponieważ w ich pobliżu rosły kępki świecącego mchu.

Pomimo tego, że emitował on blask, działało to na innej zasadzie niż w przypadku robaczek świętojańskich. Podobne do soczewek komórki gromadziły i wydzielały światło, by umożliwić przeprowadzanie fotosyntezy w mrocznych tunelach.

Dziwoszczury powinny być w stanie przemierzać te korytarze, polegając na swoim zmyśle dotyku i węchu, jednak w miarę jak stawały się coraz bardziej ucywilizowane, zaczęły potrzebować bardziej efektywnej metody przemieszczania się. Dlatego też zaczęły wykorzystywać naturalne właściwości otaczającej je przyrody.

Kontynuowaliśmy wędrówkę w milczeniu. Nie spotkaliśmy ani jednego dziwoszczura, więc założyłam, że najprawdopodobniej właśnie odpoczywają. Najpierw pomyślałam, że to szczęśliwy dla nas zbieg okoliczności, ale w miarę upływu czasu zaczęłam mieć złe przeczucia.

– Hej, idziemy już chyba ładny kawałek czasu, co? – spytałam Satoru.

– Ta.

– Może to rzeczywiście nie jest właściwa droga?

Zatrzymaliśmy się. Jeśli się pomyliliśmy, to gdzie dokładnie się znajdowaliśmy? Pomyślałam o dotychczasowym przebiegu naszej trasy.

– To nie ma sensu. Kiedy szliśmy, zapamiętywałem ile było zakrętów i które rozwidlenia wybraliśmy. Nie wydaje mi się, żeby to była zła ścieżka...

– Nadal uważam, że gdzieś zrobiliśmy błąd. To nie powinno trwać tak długo.

– Może i tak. Zawróćmy i wybierzmy inny korytarz.

Odwróciliśmy się i zaczęliśmy cofać się w kierunku z którego przyszliśmy. Schodzenie tunelami w głąb podziemi było przygnębiające, ale nie mieliśmy innego wyboru. Jednakże, nie

minęło więcej niż kilka chwil, aż ujrzeliśmy coś bardzo zaskakującego.

– Rozwidlenie dróg! – westchnęłam.

– To niemożliwe. Tego skrzyżowania wcześniej tu nie było, nie?

Ponieważ również zapamiętywałam naszą trasę, byłam stuprocentowo pewna, że rzeczywiście tak jest. Odparłam, że faktycznie poprzednio go nie mijaliśmy.

Satoru zaczął uważnie badać ziemię ze ścian korytarza.

– Hmm... No tak! A niech to... – warknął nagle, sprawiając, że podskoczyłam przestraszona.

– Co się stało?

– No jasne. To w sumie też jest możliwe. Ale żeby zrobiły to w takim krótkim czasie... – westchnął głęboko.

– O czym ty gadasz? Hej, co się dzieje?

– Ta ziemia jest świeżo przekopana...

Zrozumiałam, w czym rzecz i poczułam jak krew odpływa mi z twarzy.

Dziwoszczury nieustannie budują nowe tunele i zmieniają kształt swoich gniazd. Innymi słowy, nie było żadnej gwarancji, że droga, którą przybyliśmy do naszej sypialni zachowała się niezmienną do obecnej chwili.

– Myśleliśmy, że skoro dziwoszczury nie wykazują teraz żadnej aktywności, to wszystko będzie w porządku, ale najwyraźniej tunele są budowane niezależnie od pory dnia. Prawdopodobnie przygotowują gniazdo na wojnę. Zgaduję, że niedługo po tym, jak przeszliśmy tym tunelem, przekopały się tu z innej strony, tworząc to rozwidlenie.

Satoru ze złością rzucił w ścianę grudą ziemi.

– Więc my właśnie...

– Tak, zabłądziliśmy.

Gdybym była w stanie dojrzeć wtedy twarz Satoru, to nie mam wątpliwości, że zobaczyłabym malujące się na niej cierpienie i łzy zbierające się w kącikach oczu.

Błąkaliśmy się bez celu ciemnymi korytarzami. Pomimo tego, że tak naprawdę spędziliśmy tam mniej więcej pół godziny, stres spowodowany wędrówką przez prawie absolutne ciemności, połączony z przebywaniem w skrajnie ciasnej przestrzeni sprawił, że wydawało nam się, że upłynęła cała wieczność. Mieliśmy na sobie lekkie ubrania, a powietrze było chłodne na tyle, by dostać gęszej skórki, jednak mimo tego całe ciało miałam pokryte potem.

Skarzyliśmy się bogom, wybuchaliśmy niekontrolowanym płaczem i przeklinaliśmy prześladowającego nas pecha wulgarnymi słowami, które normalnie rzadko padały z naszych ust; cały czas jednak trzymaliśmy się blisko siebie i nie przerywaliśmy marszu.

Właśnie wtedy, naszymi umysłami stopniowo zawładnął chaos.

W moim przypadku pierwszym objawem okazały się słuchowe halucynacje. Usłyszałam bezcielesny głos, który wzywał moje imię.

– *Saki. Saki.*

– Słyszałeś coś? – pytałam Satoru, rejestrując czasami w odpowiedzi denerwujący głos dochodzący znad mojej głowy.

– Nie.

– *Saki, Saki.*

Tym razem usłyszałam to wyraźnie.

– *Saki, gdzie jesteś? Pośpiesz się i wracaj.*

To był głos mojego ojca.

– Tato, tato! – krzyknęłam. – Zgubiłam się, pomóż mi!

– *Posłuchaj, Saki. Nie wychodź nigdy poza Świętą Barierę. Wewnątrz jest bezpiecznie, ale jeśli uczynisz choćby jeden krok poza nią, nie będziesz chroniona niczyją mocą.*

– Wiem. Ale nie potrafię wrócić. Nie mogę znaleźć drogi powrotnej.

– *Saki. Saki. Uważaj na dziwoszczury. Czczą posiadających cantus ludzi jak bogów i są im bezwzględnie posłuszne. Nie jesteśmy jednak w stanie przewidzieć, jak mogłyby się zachować w stosunku do dzieci., które nie posiadają mocy. Dlatego z całych sił musimy trzymać je z daleka od nich.*

– Tato...

– Hej, co ty wygadujesz? Weź się w garść!

W porównaniu z moimi halucynacjami, głos Satoru wydawał się bardzo odległy i nierzeczywisty.

– *Mówiło się, że gdy na tron wstąpił piąty imperator, Cesarz Rozkoszy, radość i aplauz publiki trwały przez trzy dni i trzy noce. Pierwsze sto osób, które przestało klaskać, stało się ofiarami. Zostali podpaleni, a ich zwęglone ciała przekształcono w posągi zdobiące pałacowe korytarze. Z tego powodu lud nadał Cesarzowi Rozkoszy przydomek Cesarza Wiecznych Wrzasków.*

– Tato... Pomóż.

– *Trzynasta z władców, cesarzowa Airin, była zwana Królową Smutku... każdego poranka z radością przyglądała się publicznym egzekucjom ludzi, którzy choćby troszeczkę ją zdenerwowali... znajdowała uciechę w najbardziej brutalnych... powstrzymywali się od jedzenia, by nie wymiotować... trzydziestego trzeciego imperatora, Cesarza Wspaniałomyślności, zwano Królem Wilkiem... pożerał ich ciała... jego syn, trzydziesty czwarty imperator, Cesarz Nieskalanej Cnoty... nazwany Królem Heretykiem... gdy miał dwanaście lat, udusił swojego ojca... ogarnięty paranoicznym strachem przed zostaniem zamordowanym, pozabijał po kolei wszystkich swoich młodszych braci i męską część kuzynostwa... karaluchy pożarły ich ciała... sześćdziesiąta czwarta władczyni... porywała młode dziewczyny w ciąży podczas pełni księżyca i pożerała płody w całości... odłamki ludzkich kości widoczne jak okiem sięgnąć...*

Zniekształcony głos mojego ojca stał się nagle dziwnie monotony.

– *Posłuchaj. Etolog o imieniu Konrad Lorenz, żyjący u szczytu starej cywilizacji odkrył, że silne zwierzęta, takie jak wilki czy kruki, jak również zwierzęta socjalne, posiadają wrodzony mechanizm, zmuszający je do unikania konfliktów z przedstawicielami własnego gatunku. Słabsze fizycznie zwierzęta, jak ludzie i szczury, nie*

podlegają takiej kontroli i mają tendencję do walczenia między sobą, co kończy się brutalną rzezią.

– Tato, przestań!

– Ioki zdał sobie sprawę, że jeśli poświęci jedną z własnych baz, jego wojska będą w stanie przełamać obronę przeciwnika. Był tylko jeden problem. Baza, która musiała zostać oddana przeciwnikowi, była tą, w której znajdował się sam Ioki. Tak, jak się spodziewał, on i sześciu jego towarzyszy zostali otoczeni przez wroga. Walczyli dzielnie aż do samego końca. Wszyscy zostali zmasakrowani a ich ciała okaleczone tak bardzo, że były nie do odróżnienia od mielonego mięsa...

– Otrząśnij się z tego, głupia! – Satoru uderzył mnie w ramię.

– Nic mi nie jest – odparłam, ale głos nie chciał zamilknąć.

Jakby tego było mało, zaczęłam mieć zwidy.

– Czy wasza szkoła wyraziła zgodę na to, byście tak bardzo się oddalili? – spytał kpiąco mnich. – Pogwałciliście najbardziej fundamentalną regułę Kodeksu Etyki, ostatnie z Dziesięciu Wskazań: „Nie bezcześć Trzech Klejnotów”. Uwierziliście w słowa demona i poddaliście w wątpliwość nauczanie Buddy. Dlatego też zamknę was na wieczność w tych papierowych ludzikach. Spędzicie resztę swojego życia uwięzieni wewnątrz nich...

– Saki! Saki!

Satoru potrząsał mną tak silnie, że wydawało mi się, że uszkodzi mi kark. Powoli zaczęłam powracać do rzeczywistości.

– Satoru...

– Co ty do siebie mamrotałaś? Myślałem, że ześwirowałaś.

– To całkiem możliwe – wyszeptalam.

Najprawdopodobniej było to rzeczywiste zagrożenie; gdybyśmy nie mieli siebie nawzajem, naprawdę moglibyśmy zwariować.

Przemierzaliśmy tunele przez długi czas, nie napotykając po drodze nawet jednego dziwoszczura. Gdy jednak teraz o tym pomyślę, całkiem możliwe że wykryły naszą obecność znacznie wcześniej i odsunęły się od naszej drogi, pozwalając nam iść.

Z naszej dwójki to ja pierwsza zauważyłam, że dzieje się coś niezwykłego.

– Usłyszałeś ten dźwięk przed chwilą?

Nie usłyszałam odpowiedzi. Uścisnęłam mocniej dłoń Satoru. Nadal nie odpowiadał.

– Satoru?

Uderzyłam go lekko w twarz. Raz, drugi, trzeci... Wreszcie wydał z siebie niski jęk.

– Obudź się! Usłyszałam coś dziwnego!

– Ten dźwięk słychać od samego początku... – powiedział cicho Satoru. – Wołają nas spod ziemi. To głosy umarłych...

Wzdrygnęłam się. Teraz, zamiast mnie, to Satoru zaczął się zachowywać jak obłąkany. Znacznie istotniejszy był jednak ten niepokojący odgłos. Czułam, że moja intuicja wyostrzyła się po wędrówce ciemnymi tunelami. Szósty zmysł ostrzegał mnie, że nadciąga niebezpieczeństwo. Nie było czasu by martwić się o stan psychiki Satoru.

Przysłuchując się uważnie, ponownie wychwyciłam tamten dźwięk. Z powodu pogłosu, jaki powstawał w korytarzach, nie byłam w stanie określić, w jakim kierunku znajduje się źródło dźwięku; stawał się on jednak stopniowo coraz głośniejszy. Mogłam już usłyszeć go bardzo wyraźnie. Piskliwe wrzaski i okrzyki bitewne dziwoszczurów. Brzdęk czegoś metalowego, może gongu. I jeszcze coś trudnego do zidentyfikowania, jakby bicie braw, albo szum oceanu.

Wszystkie te dźwięki zlewały się w jedną kakofonię; to był zgiełk wojny. Moje przeczucie mnie nie myliło.

– Szybko, biegiem! Ziemne Pająki atakują! – Pociągnęłam Satoru za rękę, ale nawet się nie odezwał.

Napotkaliśmy kolejne rozwidlenie dróg. Zastanawiałam się, którądy powinniśmy pójść. W lewo, w prawo, a może zawrócić?

Chwyciłam prawą dłoń Satoru i wysunęłam włócznię do przodu, jednak na jej ostrzu nie dostrzegłam wątlego, zielonkawego światła.

Po uważnym przyjrzeniu się broni, odkryłam, że wszystkie robaczki świętojańskie pozdychały.

Wtedy właśnie uświadomiłam sobie, że nie znajdujemy się w zupełnych ciemnościach. Porastający korytarz mech jarzył się nikłym blaskiem. Światło musiało skądś tu dochodzić. Spędziliśmy w podziemiach tyle czasu, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby na zewnątrz było już jasno. Jeśli się nie myliłam, wyjście musiało być tuż przed nami.

Przebijając wzrokiem mrok, zobaczyłam wąły, migotliwy blask. Chwyciłam mocno rękę Satoru i ostrożnie ruszyłam w jego kierunku. W miarę, jak się przemieszczaliśmy, w tunelu stawało się coraz jaśniej, jednakże dźwięki walki również przybierały na sile.

Jeśli dostalibyśmy się w sam środek bitwy, to bez wątpienia nie zdołalibyśmy się obronić.

W korytarzu szybko stało się równie jasno jak podczas księżycowej nocy. Źródło światła znajdowało się w zakręcającym w prawo, wznoszącym się tunelu.

Zawahałam się przez chwilę, zanim zrobiłam krok naprzód. Nie mogliśmy zostać tu na zawsze. Za wszelką cenę chciałam dowiedzieć się, czy to rzeczywiście jest wyjście.

W ostatecznym rozrachunku, ten moment zawahania prawdopodobnie ocalił nam życie.

Nagle usłyszeliśmy krzyk i z krętego tunelu wytoczył się dziwoszczur. Co jakiś czas wstrząsały nim konwulsje. Był śmiertelnie ranny.

Jednocześnie, wyczułam jakiś dziwny zapach, coś jak zgniłe jaja. Kiedy spojrzałam w kierunku tunelu, z którego wypadł umierający dziwoszczur, dostrzegłam rozbłysk światła, a korytarz zaczęły wypełniać obłoki gazu.

Nie wdychaj tego – pomyślałam instynktownie.

– Tędy!

Obróciłam się na pięcie i pociągnęłam za sobą Satoru, pędząc na złamanie karku drogą, którą się tu dostaliśmy. W miarę, jak

schodziliśmy coraz niżej, zapach nie stawał się jednak coraz słabszy; wręcz przeciwnie, przybierał na sile.

Kiedy zaczęłam już panikować, Satoru wreszcie doszedł do siebie.

– Ucieczka nie ma sensu. Jesteśmy jak myszy w labiryncie – zaśmiał się.

– Nie jesteśmy żadnymi myszami – odwarknęłam.

– Fakt, nie jesteśmy – wymamrotał z zupełną nonszalancją. – Kiedy próbuje się zagazować myszy, ukrywają się w najdalszych kątach swoich norek.

– Zagazować?

W końcu zrozumiałam, czym było spowodowane tamto męczące mnie dziwne uczucie.

– To dziwne. Normalny gaz unosi się w górę, a nie opada na dół

– Czy to nie oczywiste? Atakują wroga w tunelach – rzekł Satoru ze zniechęconą przeze mnie nutą przemądrzałości w głosie, widząc, że nadal nie rozumiem w czym rzecz. – Dlatego też wykorzystują gaz cięższy od powietrza.

Westchnęłam.

– Skoro o tym wiedziałeś, to dlaczego...?

Hamując złość kontynuowałam bieg w dół korytarza, analizując w myślach drogę, którą przemierzyliśmy. Pamiętałam pewien wznoszący się w górę odcinek, co do którego miałam nadzieję, że wyprowadzi nas na zewnątrz; niestety blisko powierzchni zaczął ponownie opadać, jakby celowo chcąc sprawić nam zawód. Gdybyśmy zdołali tam powrócić, może uniknęlibyśmy trującego gazu.

Bez emitowanego przez robaczki świętojańskie światła, biegaliśmy po labiryncie tuneli na granicy paniki. Musiałby nastąpić cud, byśmy odnaleźli właściwą drogę.

– Ten prowadzi w górę!

Wydawało się, że to dość długa pochyłość. Pomimo, że nogi paliły nas żywym ogniem gdy bieглиśmy pod górę, zacisnęliśmy zęby

i gnaliśmy bez zatrzymywania się. Ból był dowodem na to, że wciąż żyjemy.

W pewnym momencie korytarz przestał się wznosić i zaczął zamiast tego delikatnie opadać.

– Odpocznijmy tu przez chwilę.

Od momentu wpuszczenia do gniazda trującego gazu, mogliśmy jedynie mieć nadzieję, że nas on nie dosięgnie. Gdyby korytarze były proste, kontynuowanie ucieczki byłoby lepszym pomysłem, ale w sieci wijących się i łączących ze sobą tuneli, gaz mógł nas okrążyć. Z tego powodu w naszej sytuacji bezpieczniej było schronić się w najwyżej położonym punkcie.

Siedzieliśmy wśród ciemności.

– Wszystko w porządku?

Ciche „tak” było wszystkim, co usłyszałam w odpowiedzi.

– Ciekawe, ile gazu już się ulotniło.

Pomimo, że nadal nie mogłam zobaczyć Satoru, wyczułam, że kręci głową.

– Ani trochę – powiedział.

– Ale to niemożliwe. Nie może utrzymywać się w tych tunelach przez cały czas, prawda?

– Prawda, ale prawdopodobnie ulotni się dopiero po kilku dniach – westchnął ciężko Satoru. – Do tego czasu albo udusimy się z braku powietrza, albo gaz dotrze również tutaj.

Poczułam, jak żółć napływa mi do gardła. Czyżbyśmy mieli umrzeć w tym miejscu?

– To... To co powinniśmy zrobić?

– Nie mam pojęcia – odparł zdawkowo Satoru.

– Jeżeli Łowiki zdołają zwyciężyć, będą mogły nas stąd wyciągnąć. Jednak nawet w takim przypadku, będziemy musieli czekać, aż trujący gaz się rozwieje.

Wszechogarniająca rozpacz wysłała z nas całą energię. Szukaliśmy bezpiecznego schronienia z takim zdeterminowaniem, że aż do teraz nie dostrzeżliśmy, że wędrujemy po własnym grobie.

Bezsilne oczekiwanie na koniec nie było niczym innym jak psychiczną torturą, w porównaniu z którą ucieczka przed toksycznym gazem wydawała się całkiem niezłą zabawą.

– Wiesz... Nawet pomimo tego, że tu utknęliśmy... – powiedziałam bezwiednie.

– Hmm?

– Cieszę się, że nie jestem sama.

– Jesteś zadowolona, że pociągniesz mnie na dno wraz z sobą?

Uśmiechnęłam się nieznacznie.

– Gdybym nie miała cię z sobą, nie zniosłabym tego. I z pewnością nie zaszłabym tak daleko.

Choć zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, ostatecznie skończyliśmy w ślepej uliczce, bez możliwości uciezki.

– Ja mogę to samo powiedzieć o tobie.

Możliwe, że nie będąc w pełni władz umysłowych, nie potrafi się odczuwać cierpienia. Dlatego też z ulgą przyjąłam fakt, że Satoru najwyraźniej powrócił do zdrowych zmysłów.

– Ciekawe, czy Maria i pozostali zdołali uciec.

– Pewnie tak.

– To dobrze.

Na tym skończyła się nasza rozmowa.

Czas płynął leniwie w nieprzeniknionym mroku. Nie miałam pojęcia czy minęła minuta, pięć minut, a może pół godziny. Odruchowo ocknąłam się z półsnu, w którym byłam pogrążona.

– Satoru! Satoru!

– Co się...? – spytał nerwowo.

– Śmierdzi tu. Nie rozumiesz? Gaz tu doleciał!

Odór zgniłych jaj, taki sam jak ten, który czuliśmy niedaleko wyjścia.

– Nie możemy dłużej tu zostać. Spróbujemy pójść dalej?

– To bez sensu, nie znamy korytarza, który leżałby wyżej od tego tutaj. To byłoby samobójstwo – rozmyślał Satoru. – Masz lepszy

węch niż ja; wyczuwasz, skąd napływa gaz? Od wyjścia czy z obu stron?

– Nie potrafię określić czegoś takiego.

Byłam w stanie czasami określić, z którego kierunku płynie dźwięk; nie wydaje mi się jednak, bym potrafiła zrobić coś takiego, jeśli chodzi o zapach.

– Nie, czekaj.

Zrobiłam kilka kroków w stronę wyjścia i wzięłam głęboki wdech, a następnie zrobiłam to samo idąc w przeciwną stronę. Cieszyłam się, że Satoru mnie nie widzi. Byłam przekonana, że wyglądam jak wężący dziwoszczur.

– Wydaje mi się, że napływa tylko z jednej strony. Z kierunku, w którym znajdowało się wyjście.

– Więc może nie wszystko stracone. Spróbujmy zablokować tunel.

– Jak?

– Zawalmy go.

Satoru wbił włócznię w sufit, próbując sprawić, aby runął. Nie byłam w stanie go dostrzec, ale ruch powietrza i grudki ziemi spadające mi na twarz pozwalały domyślać się, że wkłada w tą czynność olbrzymi wysiłek.

– Uważaj, Saki!

Satoru nagle wpadł wprost na mnie. Zostałam odrzucona w głąb tunelu, przygnieciona jego ciałem.

Zastanawiałam się, co się właśnie stało, gdy z sufitu zaczęły spadać całe tony ziemi. Osłaniając twarz dłońmi, mogłam jedynie czekać aż korytarz do końca się zawali. Nie byłam w stanie nawet otworzyć ust, by krzyknąć. Kiedy wreszcie wszystko ustało, cała byłam pokryta błotem a moje nogi poniżej kolan były zupełnie pogrzebane pod zawaliskiem.

– Nic ci nie jest? – spytał z troską Satoru.

– Nie.

– To było raczej niebezpieczne. Dużo nie brakowało, żebyśmy zostali pogrzebani żywcem.

Logicznie rozumując, próba zawalenia sufitu pomieszczenia, w którym akurat się znajdowaliśmy, była wyjątkowo głupia, jednak kierowani instynktem przetrwania działaliśmy, nie myśląc o konsekwencjach. Ostatecznie okazało się, że mieliśmy sporo szczęścia.

Otrzeźwialiśmy się z pyłu i upewniliśmy, że korytarz został całkowicie zablokowany. Aby stuprocentowo utwierdzić się w przekonaniu, że góra gleby jest wystarczająco szczelna, żeby nie przepuścić gazu, dodatkowo ją uklepaliliśmy.

– Hej, spójrz. Gdyby tak zawalić więcej ziemi, to czy nie zrobilibyśmy w ten sposób wyjścia na powierzchnię? – spytałam, patrząc na wyłupaną w suficie dziurę, lub przynajmniej na miejsce, w którym powinna się ona znajdować, bo oczywiście nadal było zupełnie ciemno.

– Ale nie słyhać żadnych dźwięków z zewnątrz. Prawdopodobnie od powierzchni nadal dzielą nas ponad trzy metry ziemi. Nie damy rady się stąd przekopać; gdybyśmy spróbowali, to naprawdę pogrzebiemy się tu żywcem.

Koniec końców ponownie usiedliśmy na podłodze.

Całe zamieszanie spowodowane zasypaniem tunelu dało mi złudną nadzieję, że robimy jakieś postępy, jednak gdy chłodno przeanalizowałam sytuację, okazało się, że ani troszeczkę się ona nie zmieniła. Tym razem jednak znajdowaliśmy się w jeszcze ciaśniejszej przestrzeni; gdyby gaz nagle zaczął napływać z otwartej części korytarza, oznaczałoby to nasz koniec. Gdybyśmy natomiast zawalili tunel również po przeciwnej stronie, szybko skończyłoby się nam powietrze i podusilibyśmy się.

Tym razem naprawdę byliśmy zgubieni.

Nie chciałam tu umierać. Nie zostało jednak już nic, co moglibyśmy zrobić. Sama byłam zaskoczona tym, jak bez emocji

przyjęłam to oczekiwanie na śmierć. Byłam jednak zbyt wyczerpana by wykrzesać z siebie energię na przejmowanie się naszym losem.

Odsunęłam się od Satoru i usiadłam przy ścianie, ściskając kolana. Ponownie zaczęły dręczyć mnie halucynacje. Świat na zewnątrz był tak bezkresny, że nie zauważaliśmy wielu rzeczy. Ta myśl uderzyła mnie tak nagle, jakby ktoś nacisnął w mojej głowie jakiś guzik. Tak długa wędrówka przez ciemne tunele osłabiła mentalne bariery, chroniące nasze umysły przed kryjącymi się w ich najgłębszych zakamarkach demonami.

Pierwszym, co ujrzałam, był minoshiro. Jego półprzezroczyste ciało falowało spokojnie przed moimi oczami. W lewo i w prawo. Był niesamowicie realny. Koniuszki rozgałęzionych czułek, sterczących z głowy, jak również kolce, którymi najeżony był jego grzbiet, jasno świeciły na biało, czerwono, pomarańczowo, niebiesko i inne żywe kolory.

Nagle ze sklepienia zaczęły skapywać włókienka błyszczącego, zielonkawego śluzu. W mgnieniu oka zmieniły się w całą galaktykę robaczków świętojańskich.

Zdawało się, że spadający śluz uwięził minoshiro; próbował on wyszarpywać się i iść dalej, ale ostatecznie nie zdołał się oswobodzić. Śluzowe nici kołysały się niczym żyrandole, stopniowo zaciskając się coraz mocniej wokół minoshiro.

Wtedy minoshiro zaczął odrzucać po kolei swoje spętane czułki i kolce.

Zupełnie już gładki grzbiet minoshiro zaczął jaskrawo żarzyć się wszystkimi kolorami tęczy. Barwy mieszały się i nakładały na siebie, tworząc w powietrzu linie i spirale. Piękno tych wzorów sprawiło, że poczułam pustkę w głowie.

W pewnym momencie świetliste kształty przybrały formę fałszywego minoshiro. Barwny powidok nadal utrzymywał się nad jego grzbietem, jednak po chwili wszystko zaczęło znikać mi z oczu.

Mrok powoli pochłaniał nagle światło.

Czy wszystko wokół też rozplynie się w taki sposób...? Nie zdążyłam jednak nawet zastanowić się nad tym pytaniem, bo po chwili sceneria kompletnie się zmieniła.

Rozbłysk pomarańczowego światła pojawił się niespodziewanie tuż przed moim nosem. Ogień płonący nad ołtarzem.

Głęboko spod ziemi dobiegał dźwięk monotonnego śpiewu, zakłócany przez pomarańczowe iskry.

To była scena, która miała miejsce tamtego dnia.

Modlący się mnich rzucił w stronę ognia garść pigułek i dołał do niego aromatyzowany olejek, sprawiając, że płomienie buchnęły pod samo sklepienie.

Modły brzmiały jak koncert chóru cykad, odbijający się echem w moich uszach.

To był dzień mojej inicjacji. Dzień, w którym otrzymałam cantus.

Dlaczego tuż przed śmiercią nie pomyślałam o rodzinie lub o szczęśliwych chwilach dzieciństwa, ale o tamtym dniu?

Niespodziewanie, zupełnie inne wspomnienie zaprzątnęło mój umysł.

– To wbrew zasadom. Nie możemy nikomu zdradzać swoich mantr – powiedział zadziornie Satoru.

Z jakiegoś powodu postanowił nagle zachowywać się jak przykładowy uczeń, pomimo, że nigdy nie był wzorem uczciwości.

– Nic się nie stanie. Jesteśmy przyjaciółmi, nie? Nikomu nie powiem – naciskałam.

– Czemu właściwie chcesz ją poznać?

– Żeby dowiedzieć się jaka jest. No wiesz, żeby sprawdzić jak bardzo różni się od mojej i takie tam...

– No to powiedz mi swoją mantrę – odparł przebiegle Satoru.

Prowokował mnie. W porządku, mogłam zagrać w jego grę.

– Zgoda. Napiszemy je na kartkach, policzymy do trzech i pokażemy je sobie jednocześnie. Co ty na to?

– No... Właściwie to nie. Przecież tracą moc, gdy ujawnimy je innej osobie.

Miałam zamiar powiedzieć, że to wcale tak nie działa, ale ugryzłam się w język.

– No więc? Nie mam zamiaru patrzeć tak długo, żeby ją zapamiętać. Pokażemy je sobie dosłownie na chwilę.

– W takim razie po co to wszystko? – spytał podejrzliwie Satoru.

– To dowód naszej przyjaźni. A poza tym będziemy mogli porównać ich długość i w ogóle.

Zdołałam jakoś go przekonać, więc napisaliśmy swoje mantry na skrawkach papieru.

– Gotowy? No to raz, dwa, trzy! – Na te słowa odwróciliśmy kartki i przez dziesiątą część sekundy patrzyliśmy na mantrę przyjaciela.

– Widziałaś? – spytał Satoru ze zmartwieniem w głosie.

– Niedokładnie. Ale zdążyłam dostrzec jej długość. Jest dosyć krótka.

– Ta, twoja też, Saki. Są dość podobne – powiedział z ulgą.

Zwinął soją karteczkę i podpalił ją. Obróciła się w proch w ciągu kilku chwil.

– Ale na pewno nie widziałaś nawet jednego słowa? – Satoru wyglądał na niecodziennie poddenerwowanego.

– Ani jednego. Zresztą, piszesz tak brzydko, że i tak nie dałabym rady niczego przeczytać.

W końcu mi uwierzył i wyszedł z sali. Szybko podeszłam do stosu kartek, na którym pisał i uważnie się mu przyjrzałam. Satoru mocno dociskał pióro gdy kreślił słowa, więc na papierze pozostał nieznaczny ślad. Delikatnie przyciemniłam arkusz, ujawniając napis.

Po krótkich poszukiwaniach w bibliotece, dowiedziałam się, że to mantra Akaśagarbhy.

Powinno pójść gładko. Wstrzymałam oddech i skupiłam się na Satoru.

Oddychał spokojnie, zupełnie jakby spał, lecz od czasu do czasu mamrotał coś niezrozumiale.

Właśnie wtedy świadomość Satoru była najbardziej obniżona, prawie tak bardzo, jak podczas hipnozy. Jeśli da się wyciągnąć z głębi czyjegoś umysłu myśli które są normalnie tłumione, podobnie jak przytrafiło mi się przed chwilą, to niczym dziwnym nie jest, że da się tą osobę kontrolować poprzez halucynacje, których doświadcza.

Najtrudniejszym aspektem hipnozy jest obniżenie poziomu świadomości poddawanej jej osoby. Kiedy jednak już się to uda, cała reszta jest łatwa. Znałam już wszakże zagrzebaną w głębinach umysłu Satoru mantrę.

Niemniej jednak, gdyby mi się nie powiodło, wszystko byłoby stracone. W razie porażki, oboje musielibyśmy tu zginąć. Kilkakrotnie powtórzyłam sobie w myślach swoje kwestie, po czym wzięłam głęboki wdech i zaczęłam mówić najsurowszym głosem, na jaki było mnie stać.

– Satoru Asahina.

Nie mogłam do dostrzec, więc nie byłam w stanie stwierdzić, czy jakoś zareagował.

– Satoru Asahina. Złamałeś zasady, przychodząc do miejsca dla ciebie nieprzeznaczonego. Co więcej, pozwoliłeś by słowa demona zatruły twoje myśli. Prawdziwy problem jednakże leży znacznie głębiej.

Poczułam, że zadrżał.

– Pogwałciłeś najbardziej fundamentalną regułę Kodeksu Etyki, ostatnie z Dziesięciu Wskazań: „Nie bezcześć Trzech Klejnotów”. Uwierzyłeś w słowa demona i poddałeś w wątpliwość nauczanie Buddy. Z tego powodu muszę natychmiast zapieczętować twój cantus.

Satoru westchnął i zaniósł się płaczem.

Było mi go straszliwie żal, ale zebrałam się w sobie i kontynuowałam.

– Spójrz na płomienie.

Nie usłyszałam żadnej odpowiedzi.

– Spójrz na płomienie.

Wciąż nic.

– Twój cantus został zamknięty w tej figurce. Widzisz ją?

– Tak – odpowiedział, wzdychając przeciągle.

– Wrzucam figurkę do ognia. Wszystko zostało spalone. Każde z twoich doczesnych pragnień uległo spopieleniu. Niechaj prochy powrócą do przepastnej, nieokiełznanej ziemi. Spójrz! – rzekłam, unosząc głos. – Figurka została zniszczona. Twój cantus jest teraz zapieczętowany.

Satoru wydał z siebie jęk cierpienia.

– Odrzuć swoje przyziemne pragnienia. Spal wszystko w oczyszczającym ogniu by osiągnąć nirwanę.

Decydujący moment był coraz bliżej. Przysunęłam się do Satoru.

– Satoru Asahina. W swoim oddaniu Buddzie odrzuciłeś swój cantus – powiedziałam najłagodniej jak potrafiłam, chcąc sięgnąć daleko w głąb jego świadomości, przemierzyć umysł i spętać go mocą swojej sugestii.

Z całego serca pragnęłam ocalić Satoru. Pomimo tego, że to był najszybszy sposób, było mi przykro, że musi cierpieć. Jednocześnie byłam mu wdzięczna, że nieświadomie stara się mi pomóc. Wszystkie te uczucia stały się na tyle silne, że bałam się, że nie dam rady kontynuować. Mój głos zadrżał.

– Dzięki miłosierdziu Buddy otrzymasz teraz czystą mantrę, nową duszę, a twój cantus zostanie ci przywrócony.

Uderzyłam go w ramiona, pochyliłam się i wyszeptałam mu do ucha słowa:

Namo ākāśagarbhaya om ārya kamari mauli svāhā.

Przez kilka chwil nic się nie działo, jednak pomału zaczęło się robić wokół nas coraz jaśniej.

– Satoru! – krzyknęłam przez łzy.

Włócznia jarzyła się blaskiem. Obsydianowe ostrze emitowało płomiennoczerwone światło.

– Satoru, robisz to, prawda? Widzisz? Twój cantus powrócił!

– Tak... Na to wygląda – odparł, jakby przebudzony po długim śnie.

– Szybko! Zrób dziurę w suficie! Wydostań nas stąd!

– W porządku.

– Och nie, czekaj. Na zewnątrz też może być ten trujący gaz...

– Nie przejmuj się tym. Rozwieję go. – Satoru uśmiechnął się krzepiąco. – Mogę na kilka sekund wywołać podciśnienie. Zakryj nos i uszy.

Wypełniłam jego polecenie, używając kciuka i środkowego palca. Tuż nad moją głową gleba zaczęła drżeć i dudnić, jak podczas trzęsienia ziemi.

Sekundę później rozległ się przeszywający huk i sklepienie wyparowało.

Rozdział 5

W celu szybkiego pokonania wroga, Ziemne Pająki postanowiły wpuścić do jego gniazda trujący gaz.

Zdarzało się już wcześniej, że autochtoniczne kolonie zatapiały swoich przeciwników, przekierowując bieg rzeki. Celem wojen jest jednak pochwylenie i zniewolenie wroga, więc taktyka skutkująca masowymi zgonami nie jest pożądana. Z drugiej strony, starcia na kontynencie koncentrowały się na zdobywaniu i obronie ograniczonych zasobów naturalnych, więc w ich przypadku zabijanie nieprzyjaciół okazywało się skuteczniejsze.

Do dziś nie wiadomo, jaki gaz został wtedy użyty. Dzięki odnalezionym później pozostałościom instalacji do jego wytwarzania, dowiedzieliśmy się jedynie, że Ziemne Pająki zbudowały ogromne piece z kamieni i błota w miejscu, z którego wiatr wiał w stronę gniazda Łowików.

Domyśliłam się, że źródłem smrodu zgniłych jaj były grudki siarki, które wydobyły z wulkanu. Podczas spalania siarki wytwarza się siarkowodór i dwutlenek siarki. Oba związki są silnie toksyczne i cięższe od powietrza, więc bez trudu mogły dostać się do najdalszych zakamarków dziwoszczurzego gniazda. Trudno jednak sobie wyobrazić, że sam gaz był wystarczająco potężny, by wyeliminować całą kolonię.

Satoru był zdania, że Ziemne Pająki przeszukiwały ruiny opuszczonych miast w poszukiwaniu tworzyw sztucznych zawierających chlor. Przykładowo, podczas spalania chlorku winylu wydziela się gazowy chlorowodór, który również jest bardzo toksyczny i cięższy od powietrza. Istnieje całe mnóstwo śmiertelnie toksycznych gazów i jeszcze więcej materiałów, które można łączyć ze sobą i spalać by uzyskać te gazy.

Istnieje jeszcze jedna możliwość, najstraszniejsza ze wszystkich – że był to nowy, nieznan nam jeszcze rodzaj gazu.

Oczyszczenie gniazda kolonii Łowików z trujących oparów zajęło trochę czasu.

Nawet wykorzystując cantus do przemieszczania ogromnych objętości powietrza, nie było to zbyt łatwe do wykonania. Nieważne, jak usilnie próbuje się poruszyć powietrze, zawsze istnieje siła, która odpycha je z powrotem. Satoru wzburzał zalegający przy ziemi toksyczny gaz, tworząc silny wir, a następnie przemieszczał go gdzieś daleko, pozwalając by w jego miejsce napłynęło czyste, nieskażone powietrze. Obraz, który sobie wyobrażał, by móc to robić, musiał być dość skomplikowany.

Kiedy cały kurz opadł ujrzałam nad naszymi głowami spokojne, błękitne niebo. Nabierając w płuca świeżego powietrza i mrużąc oczy w olśniewającym blasku porannych promieni słońca, byliśmy jak dwa krety, które przypadkowo wykopały się na powierzchnię. Ponieważ od dłuższego czasu nie czułam chłodnych powiewów wiatru, całe ciało pokryło mi się gęsią skórką.

Przyzwyczajony się do światła, Satoru spojrzał w górę. Wyrwa w suficie zadrgała i poszerzyła się. Następnie stworzył przed nami łagodną pochyłość, którą uformował w schody. Były stabilne, zupełnie jakby wykonano je z terakoty.

– Pójdę przodem.
– Czekaj – powstrzymałam go. – Najpierw ja się rozejrzę.
– Nie, Ziemne Pajaki mogą strzelić do ciebie z oddali.
– I właśnie dlatego lepiej będzie jak wyjdę jako pierwsza. Jeśli coś by ci się stało i nie mógłbyś używać cantusu, to byłby nasz koniec.

Nie powiedziałam już nic więcej i zaczęłam wspinać się po schodach. Zanim wyszłam na zewnątrz, przystanąłam, nasłuchując uważnie odgłosów ruchu, jednak, nie licząc śpiewu ptaków, panowała zupełna cisza.

Trzymając ciało nisko, wychyliłam głowę.

Powietrzny wir sprawił, że trawa pochyliła się ku ziemi, jednak nadal niczego nie dostrzegałam. Cicho wypełzłam na czworakach,

i upewniwszy się, że w pobliżu nie czyha żadne zagrożenie, powoli wstałam.

Łagodny wietrzyk sprawiał, że wszystko delikatnie falowało. Nie było żadnych ciał, żadnych gruzów, niczego.

– I jak to wygląda? – Usłyszałam płynące z tyłu pytanie Satoru.

– Niczego tu nie ma.

Spoglądając w dal, w odległości większej niż sto metrów dostrzegłam coś, co mogło być ciałami dziwoszczurów. Może zabiła je tam trąba powietrzna. Z tego dystansu trudno było je odróżnić od ludzkich zwłok. Po plecach przebiegły mi ciarki.

– Z pewnością kryją się gdzieś w pobliżu. To niemożliwe, by wiatr zabił wszystkie.

Staliśmy nieruchomo, uważnie badając wzrokiem otoczenie. Ktoś tak wprawny jak Shisei Kaburagi mógłby stworzyć w powietrzu powiększającą obserwowane rzeczy próżniową soczewkę, która w przeciwieństwie do zwykłej soczewki wykorzystuje do tego wklęsłą powierzchnię. Co jednak oczywiste, umiejętności Satoru nie były wystarczające, by to zrobić.

– Spójrz! Tam! – Wskazałam na rysujące się na północy wzgórze, gdzie, jak mi się zdawało, dostrzegłam ruch.

Obydwoje wpatrywaliśmy się intensywnie w tamto miejsce, jednak nie zaobserwowaliśmy niczego podejrzanego.

– Wybacz, pewnie po prostu wyobraźnia spłatała mi figla.

– Nie... Nie wydaje mi się. – Satoru skrzyżował ramiona, wciąż uważnie przeczesując wzrokiem wskazany obszar. – To miejsce wygląda na doskonale nadające się do rozpylania z niego trującego gazu. Znajduje się na wzniesieniu, a gaz jest cięższy od powietrza, więc nie trzeba się martwić, że poleci w złym kierunku. Poza tym, na jego drodze jest stosunkowo mało przeszkód.

Satoru wyrwał kilka źdźbeł trawy i rzucił je na wiatr, sprawdzając jego kierunek.

– Ledwo co wieje, ale w każdym razie dmucha z północy, więc chyba się nie pomyliłem. Muszą kryć się gdzieś w tamtym kierunku.

– Więc powinniśmy uciekać na południe!

– Co ty wygadujesz? – Satoru chwycił mnie za ramię, gdy tylko się odwróciłam. – Jeśli zaczniemy uciekać to bez wątpienia zaczną nas ścigać i zaatakują od tyłu, gdy nie będziemy się tego spodziewać.

– Ale... – Nie rozumiałam, co próbuje mi powiedzieć. – To co w takim razie robimy?

– To chyba oczywiste. Zaatakujemy pierwsi. Dopóki ich wszystkich nie wybijemy, nie będziemy bezpieczni.

– Ale to... – próbowałam znaleźć odpowiednie słowa. – To niemożliwe. Tylko ty jesteś w stanie walczyć.

– Nawet jeśli to jest niemożliwe, musimy spróbować – odparł stanowczo Satoru. – Widziałas, co się stało z mnichem. Jeśli chodzi o obronę, cantus jest bezużyteczny. Naszą jedyną szansą na przeżycie jest wykorzystanie go do ofensywy... Ale jeśli się boisz, możesz uciec, Saki. Tak jak mówisz, tylko ja mogę stanąć do boju.

Po tych słowach nie potrafiłabym uciec, nawet, gdybym rzeczywiście tego chciała. Próbowałam jeszcze odwieść Satoru od jego zamiarów, ale nie odniosło to skutku; ostatecznie kontynuowaliśmy nasz marsz na północ.

– Najprawdopodobniej znaleźliśmy się już w zasięgu ich strzał. Bądźmy ostrożni. Spróbujmy stąd zaatakować.

Stanęliśmy w rzucanym przez olbrzymi głaz cieniu i spojrzeliśmy na szczyt wzgórza.

– Odłamki – powiedział Satoru głosem przepełnionym dziwną euforią.

Górna część kamienia popękała, tworząc wzór przypominający skorupę żółwia, i rozpadła się na małe fragmenty.

– Lećcie!

Wszystkie kamyki jednocześnie poszybowały w stronę wroga.

Na szczycie wzniesienia wybuchła panika. Dziwoszczury wrzeszczały ze strachu i gniewu. Zdawało się, że próbują uformować szyk bitewny. Usłyszeliśmy szczęk metalu uderzającego o metal i brzdęknięcia cięciw; dziwoszczury odpowiedziały nam ogniem.

– Głupcy – prychnął Satoru.

Lecące po łagodnym łuku strzały zawróciły w powietrzu i niczym wierne psy pognały z powrotem do łuczników.

Więcej okrzyków bólu.

– Chciałbym móc stworzyć wietrzną kosę, ale obawiam się, że będziemy musieli obejść się bez niej – powiedział Satoru, jakby planował posunięcia w jakiejś grze.

Obejrzał się za siebie. Jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt metrów za nami rosły drzewa; wyrwał je z korzeniami i sprawił, że zawisły w powietrzu.

– Naprzód!

Sześć olbrzymich pni poszybowało w kierunku szczytu wzniesienia. Pomyślałam, że wbiją się w sam środek obozu przeciwnika, ale zamiast tego jedynie groźnie nad nim zawisły.

Niesiona wiatrem kakofonia dźwięków przybrała na sile.

– Hmm... Wyglądają na przestraszonych.

Postawa Satoru była zupełnie taka sama jak podczas turnieju toczenia kuli, kiedy kontrolował popychacza.

– Ale to robi się trochę nudne... No dobra, płońcie!

Drzewa stanęły w płomieniach, zamieniając się w gigantyczne pochodnie. Kępy płonących liści spadały na wrogów.

W szeregach dziwoszczurów zapanował chaos. Ogień podpalał wszystko, czego dotknął. Ku niebu wzbiły się słupy czarnego dymu.

– To nasza szansa. Ruszajmy w górę.

Opuściliśmy nasze schronienie pod głazem, i nie tracąc czasu pognaliśmy w stronę szczytu. Kilka dziwoszczurów, które minęliśmy zaczęło na nasz widok ostrzegawczo warczeć, ale w następnej chwili zostały pochłonięte przez eksplozję białych płomieni.

– Wykorzystują to coś do produkcji gazu? – spytałam, wskazując na dużą, glinianą strukturę, przypominającą rozpylacz środków owadobójczych.¹

¹ Według autora przekładu na angielski, wygląda to tak:

<https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/thumb/b/b6/Kayaributa01.jpg/800px-Kayaributa01.jpg>

Pięć lub sześć z tych budowli posiadało skierowane w dół zbocza wypustki, podobne do słoniowych trąb.

Najbliższy z rozpylaczy eksplodował, rozpadając się na milion części. Chwilę później ten sam los spotkał pozostałe z nich. Odłamki poleciały w kierunku oddziału dziwoszczurów, błyskawicznie kładąc trupem całą grupę.

– Bawisz się z nimi?

Widząc, jak ich towarzysze giną jeden po drugim, dziwoszczury zawahały się. Kiedy z kolei martwe ciała zaczęły się podnosić, i jak marionetki na sznurku ruszyły w stronę pozostałych przy życiu żołnierzy, ich szeregi całkowicie się rozsypały.

Okazało się, że jedynym, co jest w stanie złamać ducha wojowniczych dziwoszczurów, są ich własne obawy przed zjawiskami nadprzyrodzonymi.

– Rozumiem... Kontrolowanie ich za pomocą strachu jest znacznie efektywniejsze od brutalnej siły.

Satoru nie zwlekał z wykorzystaniem nowo zdobytej wiedzy. Zaczął zmuszać do powstania trupy, którymi usiana była cała okolica. Dziwoszczury, o których myśleliśmy, że są pozbawione ludzkich emocji, kompletnie postradały zmysły z przerażenia i zaczęły atakować się nawzajem.

Te, które straciły wolę walki i próbowały ratować się ucieczką, zostały zaduszone na śmierć niewidzialną dłonią. Unicestwienie całej grupy nie zajęło ostatecznie więcej niż pięć lub sześć minut.

– Zbyt niebezpiecznie jest iść przez środek polany. Będziemy całkowicie odsłonięci i widoczni z pozostałej części lasu, gdzie mogą kryć się łucznicy Ziemnych Pająków. – zameldował Squealer Satoru.

Był równie uprzejmy jak poprzednio, ale jego głos był lekko zabarwiony lękiem. Nie ma wątpliwości, że zrozumiał teraz, jak potworna jest siła cantusu.

– Ale, jak sam zauważyłeś, kryją się w lesie, tak? – Satoru zmarszczył brwi z niezadowoleniem. – Stąd możemy atakować jedynie na ślepo, a wtedy przeciwnicy po prostu uciekną. Polana natomiast jest łatwa do oczyszczenia.

– Jest tak, jak mówisz. Wyobraź sobie jednak, że, odpukać, jeden z nich zdoła się wyśliznąć i postrzelić jednego z bogów zatrutą strzałą. – Squealer spojrział z lękiem na Satoru. Na nosie miał spore rozcięcie, a w kilku miejscach zaschnięta krew mieszała się z ziemią.

– Nasze własne strzały powodują jedynie drętwienie, ale Ziemne Pająki to zabójcy; trucizna, którą wytwarzają żyjące w ich ojczystej ziemi żaby jest śmiertelna i nie ma na nią lekarstwa. Wystarczy zwykłe draśnięcie. Nasi szpiedzy odnaleźli jednak bezpieczną drogę, więc proszę, chodźcie ze mną.

Po raz kolejny Squealer pojawił się w najwłaściwszym momencie. Po zniszczeniu oddziału ze szczytu wzgórze zaczęliśmy sprzeczać się z Satoru. Ja byłam zdania, że nie zagraża nam już pościg nieprzyjaciela i powinniśmy oddalić się najszybciej, jak to możliwe. On z kolei hardo upierał się przy wybiciu pozostałych dziwoszczurów.

Zadawałam sobie pytanie dlaczego Satoru tak się zachowuje. Byłam zatrwożona jego wyrazem twarzy. W niczym nie przypominał tego dobrodusznego, choć kryjącego się za maską sarkazmu i pozerstwa chłopca, którego tak dobrze znałam. Patrzyłam na zupełnie inną osobę.

Pomimo licznych argumentów, którymi próbował podeprzeć swoje zdanie, takich jak duża odległość od miejsca ukrycia kajaków lub konieczność odpłacenia dziwoszczurom pięknym za nadobne, dziwny błysk w jego oku zdradzał, że kieruje nim zwykła żądza dalszych morderstw. Satoru był niewzruszony, nieważne jak logicznie starałam się go przekonywać. Mieliśmy tylko mgliste pojęcie o lokalizacji kolonii Ziemnych Pajaków i zupełnie nie wiedzieliśmy, gdzie może znajdować się siedziba ich królowej. Z tak niewielką ilością informacji, wytrzebiecie ich było niemożliwe. Co jednak ważniejsze, gdyby Satoru został ranny, byłby to nasz koniec.

Gdy moja nieustępliwość zaczęła przynosić pierwsze efekty i Satoru zaczął pomалу ulegać, usłyszeliśmy wołający nas z dołu głos. Obawiając się, że to zastawiona przez Ziemne Pająki pułapka, ostrożnie wyjrzelśmy zza szczytu zbocza. Ujrzelśmy Squealera i niedobitki kolonii Łowików. Wszystkie leżały plackiem na ziemi, oddając nam z oddali cześć. Nie było ich więcej niż pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt; był to żywy dowód na skuteczność trującego gazu.

Jak wyjaśnił nam Squealer, najwyraźniej gdy tylko Łowiki wyczuły zapach toksycznych oparów, wszystkie schroniły się głęboko pod ziemią, podpisując tym samym na siebie wyrok śmierci. Ziemne Pająki prawdopodobnie celowo nasyciły gaz wonią siarki, wiedząc, że dziwoszczury instynktownie się przed nią skryją. Z drugiej strony, Squealerowi i oddziałowi jego podkomendnych ochroniarzy udało się ująć z życiem, ponieważ będąc odpowiedzialnymi za ewakuację królowej, wybrali na schronienie wyższe poziomy.

Pomimo, że ich kolonia poniosła przed chwilą druzgoczącą klęskę, Squealera i jego żołnierzy nie opuszczała pogoda ducha. Po pierwsze, królowa była bezpieczna (jej śmierć, jako jedynego reproduktora, oznaczałaby koniec dla całej kolonii). Po drugie, przed chwilą zobaczyli, jak Satoru pokonuje nikczemne Ziemne Pająki, używając swojej mocy.

Pozostałe przy życiu Łowiki pałały żądzą zemsty. Nawet opanowany zazwyczaj Squealer nie był wyjątkiem; tak długo podjudzał Satoru, mówiąc mu, że odkrył wcześniej miejsce pobytu wrogiej królowej, aż ten nie miał innego wyjścia jak zgodzić się na pomoc w zawojowaniu kolonii Ziemnych Pająków.

Powróćmy do głównego wątku.

Tak jak nalegał Squealer, okrążyliśmy polanę z lewej strony dużym łukiem i skierowaliśmy się w stronę leżącego gdzieś w lesie gniazda Ziemnych Pająków.

– To na pewno bezpieczne? – pytałam Squealera podczas wędrowki. Pomimo tego, że wybraliśmy okreśną drogę, szliśmy

dobrze wydeptaną ścieżką. Jeśli Ziemne Pająki rzeczywiście były tak zaprawione w boju, ich patrole nie pominęłyby takiej trasy.

– Nie martwcie się, proszę. Wysłaliśmy wcześniej przodem zwiadowcę, który nie stwierdził żadnych śladów obecności wroga. Muszą być przekonani, że trujący gaz zabił nas wszystkich, więc nie będą się spodziewać tak szybkiego odwetu.

Czyżby Ziemne Pająki rzeczywiście były tak łatwym przeciwnikiem? Dwa dni temu pewnie zaakceptowałabym jego wyjaśnienie bez żadnych zastrzeżeń, jednak wczorajsze wydarzenia spowodowały, że stałam się skrajnie nieufna.

Poleciłam Squealerowi, by przygotował kilka wabików. Zrobiłam to głównie dla spokoju ducha, a Satoru wciąż próbował mnie udobruchać, udając, że się ze mną zgadza. Jak okazało się niecałe dziesięć minut później, to było bardzo dobre posunięcie.

Idący z przodu wojownicy wydali z siebie głośny, ostrzegawczy krzyk. Nie miałam pojęcia, co się dzieje, ale gdy zaczęli strzelać, uświadomiłam sobie, że jesteśmy atakowani.

– Bogowie, ukryjcie się! To Ziemne Pająki! – krzyknął Squealer.

– Gdzie?

– Za drzewami... Przynęta, nabiorą się na to!

Wabik, czyli dziwoszczur, któremu poleciłam przebrać się za Satoru leżał na ziemi. Wybrałam najroślejszego z żołnierzy, lecz z daleka jego sylwetka nadal nie przypominała ludzkiej, więc kazałam mu włożyć dwa kapelusze i pelerynę. Z jego ciała sterczały już trzy strzały, jednak, co dziwne, nie miały one lotek; zamiast tego były owinięte sznurkiem.

– Dmuchałki! Używają zatrutych strzałek... Uważajcie!

Squealer doszedł do takiego samego wniosku i krzyknął ostrzegawczo. Zastanawiałam się, gdzie właściwie mogą ukrywać się wrogowie. Przeczesałam wzrokiem drzewa, ale nie dostrzegłam niczego, co kształtem przypominałoby dziwoszczura. Zastanawiałam się, czy w takim razie dmuchający widzą nas, lecz najwyraźniej atakowali na oślep.

Coś zaszeleściło w koronie dużego dębu. Niczego nie spostrzegłam, ale z pewnością coś tam było.

– Satoru! Zatrząś tym drzewem!

Czwórka dziwoszczurów leżała na nim, stanowiąc żywą tarczę. Ignorując zalecenie Squealera wysliznął się spod nich. Drzewo zakołysało się i wygięło, jak podczas huraganu. Liście opadły delikatnie jak płatki śniegu, a gałęzie z trzaskiem się połamały. Wraz z nimi na ziemię zważyło się coś ciężkiego, do czego błyskawicznie dopadły czekające na dole dziwoszczury.

– Co to jest? – spytałam, patrząc na obiekt, który zleciał z drzewa.

Nie wiem w jaki sposób mogłabym dobrze opisać wygląd tego stwora. Wyglądał trochę jak żyjące na południu patyczaki albo jak pewien gatunek konika morskiego, nazywany pławikonikiem australijskim.

Miał około metra długości i wykazywał pewne podobieństwo do zwykłego dziwoszczura. Gdy się dobrze przyjrzeć, jego głowa i kończyny też wyglądały całkiem zwyczajnie. Główną różnicą było to, że był nienaturalnie chudy a jego skóra miała kolor dębowego pnia i była usiana zielonymi, przypominającymi liście wypustkami. Leśny wojownik Ziemych Pająków spojrział w niebo i świergotliwie krzyknął. Po chwili był już martwy, przebity włóczniami żołnierzy Łowików.

Sądząc po tym, co właśnie miało miejsce, w pobliżu musieli czaić się pobratymcy stwora. Jeszcze raz prześledziłam wzrokiem drzewa. Teraz, gdy już wiedziałam, czego szukać, odszukanie celów nie było nawet w połowie tak trudne, jak poprzednio. W kilka chwil wypatrzyłam jeszcze trójkę zakamuflowanych wojowników.

Satoru uwolnił swój cantus i zrzucił ich z gruchotem na ziemię, zanim nawet zdążyłam dobrze wskazać, gdzie siedzą.

– Czym one są, do licha? – spytałam.

Satoru przyglądał się zwłokom, marszcząc brwi. Nie potrafiłam się zmusić, by ich dotknąć, ale przypominające liście wzory i wypustki na ich ciałach nie wyglądały na sztuczne.

– To w sumie mnie nie dziwi. Bądź co bądź, kiedy wpadliśmy na nie zeszłej nocy, większość z ich wojowników wyglądała jak potwory.

Pomyślałam o łuskach, pokrywających ciało Kapitana Szyszki.

– Ale... Czyli mogą przybrać dowolny wygląd? Dlaczego?

– Nie wiem, ale mam pewną teorię. – Satoru ponownie zarzucił kaptur na głowę. – W każdym razie, musimy być od teraz ostrożniejsi. Nie wiemy w końcu, do czego jeszcze mogą się upodobnić.

– Powinniśmy zawrócić. To zbyt niebezpieczne.

– Zaszliśmy już zbyt daleko, zaczną nas ścigać, jeżeli teraz damy nogę.

Nie miałam żadnych argumentów na tę odpowiedź, więc dalej szliśmy naprzód.

Po przebyciu kilku kroków, ścieżka zaczęła zakręcać w prawo. Zbliżaliśmy się powoli do gniazda Ziemnych Pająków.

Pomyślałam o naszym starciu z siedzącymi na dębach wojownikami. Satoru wyrwał z korzeniami trzy ogromne drzewa, uniósł je w powietrze i posłał w przód, powalając przy okazji wszystkie krzewy, które rosły na ich drodze.

Gęste zarośla zaczęły się stopniowo przerzedzać. Po lewej stronie znajdowało się bajoro, tak gęsto porośnięte rzesą wodną, że wyglądało jak obsypane konfetti.

– Czekaj. – Zatrzymałam Satoru, chwytając go za łokieć. – Mam złe przeczucia co do tego miejsca.

Zastanawiałam się, czy mnie wyśmieję, ale wyglądał na zupełnie poważnego.

– Myślisz, że to pułapka?

– Nie jestem pewna...

Wpatrywałam się podejrzliwie w bagno. Na jego powierzchni od czasu do czasu pojawiały się bąbelki; zastanawiało mnie, skąd się one biorą. Satoru najwyraźniej głowił się nad tym samym. Uniósł kilka

głazów nad powierzchnię sadzawki i zrzucił je w dół, ilekroć ukazywała się na niej bańka.

Kamienie spadały z ogromnym impetem, rozchlapując wokoło błotnistą wodę.

Nic się nie stało.

– Wszystko jest w porządku. Ruszajmy dalej – powiedział ze zniecierpliwieniem.

– Ale...

– Żaden ssak i tak nie może pozostawać tak długo pod wodą.

Ostatnie słowo zawsze musiało należeć do Satoru, tak więc, czy tego chciałam, czy nie, pomału wznowiliśmy marsz.

Właśnie w tamtym momencie z kierunku bajora doleciał dziwny, świszczący dźwięk.

Na powierzchni pokazały się trzy, przypominające wydry głowy, wlepiające w nas wzrok.

Nikt nie był w stanie zareagować. Wydrowate łby wycelowały w nas trzymane w ustach długie rurki i wydmuchnęły z nich strzałki, po czym szybko zniknęły pod wodą, pozostawiając za sobą jedynie niewielkie deformacje na tafli rzęsy wodnej.

– Niech to! Cały czas z nami zadzierają! – kipiał gniewem Satoru.

Dwa Łowiki trafione strzałkami w mgnieniu oka zginęły od trucizny.

– W porządku, kryjcie się ile chcecie... Ugotuję was żywcem!

Bagienna woda zaczęła parować, zupełnie jak w gorących źródłach.

Nie wiem dlaczego postanowiłam akurat w tamtej chwili, że nie chcę na to patrzeć. W każdym razie, gdy odwróciłam się od bagna, ujrzałam coś nieprawdopodobnego.

To była ścieżka z usianej chwastami, wilgotnej, piaszczystej gleby. Znajdowało się na niej niewielkie, wysokie może na dwadzieścia centymetrów wybrzuszenie. Najdziwniejsze było jednak

to, że owa wypukłość powoli się poruszała, zupełnie, jakby tuż pod ziemią jakiś kret rył swój tunel.

Momentalnie uświadomiłam sobie, że takich kopczyków jest więcej. Łącznie cztery takie wybrzuszenia powoli, lecz bezgłośnie przemieszczały się w naszą stronę, jak wabione zapachem krwi rekiny.

Próbowałam coś powiedzieć, ale strach mnie sparaliżował.

– Satoru...! – zdołałam z siebie w końcu wydusić, lecz on tego nie dosłyszał. Spojrzałam ponownie na wrzącą wodę sadzawki, akurat w momencie gdy zdołał pochwycić kryjących się pod jej powierzchnią nieprzyjaciół. Zgromadzone wokół dziwoszczury zawyły triumfalnie.

Trzy poparzone ciała dryfowały po tafli wody. Przypominały bardziej żaby niż wydry; na wszystkich czterech łapach miały dobrze rozwinięte płetwy.

– Satoru. Za nami... pod ziemią – wyszeptałam.

– Gdzie? – zamarł.

– Jeden bezpośrednio za naszymi plecami, jakieś sześć czy siedem metrów stąd. Dwa kolejne na lewo od niego. I jeszcze jeden, po naszej prawej, trochę na skos.

Satoru odwrócił się w tym samym momencie, w którym kopiące dziwoszczury wyskoczyły na powierzchnię.

W jednej chwili zostały zmyte przez strumień bagiennej wody, który chlusnął w ich stronę. Wrzątek, który wylał się im na głowy z łatwością zniszczył ich szyk.

– Hmm... Czyli żaby były tylko przynętą? – zastanawiał się Satoru, ocierając z czoła strużkę potu. – Nie wolno nam stracić czujności. Wygląda na to, że polegają na atakach z zaskoczenia.

– Satoru, nie jesteś zmęczony?

– Co? Nie, oczywiście, że nie. To nic takiego.

– Ale i tak powinieneś trochę odpocząć...

Satoru tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

Martwiłam się, ponieważ cały był zlany potem. Nie pomyślałam wtedy nawet, że przyczyna tego stanu rzeczy może leżeć w czymś innym.

Cantus może wyzwolić nieograniczoną ilość energii. Jednak do jego używania potrzebna jest silna koncentracja, a co oczywiste, podobnie jak siła fizyczna, ma ona swoje granice.

– Uwaga! – wrzasnęłam, stając na skraju bambusowego zagajnika.

Coś spadało z wielkiej wysokości.

– Spokojnie. Niech nikt nie rusza się z miejsca! – Satoru stał nieruchomo, jakby zapuścił korzenie i spoglądał w górę.

Widoczne w przestworzach małe punkciki stopniowo rosły coraz bardziej i bardziej. Kiedy były już na tyle blisko, by dało się rozpoznać w nich olbrzymie głazy, nagle zmieniły kierunek, odlatując tam, skąd przybyły, zupełnie jakby odbiły się od trampoliny.

– Nadlatuje ich więcej!

Druga fala pocisków była jeszcze większa. Satoru odesłał wszystkie z powrotem.

– Strzelanie na oślep nie może wyrządzić żadnej krzywdy – wymamrotał Satoru, rozłupując trzy kamulce na mniejsze części, które następnie skierował w kierunku domniemanej kryjówki nieprzyjaciela.

Zapadła cisza.

– Trafiłeś ich?

– Nie wiem.

Wrogie bombardowanie ustało. Pomyślałam, że być może nasz odwet okazał się skuteczniejszy, niż sądziliśmy. Niestety, właśnie wtedy nastąpiła trzecia fala ataku.

Tym razem tor lotu miotanych ponad drzewami głazów miał niską trajektorię. Jeden, drugi... Satoru odbijał pociski. Czas między pojawieniem się kamieni w polu widzenia a uderzeniem był jednak tak krótki, że nie był w stanie zatrzymać każdego kamienia

z osobna. W końcu jeden z nich zdołał przebić się przez niewidzialną sieć Satoru i wpadł wprost w środek naszych oddziałów.

Zmroziło mi krew w żyłach. Skała grzmotnęła o ziemię, wzbijając w powietrze ogromny obłok kurzu. Dwie sekundy później spadł cały deszcz piasku i gałązek. Pozostałe przy życiu dziwoszczury rozpierzchły się jak karaluchy.

– Cholera....!

Satoru nie miał czasu na sprawdzanie, czy wszystko z nami w porządku. Zablockował jeszcze jeden mknący w naszą stronę kamulec.

– Do tyłu!

Szybko cofnęliśmy się o jakieś czterdzieści metrów, by uniknąć kolejnego pocisku. Następny głąz poleciał jednak prosto w naszą stronę, zupełnie jakby przeciwnicy widzieli, że się przemieściliśmy. Celowali w nas.

– Gdzie one są? – wrzeszczał wściekły Satoru. Obserwują nas skądś. Poszukaj ich, Saki!

Szpieg musiał kryć się gdzieś w pobliżu. Nie miałam jednak pojęcia jak mam go odszukać. Gdyby okazał się zakamuflowany jak tamci żołnierze z drzew, to byłoby szukanie igły w stogu siana. Nie wiedziałam, co robić. Przeciwnicy przestali na chwilę atakować; czwarta fala pocisków jeszcze nie nadleciała. Prawdopodobnie potrzebny był im czas na przygotowanie kamieni.

Nagle uświadomiłam sobie coś bardzo istotnego. Zwiadowcy do niczego nie przydałoby się samo śledzenie naszych ruchów; musiał też jakoś komunikować się z resztą żołnierzy i przekazywać im zamiary na naszą pozycję.

– Satoru, cofnij się!

Odeszliśmy dalsze trzydzieści metrów do tyłu. Nigdzie nie było widać śladów szpiega; jednak to nie o niego mi chodziło. Tym, czego wypatrywałam, był sygnał.

– Tam! – Wskazałam na czubek bambusowego gąszczu. Jedna z łądyg kołysała się, jakby bujana wiatrem, lecz jej ruchy definitywnie były nienaturalne.

– To dlatego znają naszą pozycję!

Nie musiałam już niczego dodawać. Płomienie gwałtownie pochłonęły bambus, z którego uniósł się gęsty, czarny dym. Rozległo się mrozące krew w żyłach zawodzenie.

– Nie możemy stać w miejscu. Wycofujemy się?

– Nie. Idziemy dalej.

Satoru ruszył naprzód. Wszystkie dziwoszczury, które wcześniej pouciekały, nagle wróciły i ustawiły się w formację.

– O, bogowie, bogowie – wydyszał Squealer. – Dzięki niebiosom, jesteście cali i zdrowi. Zwycięstwo jest już w naszych rękach. Proszę, niech młot waszej sprawiedliwości spadnie na te podłe Ziemne Pająki.

– Przestań się nam podlizywać! – warknęłam na niego. – Mówiłeś, że to bezpieczna droga. Gdzie, u licha, jest to twoje bezpieczeństwo? Cały czas wpadamy na jakieś zasadzki!

– Bardzo mi przykro. – Squealer głęboko się pokłonił. – Wcześniej wysłaliśmy tędy zwiadowcę, który wrócił stąd bez najmniejszego zadrapania.

– Czy to nie jest oczywiste? Ich nie obchodził ten twój zwiadowca, czekały na nas!

– Wystarczy. Tak czy siak, zaszliśmy aż tutaj – wtrącił się Satoru, chwytając mnie za rękę. – Pospieszmy się i skończmy z tym a potem wracajmy do domu.

Co ty nie powiesz...? – przeszło mi przez myśl. Działo się z nim coś niedobrego. Nie licząc tego, że był wyczerpany, wydawało mi się, że ma problem ze skupieniem wzroku. Przypomniał mi się gład, który na nas spadł. Normalnie Satoru nigdy nie pozwoliłby sobie na popełnienie takiego błędu.

– Ale nie możemy tędy iść. Nadal nie wiemy, skąd nadlatują pociski. – odparłam niepewnie. – Powinniśmy zawrócić.

– Nie. – Satoru pokiwał głową. – Bitwa już się rozpoczęła. Odwrót w tym momencie byłby samobójstwem.

– Jeśli wyjdziemy spośród drzew, zaatakują nas kamieniami. Nie możemy też iść przez las, bo nie wiemy, jakie pułapki tam na nas czekają.

– Wyślę przodem zwiadowców – powiedział Squealer, jakby chciał ponownie wkupić się w nasze łaski. – Dowiedzieliśmy się już, gdzie stoją katapulty. Z pomocą bogów możemy zniszczyć je, jedna po drugiej...

– Przestań udawać, że to bułka z masłem. Satoru jest wyczerpany.

Squealer rzucił mi bardzo podejrzliwe spojrzenie. Uświadomiłam sobie, że popełniłam błąd. Być może podejrzewał to już wcześniej, lecz teraz zyskał całkowitą pewność, że nie mogę używać cantusu.

Traktując moje milczenie jak zgodę, zaczął wydawać swoim podwładnym rozkazy w piskliwym, dziwoszczurzym języku. Żołnierze Łowików błyskawicznie rozbiegli się po bambusowym lasku. Pomimo, że ponieśli już olbrzymie straty, ich woła walki nie zmalała ani odrobinę.

Część z nich wróciła już po dwóch minutach. Niespokojnie złożyły Squealerowi raport, a ten odwrócił się w naszą stronę. Nie potrafiłam dobrze odczytywać emocji z twarzy dziwoszczurów, ale wyglądał, jakby chciał nam przekazać jakieś ważne wieści.

– Po przeciwnej stronie lasu znajduje się otwarte pole pozbawione drzew. Wygląda na to, że tam rozmieściły się główne siły wroga.

– W takim razie, skoro są łatwi do wypatrzania, mamy nad nimi przewagę, prawda?

– Cóż.... Jakby to powiedzieć? Proszę, chodźcie i sami zobaczcie. Tym razem jestem pewien, że w krzakach nie kryje się żaden nieprzyjaciel.

Nie bez wątpliwości podążyliśmy za Squealerem przez zagajnik. Po przejściu jakichś czterdziestu lub pięćdziesięciu metrów mogliśmy już dojrzeć prześwitującą między drzewami polanę. Przykucnęliśmy, aby być mniej widocznymi i pomału podpełzaliśmy do przodu.

Mieliśmy przed sobą otwarte pole o powierzchni stu metrów kwadratowych. Ziemne Pająki powaliły rosnące w pobliżu swojego gniazda drzewa, aby przygotować grunt na ostateczną bitwę.

– Niesamowite... – powiedziałam.

Widok armii wrzeszczących dziwoszczurów był iście spektakularny. Ich zbroje i bronie błyszczały w południowym słońcu.

– Trzy tysiące żołnierzy podzielonych na pięć oddziałów – wyszeptał z podziwem Satoru.

– Wszystkie są na otwartej przestrzeni, więc łatwo będzie je pokonać, prawda?

Wydawało mi się, że Satoru szybko przyzna mi rację, ale zastanawiał się dłuższą chwilę.

– To nie będzie takie proste.

– Dlaczego?

– Spójrz na ich formację. Ciężkozbrojni piechurzy stoją w pierwszej linii, a łucznicy kryją się za ich plecami.

To była często wykorzystywana w starożytnej Grecji falanga. Żołnierze stojący w czołowym rzędzie byli uzbrojeni w ciężkie tarcze i włócznie, chroniące szyk przed rozbiciem przez wroga. Gdyby wojownicy z przedniej linii zginęli, od razu zostaliby zastąpieni przez stojących za nimi.

– A to nie wszystko. Widzisz te głazy na tyłach? Oddział który przy nich stoi prawdopodobnie robi za katapultę.

– Katapulta? Gdzie?

Nagle zrozumiałam.

– Mówisz że to *one* są katapultą?

Odległość była zbyt duża, bym mogła dostrzec szczegóły, ale stojące w pobliżu kamieni dziwoszczury były dalece bardziej zniekształcone od tych, które już widzieliśmy. Ciężko je było nawet

porównywać z tamtymi, które upodobniły się do patyczaków czy kretów. Były olbrzymie; miały około trzech metrów wysokości, niewiarygodnie długie torsy, które kurczyły się i rozciągały jak akordeon, niewiarygodnie wielkie mięśnie i łapy grubsze od korpusów.

Dziesięciu żołnierzy, z których składał się oddział katapultowy, pracując w parach mogło miotać kilkusetkilogramowymi kamulcami na ponad sto pięćdziesiąt metrów w górę. Oczywiście tego wszystkiego dowiedziałam się dopiero znacznie później.

– Pozbycie się oddziału ciężkozbrojnych za pomocą cantusu zajmie sporo czasu. Łucznicy i katapulty będą mogły wtedy bez przeszkód strzelać, więc nie będziemy mieli innego wyjścia, jak blokować ich ataki. To jednak doprowadzi do ujawnienia naszej pozycji, a cała agresja skupi się na nas. Ostatecznie nie będziemy mieli czasu na ofensywną odpowiedź i zostaniemy zmuszeni do walki obronnej – westchnął Satoru. – Ale jest coś jeszcze.... Od jakiegoś czasu coś jest nie w porządku.

– Co?

Satoru ściszył głos, żeby Squealer nie mógł go usłyszeć. – To prawdopodobnie dlatego, że jestem zmęczony. Mam problemy z koncentracją. Nie mogę wyobrazić sobie prawidłowego obrazu.

Gorzej być nie mogło. Spojrzałam w niebo.

– To znaczy, że nie możesz już korzystać z cantusu?

– Nie, to nie tak. Po prostu tak duża liczebność oddziałów działa na moją niekorzyść. Mogę nie dać sobie rady z wszystkimi naraz.

Wiedziałam, że powinniśmy byli uciec, gdy tylko pokonaliśmy grupę, która rozpylała trujący gaz z tamtego wzgórza. Satoru miał wtedy jeszcze dość energii by powstrzymać ewentualny wrogi pościg. Nie powinno nas tu już być, ale upojony zwycięstwem i zwiedziony słowami Squealera Satoru stracił zdolność trzeźwego osądu. Nie powinien był tak się poświęcać.

Rozpamiętywanie popełnionych błędów nie mogło nam jednak w niczym pomóc. Aby przeżyć, mogliśmy polegać już tylko na własnej inteligencji.

– Bogowie. – Squealer wśliznął się niepostrzeżenie między nas. W jego głosie wyczuwałam zmartwienie.

– Zastanawiamy się właśnie, jak możemy pokonać Ziemne Pająki. Nie przeszkadzaj nam – łypnęłam groźnie na dziwoszczurzego stratega, ale ten nie cofnął się.

– Najmocniej przepraszam. Ale wygląda na to, że przeciwnik się przemieszcza.

– Co?

Ponownie skierowaliśmy wzrok na armię. Pięć oddziałów powoli zmieniało swoje pozycje. Grupa stojąca w centrum nie ruszyła się, ale oddziały stojące bezpośrednio na lewo i prawo od niej nieco się przesunęły. Następnie dziwoszczury znajdujące się na obu skrzydłach przemieściły się w stronę centrum, redukując o połowę dystans między swoimi oddziałami. Innymi słowy, przygotowały się na atak, ustawiając się w szereg w kształcie litery V.

Formacja żurawiego skrzydła zawdzięcza swoją nazwę temu, że przypomina układ rozłożonych skrzydeł tego ptaka. Pierwotnie był to szereg defensywny, którego zadaniem było otoczenie agresora, jednak Ziemnym Pająkom przyświecał inny cel. Mówiąc inaczej, poprzez maksymalne rozciągnięcie linii frontu udało im się jednocześnie rozproszyć strategiczne, podatne na działanie cantusu cele, jak również zwiększyć zasięg własnego ataku, utrudniając nam obronę.

Ci, którzy to przeczytają, mogą zastanawiać się skąd Satoru i ja znaleźliśmy tak szczegółową terminologię wojskową. Cóż, podczas opisywanych wydarzeń nie mieliśmy na jej temat bladego pojęcia. Książki dotyczące wojen należą do klasy trzeciej, czyli dzieł zakazanych, albo do klasy czwartej, co oznacza, że ze względu na swą treść nigdy nie mogą ujrzeć światła dziennego. Wiedzę, o której wspominałam nabyłam znacznie później, z odkrytej w piwnicy

zrujnowanej biblioteki księgi „Podbić niezwycięzonych. Kompleksowy przewodnik po strategiach.”.

Wracając do sedna, w obliczu imponującej formacji nieprzyjaciela, znaleźliśmy się w patowej sytuacji.

– Co robimy? – To żalosne pytanie było wszystkim, na co dałam radę się zdobyć. Nie mogłam używać swojego cantusu i nie byłam wystarczająco bystra, by wymyślić jakieś inne rozwiązanie.

– No cóż, na razie możemy tylko patrzeć. – Satoru zamknął oczy, próbując zregenerować chociaż trochę energii.

– Nie lepiej uciec? Zamiast stawiać im czoła, pobiec do lasu i...

– Nie możemy. Nie zaatakowali nas od razu tylko dlatego, że obawiają się naszej mocy. Cały czas myślą, że na nie polujemy. Jeśli zaczniemy uciekać, odkryją nasz słaby punkt i ruszą za nami w pogoń.

Niemniej jednak przypuszczałam, że prędzej czy później wróg, zdziwiony naszą biernością, będzie musiał wykonać pierwszy ruch. Stało się szybciej niż się spodziewałam.

Jeden z łuczników wystąpił przed szereg i wystrzelił będącą znakiem rozpoczęcia bitwy strzałę, która z donośnym świstem przecięła powietrze wysoko nad nami.

Zaraz za nią posypał się cały grad kolejnych; zdołaliśmy się skryć, ale słyszeliśmy jak stojące z tyłu dziwoszczury jęczą z bólu, ranione wrogimi pociskami.

– Niech to szlag! Powinniśmy im odpowiedzieć? – Satoru otworzył oczy.

– Jeszcze nie! – odkrzyknęłam rozpaczliwie. – One na to czekają, chcą sprawdzić, co zrobimy w odwecie.

– Więc zupełny jego brak tylko wzmocni ich pewność siebie.

– Jeśli zaatakujemy z niepełną mocą, zorientują się, że osłabiliśmy. Kiedy natomiast nic nie zrobimy, zaniepokoją się. Nie będą się spodziewać, że mamy zamiar przeczekać atak.

– No tak, ale w tym tempie...

Idący na przodzie formacji żurawiego skrzydła oddział nieustępliwie posuwał się naprzód. *Co powinniśmy zrobić?*

– Squealer! – zawołałam czekającego z tyłu dziwoszczura.
– Słucham. Czym mogę wam służyć?
– Gdzie jest gniazdo... Główna siedziba przeciwnika?
– To nic pewnego, ale wydaje nam się, że mieści się ona równo na wprost nas, po drugiej stronie lasu. Każda kolonia umieszcza ostatnią linię obrony bezpośrednio przed nią.

– Satoru! Podpal tamte drzewa!

Zrozumiał mój plan i skupił się na widocznym w oddali punkcie.

Zazwyczaj podpalenie czegoś zajmowało mu nie więcej jak mgnienie oka, jednak tym razem trwało to dobre kilka sekund, jednak gdy tylko liście pierwszego styraka japońskiego zaczęły dymić i stanęły w płomieniach, przeciwnik się zatrzymał. Straż tylna pognęła w stronę gniazda i zaczęła odrąbywać siekierami korzenie płonących drzew. To była dość prymitywna metoda gaszenia pożaru, jednak po kilku minutach po ogniu nie było już śladu.

– Mam podpalić ich więcej?

– Nie, poczekaj. Sprawdźmy, co teraz robią.

Nie mogliśmy sobie pozwolić na nieefektywne używanie cantusu przez Satoru i trwonienie jego bezcennej energii.

Gdyby przeciwnik znów na nas ruszył, moglibyśmy zagrozić mu, atakując jego siedzibę. Nie miałam jednak pojęcia na jak długo to zadziała.

Przez pewien czas Ziemne Pajaki stały beczynn timer i czekały. W pewnym momencie jednak wyglądający na gońca żołnierz wybiegł z gniazda, a armia ruszyła do przodu.

– Ewakuowały królową podziemnymi korytarzami – wyszeptał Satoru. – Zajęły się najważniejszą dla siebie kwestią. Teraz zaatakują na poważnie.

Squealer wrzasnął piskliwie i dał nogę. Jego podkomendni poszli w jego ślady.

– No to się zaczęło – westchnął Satoru.

Po raz kolejny spadł na nas deszcz strzał. W porównaniu z poprzednim razem, było ich znacznie więcej. Zasnuły całe niebo, spadając na ziemię niczym grad.

Pięć par żołnierzy z oddziału katapultowego zaczęło w tym samym momencie miotać kamieniami.

Rozdział 6

Większość głazów przefrunęła nam nad głowami i trzasnęła o ziemię gdzieś z tyłu. Kilka kamieni, które wylądowało bliżej nas, na szczęście chybiło.

– Nie wiedzą, gdzie jesteśmy! – powiedziałam cicho. – Zwiewajmy!

– Nie. – Co zadziwiające, Satoru po raz kolejny odmówił.

– Ale...!

– Jeśli się wycofamy, rzucą na nas wszystkie siły. W naszej sytuacji nie możemy nigdzie się stąd ruszyć.

– Więc mamy po prostu czekać, aż nas dopadną?

Spojrzałam przez bambusowe łodygi na oddziały Ziemnych Pająków. Poruszały się wolno, lecz systematycznie, cały czas pozostając w swojej formacji i uważnie obserwując otoczenie. Wiedziałam, że dotrą do nas w dwie lub trzy minuty.

– Gdybyśmy tylko mogli jakoś ich wywieść w pole... – mruknął Satoru.

Zaświtała mi pewna myśl.

– Satoru, jak długo dasz jeszcze radę używać cantusu?

– Nie jestem pewien. Może będę mógł z niego skorzystać jeszcze dwa, trzy razy. To zależy od tego, jak skomplikowany obraz będę musiał sobie wyobrazić. – Satoru potarł skronie, jakby rozboleła go głowa.

– Odbij jeden z tych głazów. Ten, który jest najdalej od nas.

– I co to niby...? Rozumiem! – nagle pojął mój plan.

Używanie cantusu wymaga dobrego kontaktu wzrokowego, jednak gdyby bardziej zbliżył się do krawędzi lasu, Ziemne Pajaki mogłyby go wypatrzyć. Cofnęliśmy się głębiej między drzewa, szukając miejsca z dobrym widokiem na niebo. Znaleźliśmy nieporośniętą bambusami kamienistą polankę. Satoru wziął głęboki wdech i, zupełnie jakby po raz pierwszy korzystał z cantusu,

z olbrzymią koncentracją wyszeptał swoją mantrę, starając się uspołnić myśli.

Nagle z zachodu nadleciał kamień. Nie potrafiłam powiedzieć, gdzie wyląduje, ale sądząc po wysokości, na której się znajdował, byłoby to dość daleko od nas.

Kamulec zawisł w powietrzu, jakby uderzył w niewidzialną ścianę. Wśród wrogów rozległy się krzyki zaskoczenia.

– Żryjcie to! – Satoru zgrzytnął zębami i wykonał gest ciskania czymś o podłogę.

Głaz poszybował w stronę ziemi jak meteor.

Ponieważ nie mogliśmy stąd dojrzeć żołnierzy, był to strzał na oślep. Wszystko zależało od szczęścia Satoru. Złożyłam dłonie i modliłam się, by trafił.

Rozległ się straszliwy jęk, który napełnił mnie złym przeczuciem. Zaraz potem usłyszałam krzyki zaaferowania i szczęk metalowych zbroi biegnących żołnierzy.

Podpełzłam do przodu. Zza gęstych zarośli ujrzałam trzy tysiące uzbrojonych po zęby dziwoszczurów, biegnących bezładnie w amoku. Z ich doskonałej formacji nie pozostało zupełnie nic. Szykując się na kolejny atak z wykorzystaniem cantusu, rozproszyły się najbardziej jak się dało.

Szybko odszukałam miejsce, gdzie wylądował głaz. W ziemi ział gigantyczny krater wokół którego wałały się liczne ciała martwych wojowników. Wyglądało na to że pocisk spadł prosto na jednego z dziwoszczurów-katapult; sądząc po kącie uderzenia, był to prawdopodobnie ten sam żołnierz, który cisnął tymże kamieniem w naszą stronę. Nie potrafiłam sobie wyobrazić doskonalszej zemsty. Przeciwnicy rzeczywiście musieli mieć wrażenie, że walczą z bogami.

Jeszcze lepszym scenariuszem byłoby, gdyby nieprzyjaciel zupełnie stracił wolę walki. Było to oczywiście jedynie marzenie; po otrząśnięciu się z szoku, Ziemne Pajaki rozpoczęły kontratak.

Miotwały w naszą stronę tyle samo kamieni co poprzednio, a powietrze przecięło jeszcze więcej strzał niż wcześniej. Różnica

polegała na tym, że tym razem ich ataki skupiały się na jednej, małej przestrzeni.

– Nikogo nie ma w miejscu, które atakujecie – powiedziałam do siebie, zadowolona, że dziwoszczury dały się nabrać. – Powinniśmy uciekać, dopóki możemy.

– Czekaj. Pozwól mi zrobić to jeszcze raz. Dla pewności.

Satoru odetchnął głęboko i zacisnął pięści.

– Nie rób niczego na siłę.

Jak na dłoni było widać, że trudno jest mu utrzymać się na nogach. Całe czoło miał zalane potem.

– Nic mi nie jest. Jeszcze tylko raz.

Po raz kolejny weszliśmy głębiej w las i spojrzeliśmy w górę. Nie czekaliśmy długo. Wielki, lecący po łuku kamień pojawił się na niebie.

Tym razem Satoru nie zatrzymał pocisku; zamiast tego posłał go w innym kierunku. Rozległ się ostry, ostrzegawczy krzyk. Głaz zniknął nam z pola widzenia i z impetem trzasnął w ziemię. Brzmiało to jak eksplozja. Zagruchotały odbijające się od bambusowych pni odłamki. Trochę mnie to zmartwiło; zastanawiałam się, czy to w ogóle możliwe, by odłupane fragmenty doleciały aż tutaj.

– Tym razem zaboląo je znacznie bardziej – powiedział Satoru triumfalnym, acz pozbawionym energii głosem. Najprawdopodobniej osiągnął już granicę swoich możliwości.

– Dobra, zmywajmy się stąd.

Pole bitwy znajdowało się na północy; jeśli wyszlibyśmy z lasu po jego południowej stronie, wojownicy Ziemnych Pająków mogliby wypatrzeć nas z zachodu. Skręciliśmy na wschód i zaczęliśmy przedzierać się przez cienisty zagajnik. Poruszaliśmy się szybko i po cichu, upewniając się stale, że pozostajemy w ukryciu.

Przemykaliśmy między gęstymi kępami bambusów. Grunt był nierówny i usiany pnączami oraz połamanymi łodygami, które blokowały naszą drogę. Gałęzie drapały nas po twarzach i plątały się nam pod nogami. Przebycie nawet niewielkiego dystansu było

wyczerpujące. Kiedy Squealer prowadził nas wcześniej przez las, szliśmy najwyraźniej uprzednio oczyszczoną ścieżką.

– Jest w porządku. Nie martw się. Z pewnością damy radę wrócić do domu.

– Mhm. – Satoru włókł się za mną niemrawo. Ledwie mówił, a jego wzrok był pusty.

Jeszcze tylko trochę. Jeszcze kawaleczek i się stąd wydostaniemy. Kiedy tylko zdołamy przedrzeć się przez ten bambusowy labirynt, będziemy mogli wrócić na właściwą ścieżkę.

Przystanęłam na chwilę, zastanawiając się, co stało się z Shunem i pozostałymi. Odwróciłam się w stronę Satoru, przytykając palec do ust.

Nawet nie wyteżając specjalnie słuchu dało się usłyszeć dźwięki rozmowy w przeszywająco piskliwej mowie dziwoszczurów.

Położyliśmy się na ziemi i przyczołgaliśmy w kierunku niewielkiego obniżenia terenu. Oplecione uschlłym bluszczem bambusowe łądygi skutecznie kryły nas przed wzrokiem dziwoszczurów, ale martwił mnie ich ostry węch. Miałam nadzieję, że wiatr nie przywieje naszego zapachu w ich stronę.

Nadchodzili żołnierze Ziemnych Pająków. Jeden, drugi... i jeszcze ktoś. Wyglądał na jeńca, jednak był skryty w cieniu i nie mogłam dobrze się mu przyjrzeć.

W okolicy musiało krążyć więcej podobnych patroli. Ta dwójka była zupełnie spokojna, więc musiały być przekonane, że znajdujemy się zupełnie gdzie indziej.

Wstrzymaliśmy oddech, czekając, aż przejdą dalej.

Spojrzałam na żołnierzy przez wąską szczelinę między łądygami. Zwinnie, niczym wijący się wąż, przemykali przez las.

Wreszcie mogłam dobrze zobaczyć więźnia; był prowadzony na sznurku, a ręce miał przywiązane z tyłu do pasa.

To był Squealer.

Wyglądał, jakby mocno go pobito. Jedno oko miał tak napuchnięte, że nie mógł go otworzyć a usta i nos pokrywała

zaschnięta krew. Mimo tego nieustrudzenie się rozglądał i energicznie węszył w powietrzu.

Pomimo tego, że wydarzenia minionej mocy sprawiły, że w pewien sposób trochę się do niego przywiązaliśmy, nie czułam się w obowiązku ryzykować własnym życiem by go ratować. Nakłonił Satoru do bardzo dużej pomocy, a potem, w obliczu wrogiej agresji dał nogę, zostawiając nas samym sobie. Wpadając w ręce nieprzyjaciela dostał to, na co sobie zasłużył.

Żegnaj, Squealerze. Zostaniesz w mojej pamięci.

W myślach już go pożegnałam, lecz on wciąż stał w miejscu. Ziemne Pająki pociągnęły za linę, na której był uwiązany, ale zapiszczał w proteście, nie przestając węszyć.

Zamurowało mnie. Squelaer wpatrywał się wprost w nas. Zaszyliśmy się w krzakach, więc myślałam, że będziemy trudni do wykrycia z miejsca, w którym stał, lecz ewidentnie patrzył nam w oczy przez szczeliny między obalonymi łodygami bambusów.

Niespodziewanie krzyknął, wskazując w naszą stronę.

Zdrajca. Krew zawrzała mi z wściekłości i strachu.

Jeden z zaalarmowanych żołnierzy wyjął nóż, a drugi zdjął z pleców łuk i nałożył strzałę.

– Poczekaj chwilę – odezwał się stojący za mną Satoru.

Wciąż trzymając w dłoni strzałę, dziwoszczur padł na ziemię, jak marionetka, której przecięto utrzymujące ją linki. Jego uzbrojony w maczetę kompan stanął jak wryty. Właśnie wtedy Squealer wypluł ostrze, które jakimś cudem zdołał przemycić w ustach. Chwytnąjąc je w obie dłonie wyłonił się zza pleców pozostałego przy życiu żołnierza i przeciął mu tętnicę szyjną. Krew trysnęła jak z gejzera i dziwoszczur osunął się martwy na ziemię.

Squealer chwycił nóż w zęby i zręcznie przeciął więzy, krepujące jego dłonie.

– Dziękuję wam, bogowie! Dzięki wam zdołałem wywinąć się śmierci.

Nie spuszczałam z oczu z idącego nam na spotkanie Squealera.

– Takie kłamstwa to wszystko, w czym jesteś dobry. Próbowaleś nas wystawić!

– W życiu bym nie pomyślał o czymś takim! To nieporozumienie – odparł Squealer błagalnym tonem. – Gdybym tylko miał okazję, sam poradziłbym sobie z jednym z nich. Bądź co bądź, czy bogowie nie są tak potężni, że ci żołnierze są dla nich zaledwie igraszką?

Zamierzałam zwrócić jego uwagę na stan Satoru, ale ugryzłam się w język.

– Abstrahując od tego, bardzo ubolewam nad faktem, że wzięto mnie za zdrajcę. Nawet gdybym dopuścił się zdrady wobec bogów, nie ma mowy by wróg potraktował mnie łagodnie. Jako dowódcę kolonii Łowików, jedynym, co czekałoby mnie z ich rąk jest śmierć.

– Ale nie możesz zaprzeczyć, że wskazałeś im naszą kryjówkę.

– Przepraszam za to. Ale gdybym tego nie zrobił, to czy nie zostawilibyście mnie na pastwę losu? Nie, to oczywiste, że nie uczynilibyście czegoś takiego, lecz strach o życie wziął nade mną górę.

Squealer trafił w samo sedno, wytrącając mi z rąk argumenty.

– Ale wcześniej po prostu uciekłeś... – próbowałam jeszcze coś mu zarzucić.

– Tak, to prawda. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia. Nie zasługuję za to na nic, prócz śmierci. Bałem się. Jestem tchórzem. Wobec boskiej potęgi, jestem jedynie plugawym robakiem. Znacząco mniej niż plwocina żuka gnojarka. Jestem wart mniej niż szamocące się w szambie pijawki, ordynarny, odrażający...

– Skończ już – Satoru przerwał litanie samoupokorzenia Squealera. – Ważniejszą kwestią jest to, w jaki sposób się stąd wydostaniemy. – Oparł się o bambusowe tyczki i zamknął oczy.

Martwiłam się o niego. Musiał osiągnąć swój limit już dawno temu, ale skoro został przed chwilą zmuszony do użycia cantusu, oznaczało to, że musi od teraz oszczędzać energię.

– Zgadza się, jednak z jakiegoś powodu Ziemne Pająki zdają się myśleć, że bogowie kryją się po zachodniej stronie lasu i wykorzystują wszystkie siły by otoczyć ten obszar. Z tego powodu uważam, że najbezpieczniejsza droga prowadzi na wschód – powiedział spokojnie Squealer, jak gdyby nic się wcześniej nie wydarzyło.

– Więc na wschodzie nie ma żadnych nieprzyjaciół? – postanowiłam się upewnić.

– W istocie. Wszyscy najlepsi żołnierze skupili się na zachodzie. Ci którzy pozostali po wschodniej stronie to takie same miernoty jak ta dwójka.

Pociemniało mi przed oczami.

– Więc możemy natknąć się na kilku... Jak wielu ich jest?

– Łącznie od stu do stu pięćdziesięciu. Są słabo wyszkoleni i licho uzbrojeni; dla bogów to tak, jakby w ogóle nie istnieli. To będzie jak przechadzka przez niezamieszkałe pustkowia.

Westchnęłam. Nasza sytuacja zdawała się coraz bardziej pogarszać.

– Co powinniśmy teraz zrobić? Jeśli mamy wyruszyć, musimy się spieszyć. Jeśli elitarne jednostki uświadomią sobie, że bogowie nie kryją się na zachodzie i postanowią tu wrócić, znajdziemy się w tarapatkach – powiedział nagle Squealer.

Jakby nie patrzeć nasze zdolności bojowe w tamtym momencie właściwie wcale nie istniały.

– Bogowie.

Zastanawiało mnie, czy ten durny dziwoszczur w ogóle mówi prawdę. Byliśmy w olbrzymim niebezpieczeństwie. Nie chciałam sobie nawet wyobrazić, co może zrobić, kiedy zorientuje się że jesteśmy teraz praktycznie bezużyteczni.

– Bogowie.

– Zamilcz na chwilę!

– Ależ bogowie, nadciąga najgorsze! – wydusił Squealer. – Wygląda na to, że od zachodu zbliża się duża liczba żołnierzy. Czyżbyście planowali przedrzeć się przez ich szyki?

Spojrzałam na zachód. Nie słyszałam odgłosów maszerujących oddziałów, ale nie wyglądało też na to, że Squealer zmyśla. Mógł mieć rację, jako że słuch dziwoszczurów był znacznie czulszy od ludzkiego.

– Co teraz zrobimy...?

– Jak najszybciej ruszajmy na wschód. Jeśli będziemy musieli stanąć do boju, to nie muszę tłumaczyć, że ta walka będzie łatwiejsza.

– Ćśśś. Bądź cicho – uciszyłam go.

Usłyszałam to. Squealer nie kłamał. Wiatr niósł ulotne dźwięki rąbania i kroków. Było jasne, że cicho i ostrożnie przemieszczające się oddziały nie mają dobrych zamiarów.

– Bogowie, nie ma czasu! Musimy uciekać! – nalegał Squealer, ruszając na wschód.

Zachowując ostrożność, bezszelestnie przedostaliśmy się do widocznej za bambusowym lasem polany. Natknęliśmy się tam jednak na coś znacznie bardziej przerażającego.

To był patrol Ziemnych Pająków. Było ich siedem lub osiem; po prostu kręciły się bez celu. Nie zauważyły nas jeszcze, lecz gdybyśmy szli dalej, nie uniknęlibyśmy spotkania z nimi twarzą w twarz.

– Bogowie, proszę, pozbądźcie się ich. Najlepiej najciszej jak się da.

Spojrzałam na Satoru, który wolno pokiwał głową. Nie miał dość energii, by to zrobić.

– Bogowie, co robicie? Bogowie? – pytał nerwowo Squealer. – Nie ma czasu na zastanawianie się! Jeśli teraz nie uciekniemy, dopadną nas zbliżające się od tyłu oddziały. – Jego głos przybrał nieprzyjemną barwę. – Czy to możliwe, że... – W jego oczach pojawił się dziwny błysk, jakiego nigdy wcześniej nie widziałam. – Że nie jesteście już bogami?

Czas zamarł. Utkwiłam wzrok w Squealerze.

Głośny gwizd przerwał lodowatą ciszę. Jakbyśmy zostali uwolnieni z jakiejś klątwy, zaczęliśmy rozglądać się wkoło.

– Co to był za dźwięk?

Usłyszałam go ponownie. Tym razem dobiegał z innej strony, jak sygnał przekazywany między górskimi szczytami.

– Bogowie, bogowie! – Squealer wprost szalał z radości. – Dobrze wieści! Kroki cichną. Oddział idący z zachodu zawraca!

– Dlaczego? – Moje zdziwienie było chyba nawet większe od ulgi.

– Przybyła odsiecz! To był dźwięk muszli należących do Olbrzymich Szerszeni! Nie musimy się już niczego obawiać. Olbrzymie Szerszenie są największą kolonią w Kanto, dysponują ponaddwudziestotysięczną armią. Zmiażdżą Ziemne Pająki w mgnieniu oka.

Zanim zdążyłam się zorientować, patrol Ziemnych Pająków gdzieś się ulotnił. *Czy naprawdę jesteśmy ocaleni?* Rzuciłam Satoru przelotne spojrzenie, lecz na jego twarzy nie ujrzałam nawet cienia ulgi ani szczęścia.

Kolonia Olbrzymich Szerszeni nie wygrała tylko dzięki przewadze liczebnej; przyczyniła się do tego też ich zaciekłość w boju.

Ich żołnierze najpierw zaczęli strzelać z dystansu, a gdy tylko skończyły im się strzały, natarli dziko na wroga, przechodząc do walki w zwarciu. Oddział lekkobrojnych dziwoszczurów z łatwością przebił się przez zwartą falangę, rozciągając między nieprzyjaciółmi coś w rodzaju sieci. Wtedy Olbrzymie Szerszenie przebiły unieruchomione Ziemne Pająki tyłoma włóczniami, że ich ciała zaczęły przypominać jeżowce.

Wojownicy zwykłego wzrostu przypuścili szturm na trzymetrowe mutanty. Uwieszali się zębami na wrogach, po czym siekali ich długimi mieczami. Nieważne, z jak bardzo wynaturzonymi

monstrami przyszło im się mierzyć; Olbrzymie Szerszenie bez trudu pokonały wszystkich wrogów.

– Główne siły przeciwnika zostały unicestwione. Teraz pozostało jedynie pojmanie królowej – powiedział spokojnie Kiroumaru, dowódca wojsk Olbrzymich Szerszeni, podsumowując bitwę. – Wyglądają tak odmiennie, że trudno jest mi nawet uznać ich za mój własny gatunek, ale koniec końców okazało się, że ten monstrualny wygląd jest mylący. Nie byli godnymi przeciwnikami.

– Czy to nie jest zbyt lekceważące podejście? – wtrącił się Squealer.

– Och, tak? Co masz na myśli? – Kiroumaru spojrzał w dół na Squealera, który był od niego niższy o dobre dwie głowy.

Ludzkie imiona nadawano tylko tym dziwoszczurom, które wykazały się wybitnymi zdolnościami i osiągnięciami. Łącznie we wszystkich koloniach takie imiona nosiła mniej niż dwudziestka dziwoszczurów. Oczywiście dowiedziałam się o tym dopiero dużo później, ale od razu dało się dostrzec, że Kiroumaru odznacza się ponadprzeciętną prezencją. Przewyższał nas wzrostem, i, nie licząc królowej i mutantów-katapult, był najwyższym dziwoszczurem jakiego spotkałam. Jego pociągła twarz i skośne ślepia nadawały mu wilczego wyglądu, tak dobrze pasującego do imienia.¹ Miał przymrużone oczy, przez co wydawało się, że się uśmiecha, jednak taki sam wyraz gościł na jego obliczu również wtedy, gdy podrzynał gardła przeciwnikom. Wszystkie Olbrzymie Szerszenie miały wytatuowane ciała i twarze. Większość z tych tatuaży była zwykłymi paskami wymalowanymi ma policzkach, jednak Kiroumaru był pokryty od oczu po czubek nosa skomplikowaną mozaiką wzorów, która jeszcze bardziej urozmaicała jego i tak niecodzienny wygląd.

– Wojownikom Olbrzymich Szerszeni z pewnością nie brak odwagi i determinacji, jednak odnieśliście tak łatwe zwycięstwo nad Ziemnymi Pająkami dlatego, że bogowie wcześniej ich osłabili.

¹ Drugie kanji w imieniu Kiroumaru (奇狼丸) oznacza wilka.

Gdyby oddział katapultowy pozostał nietknięty i w pełni sprawny do walki, byłby dla was dużym zagrożeniem.

– Oddział katapultowy nie był niczym nadzwyczajnym – odparł pogardliwie Kiroumaru. – Nie widziałem wcześniej takich dziwnych stworów, ale katapult od zawsze używa się podczas oblężeń. Ich łucznicy z kolei byli tylko mięsem armatnim; podczas walki w zwarciu dosłownie wdeptaliśmy ich w ziemię.

– Wciąż twierdzą, że takie podejście jest...

– Jesteś zwykłym cywilem i nie rozumiesz praw, którymi rządzi się wojna. Dlatego też puszczę twoją przesadną drobiazgowość mimo uszu. – Kiroumaru obrzucił nas chłodnym spojrzeniem. – Jednakże, nieroztropna taktyka Ziemnych Pająków rzeczywiście mogła wynikać z obecności bogów, podobnie jak ich głupi pomysł rozmieszczenia wszystkich sił na przedzie, bez należytego zabezpieczenia tyłów. Ja, Kiroumaru, dziękuję i jestem wam niezmiernie wdzięczny.

– Nie ma za co – odparłam krótko. Chciałam odwzajemnić podziękowania, ale coś mnie powstrzymało.

Wtedy właśnie nadbiegł goniec i odezwał się w języku dziwoszczurów.

– Gniazdo zostało odnalezione – oznajmił Kiroumaru, kiwając głową z satysfakcją.

– Co? T-to wspaniale... – Squealer wyglądał, jakby miał coś ważnego do powiedzenia.

Kiroumaru zignorował go jednak i zwrócił się w naszą stronę. – Muszę zająć się przeglądem zdobyczy. Pójdziecie ze mną?

Chciałam odmówić, lecz Satoru, który cały czas miał zamknięte oczy, odparł, że chętnie się z nim udamy.

– Czy możemy więc ruszać? Poprowadzę was.

Podążyliśmy za Kiroumaru poza obóz. Wszyscy żołnierze kłaniali mu się, gdy cicho kroczył między nimi.

– Dlaczego z nim idziemy? – spytałam szeptem Satoru.

– Nie możemy okazać przed nim żadnej słabości.

Satoru ponownie zamknął oczy. Wydawało się, że samo utrzymywanie przytomności jest dla niego olbrzymim wysiłkiem.

– Ale Olbrzymie Szerszenie są najbardziej lojalną ze wszystkich kolonii. Czemu musimy być tak ostrożni? – spytałam, mimo że sama miałam w stosunku do Kiroumaru trochę wątpliwości.

– Powinniśmy być ostrożni właśnie dlatego, że są tak lojalni.

– Co masz na myśli?

– Ciężko to teraz wytłumaczyć... – Satoru zmarszczył brwi. – Spójrz, od zeszłej nocy nieprzerwanie balansujemy na granicy życia i śmierci, racja?

– No tak.

– Mogę się jednak założyć, że nie byliśmy jednak jeszcze w tak niebezpiecznej sytuacji, jak teraz.

Nie miałam pojęcia, o co mu chodzi. Po głowie krążyły mi setki pytań, na które chciałabym usłyszeć odpowiedź. Odwróciłam się z powrotem w kierunku Kiroumaru.

– Widzicie? Wejście do ich gniazda jest idealnie na wprost nas.

Nie dało się go nie zauważyć. W pochyłej ścianie ziała dziura tak duża, że zmieściłby się w niej nawet słoń. Nieopodal widniały ślady po wykopanych z korzeniami drzewach, które uprzednio maskowały wrota.

– Ale czy po drugiej stronie nie ma wielu tylnych wyjść? Królowa mogła wydostać się jakimś ukrytym tunelem, prawda?

Kiroumaru uśmiechnął się. – Nie ma powodów do obaw. Pierwszym, co zrobiliśmy, było zablokowanie pozostałych wejść tak, by zmusić królową do skorzystania z tego. Będzie próbowała uciekać, nie czując respektu przed mocą bogów. Co ważne, kwatery królowej są uważane za święte miejsce i nie biegnie przez nie zbyt dużo korytarzy.

– No to gdzie teraz znajduje się królowa?

– W komnacie na najniższym poziomie gniazda.

Z gniazda zaczęli wychodzić liczni żołnierze Olbrzymich Szerszeni. Niektórzy z nich nieśli coś delikatnie w ramionach.

– Czy to są...? – Poznałam odpowiedź na swoje pytanie, nim jeszcze skończyłam je zadawać.

To były nowonarodzone dziwoszczury.

– Wewnątrz gniazda odnaleźliśmy wiele wylęgarni. Wszystkie te młode są dziećmi królowej Ziemnych Pająków.

– Ale dlaczego...?

Uśmiech satysfakcji na twarzy Kiroumaru był dość odrażający. – To nasze drogocenne zdobycze wojenne. W przyszłości staną się główną siłą roboczą naszej kolonii.

Jeden z żołnierzy podał noworodka Kiroumaru. Malec nie otworzył jeszcze oczu i machał bezradnie przednimi łapkami, jakby chciał coś dosięgnąć. Różowa skóra sprawiała, że był znacznie bardziej podobny do szczura niż dorosłe osobniki jego gatunku.

Przypomniały mi się słowa Squealera.

Dokonuje się egzekucji królowej, a pozostali mieszkańcy kolonii stają się niewolnikami. Do końca życia traktowani są gorzej niż śmieci, a gdy umrą, ich zwłoki pozostawia się niepochowane by zgniły i użyźniły glebę pól uprawnych.

Te maluchy czekała bardzo smutna przyszłość. Pomimo tego, że dziwoszczury prawie dorównywały ludziom inteligencją, ich natura wciąż była bardziej zbliżona do mrówczej. *Dlaczego tak spaczony gatunek zwierząt w ogóle chodzi po świecie?* To pytanie nie przestało mnie dręczyć przez całą następną noc.

Squealer, cały czas trzymający się za naszymi plecami, podszedł do Kiroumaru i zaczął coś do niego mówić. Używał języka dziwoszczurów, więc nie zrozumiałam z tego ani słowa.

– Jesteśmy w obecności bogów, mów po japońsku – syknął Kiroumaru.

– Och, bardzo was przepraszam, bogowie. Po prostu jako przedstawiciel kolonii Łowików bronię swoich praw. – powiedział Squealer, wielokrotnie się kłaniając.

– Twoich praw? – Kiroumaru uśmiechnął się z politowaniem. – Dlaczego twierdzisz, że przysługują ci jakieś prawa?

– Czy to nie oczywiste? Kolonia Łowików stała się pierwszą linią obrony przed niebezpiecznymi najeźdźcami i powstrzymywała ich, dopóki nie nadeszła pomoc. W wyniku brutalnych i tchórzliwych ataków wroga straciliśmy jednak przez ten czas wielu żołnierzy. Każda inna kolonia ucierpiałaby tak samo będąc na naszym miejscu. Czy Łowikom, które były barierą ochronną dla innych kolonii, nie należy się zapłata za ich wysiłki? – zapytał Squealer z graniczącą z płaczem gorliwością.

Nie miałam pojęcia co chce w ten sposób osiągnąć.

– Hm. Co za bzdury. – Kiroumaru dostrzegł dezorientację w moim wzroku. – Niech będzie. Wymarcie nawet tak małej kolonii jak wasza byłoby nieodżałowaną stratą. – powiedział. – Za swój wkład dostaniecie dwie setki dorosłych i trzy setki młodych. To wszystko.

– Dziękuję! Będę mógł z dumą złożyć raport królowej! – wykrzyczał Squealer, bijąc pokłony Kiroumaru. – Dwustu niewolników i trzy setki dzieci wystarczą do odbudowy naszej kolonii, Jestem tak głęboko wdzięczny, że brak mi słów...!

– Cóż, oczekuję, że spłacie swój dług, gdy nadejdzie odpowiedni czas. – W oczach Kiroumaru pojawił się przerażająco chłodny błysk.

Przed wejściem do gniazda powstało zamieszanie. Żołnierze uzbrojeni we włócznie ruszyli na pomoc grupie swoich pobratymców, która wybiegła z wewnątrz.

– Och, najwyraźniej kilku z nich wciąż ukrywa się w środku – powiedział Kiroumaru dość radosnym głosem.

Z gniazda powoli wyłonił się rosty dziwoszczur. Wzrostem dorównywał prawdopodobnie Kiroumaru. Gdy tylko ujrzałam jego głowę o kształcie młota i skórzaną zbroję, na którą zarzucił pelerynę, przypomniało mi się, że już go widziałam. To był ten sam żołnierz Ziemnych Pająków, któremu Kapitan Szyszka składał swój raport.

Sądząc po uległej postawie Kapitana Szyszki w stosunku do niego, Młotogłowy musiał być najwyżej postawionym z dowódców.

Gdy tak stał i spokojnie rozglądał się wkoło, jego wzrok padł w pewnym momencie na nas. Szeroko rozłożył ramiona, chcąc dać do zrozumienia, że nie jest uzbrojony i powiedział coś zdumiewająco łagodnym tonem.

– Hm – fuknął Kiroumaru.

– Co on powiedział? – spytałam.

– Mówi w swoim dialekcie, więc nie zrozumiałem wszystkiego. Nasz język różni się w zależności od kraju i regionu. W każdym razie, chce, byśmy oszczędzili królową, jeżeli się poddadzą.

– Zgodzicie się?

– Nie ma mowy. – Kiroumaru zmrużył oczy. – Sam pomysł poddania się w tym momencie jest kompletnie niedorzeczny a darowanie życia królowej po wojnie między koloniami jest po prostu niemożliwe. Nawet taki idiota jak on powinien to wiedzieć.

Młotogłowy nie przestawał mówić.

– Pragnie przeprowadzić z nami naradę. Twierdzi, że chcą wymienić ważne informacje za życie królowej. No cóż, póki co możemy przekonać się, co ma do powiedzenia.

Możliwe, że oficer Ziemych Pająków wiedział coś o Shunie i pozostałych. Gdy o tym rozmyślałam, coś wyszło z gniazda i schowało się za peleryną Młotogłowego. Kiroumaru natychmiast się zatrzymał, lecz gdy zobaczył, że to, co wypełzło z nory tylko wygląda nieśmiało zza olbrzymiego dziwoszczura, odprężył się i ruszył dalej.

Gdyby ktoś nie wiedział, czym w rzeczywistości są te stwory, z pewnością wzięłyby je za dwa duże psy. Miały potężne cielska pokryte czarną szczecinią i osobliwie małe łby, które trzymały zaraz nad ziemią.

– Bombopsy...! – próbowałam krzyknąć, lecz z moich ust wydobył się jedynie ochryply szept.

Kiroumaru znajdował się nie więcej jak sześć lub siedem metrów od Młotogłowego.

Nagle ujrzałam przed oczami scenę śmierci Rijina. Była tak żywa, że wydawało mi się, że dzieje się to w tej chwili.

Bombopies nadał się. Spomiędzy szorstkiego włosa zaczęły prześwitywać pasma białego światła. Jeśli to ostrzeżenie zostałoby zignorowanie, nadał by się jeszcze jeden, ostatni raz. Tuż przed śmiercią wyrzucił oczami, ukazując ich białka, a z pyska, na którym malowała się trudna do opisanie ekstaza, zaczęła skapywać ślina. Gdy nabrzmiał do granic swoich możliwości, jego skóra stała się tak naciągnięta i cienka, że w kilku miejscach stała się półprzezroczysta. We wnętrzu bombopsa tańczyły małe, błękitne i białe iskierki. Udało mi się wtedy po raz pierwszy ujrzeć dokładnie moment zapłonu zgromadzonego w jego ciele wybuchowego prochu.

Właśnie wtedy nastąpiła eksplozja.

Pokrywająca plecy skóra została rozerwana na miliony fragmentów, a głowa, wciąż ozdobiona uśmiechem Kota z Cheshire została wyrzucona w dal przez siłę wybuchu. Fala uderzeniowa wzbijała w powietrze olbrzymie obłoki kurzu, które w zastraszającym tempie zwiększały swoją objętość. Ostre odłamki kości bombopsa wbiły się w Rijina, rozrywając jego ciało na strzępy jak olbrzymia szatkownica

Powróciłam do rzeczywistości. Wydawało mi się, że minęły dwie lub trzy minuty, jednak w rzeczywistości upłynęła jedynie jedna, może dwie sekundy.

Bombopsy skoczyły przed Młotogłowego. Kiroumaru ponownie się zatrzymał; cofnął się nieznacznie, wyczuwając niebezpieczeństwo. Jego honor dowódcy sprawił jednak, że zrobił to sekundę za późno.

Bombopsy pominęły zupełnie swoje typowe ostatnie ostrzeżenie i od razu zaczęły się nadymać w celu eksplozji

– Satoru! – krzyknęłam, chwytając go mocno za ręce.

Otworzył oczy.

Wszystkie dźwięki umilkły a całe otoczenie zdawało się spowolnić. Czas rozciągał się jak guma, zupełnie jak we śnie.

Bombopsy napuchły do rozmiarów dwóch olbrzymich kul. Na ich sierści uwidoczniły się ostrzegawcze białe linie.

Za chwilę musiał nastąpić wybuch... A przynajmniej tak mi się wydawało.

Ułamek sekundy przed nieuniknioną eksplozją, Satoru zdołał ją powstrzymać, wykorzystując cantus. Jeden z bombopsów został wessany z powrotem do wnętrza gniazda. Na odesłanie w kierunku wejścia drugiego z nich zabrakło czasu; w momencie, w którym spróbował on wysadzić się powietrze, jego ciało zostało ściśnięte potężną mocą. Walka dwóch przeciwstawnych sił trwała krócej niż mgnienie oka.

Bombopies skulił się w dziwny sposób, jakby zacisnęła się na nim niewidzialna dłoń i po chwili implodował.

Skierowana na zewnątrz eksplozja uległa odbiciu i skupiła się na zwierzęciu, jednak po chwili zrykoszetowała, nabierając jeszcze większej mocy.

Zastanawiam się, co mogłoby się stać, gdyby Satoru spróbował stłumić również tę drugą falę. Siła wybuchu jest tym większa, im większej hamującej ją mocy jest w stanie się przeciwstawić. Gdyby eksplozja przełamała potęgę cantusu, nikt nie uszedłby z życiem.

Na szczęście Satoru zrobił coś innego. Stworzony przezeń obraz olbrzymiej dłoni uchronił nas przed śmiercią. Skupiona wiązka energii wystrzeliła ze szczeliny między jej kciukiem i palcem wskazującym.

W tym samym momencie powietrze rozdarła eksplozja pierwszej z czarnych żywych bomb, która została wcześniej wepchnięta do gniazda. Z nieba posypały się ogromne ilości ziemi, wyrwanej ze sklepienia nory przez falę uderzeniową.

Na sekundę przed tym jak dotarł do nas impet wybuchu, zebrałam w sobie wszystkie pozostałe siły i rzuciłam nieprzytomnego już Satoru na ziemię.

Podczas gdy czekaliśmy, aż wszystko się uspokoi i opadnie pył, bezwiednie przypominałam sobie grymas satysfakcji, jaki zagościł na pysku bombopsa, tuż przed tym jak wysadził się w powietrze i, zupełnie nieracjonalnie, zawyrokowałam w myślach, że musiał to być samiec.

Gniazdo stało się gigantycznym grobowcem.

Wyciągane ze środka przez żołnierzy Olbrzymich Szerszeni ciała były pokryte rozległymi ranami. Oczywiście nie pozostał wśród nich nikt żywy. Odłamki kości bombopsa nie mogły przedostać się przez kręte, rozgałęzione tunele, więc najpewniej powodem ich śmierci była szybsza od dźwięku fala uderzeniowa eksplozji.

Nagle wśród odkopujących zawalone korytarze dziwoszczurów podniosła się wrzawa. Jeden z nich wybiegł na zewnątrz, cały rozentuzjasmowany.

– Odnaleziono ciało królowej – oznajmił Kiroumaru po wysłuchaniu meldunku żołnierza.

Sam został poważnie ranny w wybuchu; owinięte wokół jego pleców i ramion bandaże zabarwiły się na czerwono od krwi. Niebo zasnuwała chmara much krążących nad górą wydobytych ciał; natrętne owady gromadziły się również przy Kiroumaru.

– Pójdę ją zobaczyć – powiedział, spoglądając na leżące u jego stóp zmasakrowane ciało. Tylko dzięki ocalałym skrawkom peleryny dało się rozpoznać w nim Młotogłowego. Miał zamiar zabrać Kiroumaru ze sobą do grobu. Kiroumaru zdeptał pogardliwie zwłoki i poszedł zająć się swoimi obowiązkami. Chodzenie z pewnością sprawiało mu ból, jednak większym, dużo trudniejszym do zniesienia cierpieniem był dla niego gniew i żal po spowodowanej jego własnym zaniedbaniem stracie wielu żołnierzy.

Spojrzałam na nieprzytomnego Satoru. Nie wyglądało na to, by został ranny a jego oddech był miarowy. Pomyślałam, że jeżeli odpocznie kilka minut, wszystko będzie z nim w porządku.

– Mogę iść z tobą?

Pierwszy raz od eksplozji na twarzy Kiroumaru zagościł jego typowy, niepokojący uśmiech. – Nie polecałbym tego, naprawdę.

– Proszę, mnie też zabierz ze sobą – zawtórował mi Squealer, nie zważając na ostrzeżenie Kiroumaru. Wyglądało na to, że przetrwał wybuch, nie odnosząc poważniejszych obrażeń.

Fala uderzeniowa sprawiła, że duża część gniazda uległa zawaleniu. Stanęliśmy nad największą szczeliną w ziemi. Spojrzałam w dół i westchnęłam.

– Czy to naprawdę królowa? – spytałam.

Kiroumaru skinął głową. – Królowa musi urodzić ogromną liczbę młodych, więc naturalnie jej ciało musi być odpowiednich rozmiarów. Mimo tego, nie wydaje mi się, by którakolwiek z królowych żyjących na naszej ziemi dorównywała jej wielkością.

Podźwignięcie jej na powierzchnię wydawało się niemożliwe. Nieważne z której strony by się jej nie przyjrzeć, była mniej więcej tak duża jak średnich rozmiarów wieloryb. Największą część jej masy wydawała się stanowić macica, zaś jej głowa była nedorzecznie mała w stosunku do ciała.

– Wracajmy – powiedział Kiroumaru, wydając szybkie rozkazy pracującym w dole żołnierzom.

Dziwoszczury wspólnymi siłami dźwignęły królową i odwróciły ją na grzbiet, tak, że mogliśmy zobaczyć jej zeszywniałą twarz. Przypominała królową Łowików, lecz była znacznie szkaradniejsza. Jej długie na dziesięć centymetrów zęby były obnażone, jakby zmarła podczas napadu szału.

Jeszcze bardziej szokujący był wygląd jej nienaturalnie wydłużonego tułowia. Sterczały z niego niezliczone sutki, którymi mogła karmić wiele młodych jednocześnie, jednak poza nimi zauważyłam też ogromną liczbę odnóży, podobnie jak u gąsienicy czy minoshiro.

– Dlaczego ona ma aż tyle nóg...? – zapytałam.

– To nie do pomyślenia... Co za okropność – wykrztusił Squealer. – To absolutnie niewybaczalne.

– Przecież wiedzieliśmy już, że ich żołnierze są kompletnie zdeformowani, a ty i tak jesteś zdziwiony, że królowa też jest mutantem?

– Mutantem? Ale jak...?

– Królowa nie może taka być! To ona tworzy mutanty! Ta królowa została wypaczona przez swoją poprzedniczkę, która ją urodziła! – wrzeszczał Squealer.

– Hę? Więc...?

Kiroumaru łypnął złowrogo na Squealera, który wychodził z siebie z wściekłości.

Squealer wzdrygnął się i zamilkł.

– Przepraszam, nie wolno mi tego tobie wyjaśnić. – Kiroumaru zwrócił się w moją stronę i pokłonił się.

– Dlaczego? Jestem przecież boginią!

– Rozumiem. Wcześniej ocaliliście mi życie i nie zapomnę tego aż do śmierci, jednakże Komisja Etyki zabroniła nam dzielenia się z młodymi bogami jakąkolwiek wiedzą, która mogłaby im zaszkodzić.

Wyglądało na to, że nie wyciągnę z nich więcej informacji; zaniechałam więc dalszej dyskusji i wyszłam na zewnątrz, wracając do Satoru. Kiedy opuszczałam gniazdo, Kiroumaru wydawał żołnierzom rozkazy, tłumacząc im, w jaki sposób mają wynieść ciało królowej. Ciekawiło mnie, do czego są im potrzebne jej zwłoki, ale obawiałam się odpowiedzi, którą mogłabym usłyszeć. Nagle poczułam takie zmęczenie, że poczułam się, jakbym za chwilę miała się przewrócić. Miałam już w nosie wszystkie te dziwoszczury. Nie obeszłoby mnie nawet gdyby powybijały się nawzajem.

Wkrótce zostaliśmy zaprowadzeni do obozowiska Olbrzymich Szerszeni. Satoru nie obudził nawet będąc niesionym przez dwójkę dziwoszczurów.

Rzuciłam się na posłanie z miękkiego siana i błyskawicznie zasnęłam.

Od poprzedniego dnia nie mieliśmy nawet chwili wytchnienia od niebezpiecznych sytuacji. Teraz jednak byliśmy bezpieczni. *Wracamy do domu. Kiroumaru będzie nad nami czuwał dopóki nie dostaniemy się do miejsca ukrycia kajaków, a potem już sami popłyniemy w dół rzeki.* Spojrzałam na leżącego obok mnie Satoru, pogrążonego

w cichym śnie. Już się nie martwiłam; nawet gdyby się nie obudził, dostarczyłabym go do domu.

Kiedy pomyślałam o Marii, Shunie i Mamoru, poczułam się, jakby moja klatka piersiowa była zrobiona z ołowiu. Chciałam wierzyć, że nic im nie jest, ale w świetle wszystkich przeciwności czoła, którym musieliśmy wraz z Satoru stawić czoła, trudno było o optymizm. Jeśli okazałoby się, że ich kajaki pozostały w kryjówce, musiałabym prosić Kiroumaru by zaczął szukać moich przyjaciół.

To mogło jednak poczekać do chwili, gdy się obudzę. Zagrożenie ze strony Ziemnych Pająków zostało zażegnane. Jeśli ich trójka nadal była w jednym kawałku, nie powinni już napotkać żadnych niebezpieczeństw. Ta myśl pozwoliła mi się wreszcie odprężyć.

Nie mogłam już dłużej walczyć ze snem. Świat powoli pogrążył się w ciemnościach.

Tuż przed zaśnięciem, usłyszałam w myślach niosący się echem głos Satoru.

Spójrz, od zeszłej nocy nieprzerwanie balansujemy na granicy życia i śmierci, racja?

– No tak.

– Mogę się jednak założyć, że nie byliśmy jednak jeszcze w tak niebezpiecznej sytuacji, jak teraz.

Czym dokładnie miało być to niebezpieczeństwo? Czy Satoru nie jest po prostu przewrażliwiony?

Ponownie zaczęłam się martwić, jednak zmęczenie było już tak duże, że wzięło nade mną górę.

Zapadłam w głęboki sen.

Rozdział 7

Kiedy otworzyłam oczy, w pokoju było już ciemno.

Wszystko, co się do tej pory wydarzyło wydawało mi się sennym marzeniem. Wszyscy byli razem. Tata. Mama. Satoru. Shun. Maria. Mamoru. Nie potrafiłam sobie dokładnie tego przypomnieć, ale możliwe, że był też ktoś jeszcze.

To była scena rodzinnego obiadu. Stół jadalny został jednak zastąpiony polem, na którym przeprowadzano turniej w toczeniu kuli. Satoru i ja znajdowaliśmy się przy jego bocznej krawędzi i próbowaliśmy zmusić popychaczy do ruchu, wykorzystując swój cantus. Drużyna przeciwna stała w cieniu, więc nie potrafiłam powiedzieć, kim są. Z ziemi wyłoniły się niezliczone wrogie figury, które zaczęły na nas nacierać. Przemieszczałyśmy się na ślepo, nie wiedząc, gdzie znajduje się cel.

Wróg ścigał nas nieustępliwie, zdobywając coraz więcej pola i spychając nas coraz bardziej i bardziej do tyłu. Byliśmy pomału zapędzani w róg. Niedługo mieliśmy zostać całkowicie otoczeni.

Kiedy byłam już przekonana, że jesteśmy w sytuacji bez wyjścia, najbliższa z wrogich figur z donośnym hukiem wyleciała w powietrze. Później to samo stało się z następną, a potem z kolejnymi, jakby był to jakiś rodzaj reakcji łańcuchowej.

Bez wątpienia była to sprawka Satoru. Jawne łamanie zasad. Nie, to było nawet coś więcej...

Nagle uświadomiłam sobie, że figury przeciwników mają kształt dziwoszczurów. Próbowałam uciekać w panice, ale okazało się, że bez zabicia ich wszystkich, odwrót jest niemożliwy.

Wpatrywałam się tępo w Satoru.

Część jego twarzy była ukryta w cieniu i nie mogłam dostrzec jego oczu. Jego usta zdawały się jednak układać w nieznacznym uśmiech.

Obudziłam się z bijącym dziko sercem.

Przypomniałam sobie wtedy, gdzie się znajduję. Wszystkie ślady po śnie zostały natychmiastowo zmiecione przez obawy, które

dręczyły mnie na jawie. Zastanawiałam się, jak długo spałam. Jeśli intuicja Satoru go nie myliła, wciąż byliśmy w niebezpieczeństwie.

Gdy wyteżyłam słuch, nie usłyszałam żadnych odgłosów poza oddechem Satoru.

Zorientowałam się, że coś leży obok mojej poduszki. Dwie miski na drewnianej tacy. Podniosłam jedną, ale nie potrafiłam stwierdzić, czym jest jej zawartość. Powąchałam potrawę i wyczułam ulotną woń miso. W tym momencie zaburzało mi głośno w brzuchu. Gdy o tym pomyśleć, nie jadłam nic od obiadu poprzedniego dnia.

Nigdzie nie było pałeczek, lecz zamiast nich znalazłam coś wyglądającego jak wystrugany topornie z bambusa liść lotosu. Zawahałam się przez sekundę, po czym zanurzyłam go w misce i przybliżyłam do ust. Nie miałam pojęcia, co jem, więc ostrożnie smakowałam potrawę. Była wyjątkowo mdła, jak owsianka bez żadnych dodatków, jednak zanim sobie to uświadomiłam, pałaszowałam łapczywie zawartość naczynia.

Po chwili miska była już pusta.

Wciąż byłam głodna. Spojrzałam chciwie na drugą z misek; to była porcja Satoru, ale jeśli miał zamiar cały czas spać, i tak nie miałby z niej dziś żadnego użytku.

Nie miałam oczywiście zamiaru podkraść mu jedzenia; połowiczne nasycenie głodu było jednak jeszcze trudniejsze do zniesienia niż zupełny brak pożywienia.

Próbowałam obudzić Satoru, pomimo świadomości, że powinnam pozwolić mu po prostu się wyspać. Mówiąc zupełnie szczerze, chciałam szarpać nim tak długo, aż się obudzi, i, gdy dowie się, że przyniesiono nam pokarm, powie, że nie chce swojej porcji, bym mogła zjeść ją za niego.

Potrząsnęłam go za ramię, ale nie odniosło to skutku; spał twardo jak kamień. Bez niczyjej pomocy powstrzymał eksplozję jednego z bombopsów, a drugiego odrzucił głęboko do gniazda. Ponadto już wcześniej był wyczerpany i z pewnością nie był na siłach,

by używać cantusu. Gdyby nie zdołał zebrać się na ten ostatni wysiłek, z pewnością wszyscy zginęlibyśmy w wybuchu.

Poczułam nagle silne ukłucie wstydu i przestałam nim potrząsać.

Zaczęłam się martwić. Zachodziłam w głowę, czy forsując ciało i umysł ponad możliwości, nie uszkodził sobie trwale mózgu. W dodatku mógł to być równie dobrze skutek uboczny prowizorycznej hipnozy, w którą go wprowadziłam, żeby przywrócić mu cantus.

Satoru cicho jęknął. Nie widziałam wyraźnie jego twarzy, ale zdawało mi się, że pojawił się na niej grymas bólu.

Pochyliłam się nad nim i delikatnie go pocałowałam. Uśmiechnął się nieznacznie. Jego oczy zabłyszczały, gdy dotarło do nich światło. Nie był to co prawda pocałunek księcia z bajki, ale najwyraźniej odniósł identyczny efekt.

– Saki... Jak długo tu byłem? – spytał ochryple.

– Nie wiem. Na zewnątrz jest już ciemno.

Satoru powoli się podniósł. – Jest tu coś do jedzenia?

Podaliśmy mu miskę. – Skąd o tym wiedziałeś?

Położył swój palec na moich ustach. Więc to nie pocałunek księżniczki obudził księcia; zadziałał tak pozostały na mych wargach aromat jedzenia. Satoru musiał być naprawdę wygłodniały, bo opróżnił swoją miskę jeszcze szybciej niż ja. Wyglądał jakby miał zamiar wylizać pozostałe na dnie resztki, ale zauważył, że mu się przyglądam.

– Hej, uważasz, że cały czas jesteśmy w niebezpieczeństwie? – Zadałam pytanie, które najbardziej mnie gnębiło.

– Tak – odparł bez zastanowienia.

– Ale co to za zagrożenie? Ziemne Pająki zostały zglądzone...

Satoru ponownie przyłożył mi palec do ust.

– Czy na zewnątrz są strażę? – spytał.

Mówiąc szczerze, nawet o tym nie pomyślałam. Spaliśmy jak kłody w jednym z pomieszczeń obozowiska Olbrzymich Szerszeni.

To była prosta ziemianka, pokryta dachem z łodyg bambusa. Jedyne wyjście zakrywała zwisająca z sufitu słomiana kotara.

Pomału się do niej przyczółgałam i wyjrzałam na zewnątrz. Były tam. Dwa odziane w zbroje dziwoszczury stały na warcie. Bezgłośnie odpełzłam z powrotem w głąb pokoju.

– Stoją tam.

Po usłyszeniu tej odpowiedzi, Satoru przysunął się bliżej mnie.

– Jeśli to niscy rangą żołnierze, prawdopodobnie nie rozumieją zbyt dobrze japońskiego – wyszeptał mi do ucha. – Dla pewności jednak porozumiewajmy się szeptem.

Poczułam, jak łaskocze mnie jego oddech. Zbliżyłam usta do jego ucha.

– Ale czemu mamy być tacy ostrożni? Olbrzymie Szerszenie to...

Przypomniało mi się, że tuż przed zaśnięciem myśli zaprzątnęło mi to samo pytanie.

– Masz rację. Są najbardziej lojalną w stosunku do ludzi kolonią – wyszeptał. – To jednak nie znaczy, że są lojalni w stosunku do nas. Kiroumaru i jego żołnierze są bezgranicznie posłuszni dorosłym, racja?

– No i...?

– Oznacza to, że w ostatecznym rozrachunku najważniejsze są dla nich instrukcje od Komisji Etyki – wypalił.

– Myślisz, że Komisja rozkaże im zrobić nam coś złego?

Poczułam jak jego dłoń zaciska się mi na ramieniu.

– Spotkaliśmy fałszywego minoshiro i usłyszeliśmy o rzeczach, o których nie powinniśmy wiedzieć.

– Ale to jest...!

– Ćśśś. Nie tak głośno. – Satoru zamilkł na chwilę, wpatrując się uważnie w drzwi. – Przyjmijmy, że to, co mówił fałszywy minoshiro jest prawdą. Samo wyobrażenie o tym jest obrzydliwe, ale gdyby ludzie rzeczywiście mogli atakować się nawzajem, korzystając z cantusu, nasze społeczeństwo zostałoby błyskawicznie

unicestwione. Czy nie próbowano by więc temu zapobiec, chwytając się wszystkich dostępnych metod, niezależnie od tego jak bardzo przerażające by one nie były?

– Ale czy oni naprawdę mają zamiar coś nam zrobić?

– Zawsze mówiło się, że pozbywają się dzieci, które mogą potencjalnie sprawiać problemy, zanim jeszcze do czegoś dojdzie, prawda? Innymi słowy, chcą nas usunąć!

– Usunąć... To niemożliwe. Nie mów tak absurdalnych rzeczy. To nie może się stać!

– Pomyśl o tym. Każdego roku kilkoro uczniów znika ze Szkoły Harmonii i Akademii Mędrców, prawda? Jakby na to nie spojrzeć, to bardzo dziwne. Skoro nie są eliminowani, to co się z nimi dzieje?

Poczułam, że wszystkie włosy stają mi dęba. Słuchanie tego, co mówił fałszywy minoshiro było straszne, jednak dotychczas tylko połowicznie wierzyłam jego słowom, więc zbyt nie nad nimi nie zastanawiałam. Teraz jednak byłam przerażona znacznie bardziej niż przez całą poprzednią noc.

– Ale... Ale nikt nie wie, że spotkaliśmy fałszywego minoshiro.

Jedyny świadek, Rijin, został zabity przez eksplodującego bombopsa.

– Istnieje jednak na to dowód – powiedział Satoru mrozącym krew w żyłach głosem. – Nasz cantus został zapieczętowany, prawda? Nikt nie zrobiłby nam czegoś takiego, jeśli poważnie nie naruszylibyśmy zasad.

– Więc nie zamierzają nam pomóc...?

Jeśli wioski zdecydowały by nas się pozbyć, oznaczało to, że nie mamy już dokąd wracać. Oczy wypełniły mi się łzami.

– Nie, wciąż jest nadzieja. Powinniśmy dać radę przynajmniej dostać się z powrotem do wioski. Nasi rodzice jakoś nam pomogą. Myślę zwłaszcza o twojej mamie; czy ona nie jest główną bibliotekarką?

– T-tak, ale... – Czułam jakby wszystko w mojej głowie wirowało. – Co tak dokładnie w takim razie cię martwi?

Satoru westchnął, widząc, że wciąż nie rozumiem. – Kiroumaru prawdopodobnie wspomniał o nas w swoim raporcie na temat Ziemnych Pająków. Jeśli dorośli dowiedzą się, że nie możesz korzystać ze swojego cantusu, zorientują się, że coś musiało się stać. I jeśli zadecydują, że trzeba od razu się nas pozbyć, powierzą Kiroumaru wykonanie tego zadania.

Wydawało mi się, że to lekka przesada. – Pozbyć się nas... Tak po prostu, nie mając żadnych dowodów naszej winy?

– Kiedy wrócimy, będzie już dla nich za późno – powiedział łamiącym się głosem. – Jeśli opowiemy choć jednej osobie o tym, czego się dowiedzieliśmy, rozniesie się to w mgnieniu oka.

– Ale...

– A jeśli to, co mówił fałszywy minoshiro na temat śmiertelnego sprzężenia zwrotnego jest prawdą, nikt w wiosce nie może nas zabić, samemu nie ponosząc śmierci. To znaczy, że usuwanie kłopotliwych dzieci odbywa się zazwyczaj za Świętą Barierą... Myślę, że wykorzystują w tym celu dziwoszczury.

Zaniemówiłam. Czy to możliwe, że naprawdę robiono coś tak strasznego?

Plecy zlał mi zimny pot. Zaczęłam się zastanawiać, czy rytuał przejścia w dorosłość odbywał się poza barierą z tego samego powodu.

– Kiroumaru prawdopodobnie wysyła swoje raporty, wykorzystując gołębie pocztowe, bo to najszybsza metoda. Jeśli gołąb będzie frunął dość szybko, dotrze do wioski przed zachodem słońca. Komisja przeanalizuje sprawę i odeśle odpowiedź najwcześniej jutrzejszego ranka.

– Więc musimy uciekać stąd już teraz!

– Tak. To oczywiste, że wyślą za nami pościg, ale jeśli zdołamy dotrzeć do miejsca, w którym ukryliśmy kajaki, możemy mieć szansę.

Niedługo później najgorsze stało się faktem.

Co prawda Satoru trochę zregenerował siły podczas snu, ale jego stan wciąż był daleki od ideału; wciąż nie mógł w normalny sposób

używać cantusu. Samo koncentrowanie się na celu przyprawiało go o ból głowy, więc jego moc mogłaby równie dobrze nadal być zapieczętowana.

Nie miałam pojęcia, jak mamy poradzić sobie ze stojącą na zewnątrz parą strażników. Ta sytuacja była zupełnie różna od naszej niewoli u Ziemnych Pająków.

Wyszliśmy z ziemianki z największą swobodą, na jaką było nas stać. Obydwaj wartownicy pokłonili się głęboko, pozwalając nam przejść.

– Pomału. Zachowuj się naturalnie. – syknął Satoru. Jeśli będziemy się tylko tak przechadzać, będzie to wyglądało, jakbyśmy postanowili wyjść na poobiedni spacer.

– Zupełnie, jakbyśmy się tak najedli, by tego potrzebować... – zauważyłam z ironią.

Na obóz składało się jakieś dwadzieścia lub trzydzieści podobnych małych chatek. Wszyscy żołnierze z pewnością się do nich nie zmieścili, więc większość z nich musiała spać pod ziemią. Wzdłuż łączących ziemianki ścieżek ustawiono rzucające jasne światło koksowniki, wokół których, trzepocąc skrzydełkami, latały ogromne ćmy.

Po bitwie z Ziemnymi Pająkami, kręcący się w naszym pobliżu strażnicy wydawali się być znacznie bardziej rozluźnieni. Kiedy ich mijaliśmy, kłaniali się w ciszy, ale nie robili nic więcej.

Skoro tak wyglądała sytuacja, wymknięcie się pod osłoną nocy nie powinno nastęrczyć nam większych problemów. Taki też był nasz plan, jednak nagle za naszymi plecami rozległ się hałas i zamarliśmy w bezruchu.

– Bogowie! Dokąd idziecie?

Squealer. Cofnęliśmy się bezgłośnie.

– Przebudziliście się. Jedliście coś?

– Tak – odparł Satoru, uśmiechając się chłodno. – Było całkiem smaczne.

– Naprawdę? Nasze jedzenie jest zupełnie inne. Wszystko co można tu dostać to ten mdły kleik z miso. Olbrzymie Szerszenie nie przywykły do podejmowania gości. Tak z czystej ciekawości, czym was nakarmiły?

Nie wiedziałam co mam mu odpowiedzieć. Zastanawiałam się, po co właściwie zadaje takie bzdurne pytania. Zaczynało mnie to już denerwować.

– Mniejsza z tym... A ty co tu robisz?

– Cóż, dopiero co skończyłem pracę, ale nie narzekam. W końcu Olbrzymie Szerszenie uratowały nas wszystkich. Generał Kiroumaru został ranny w wybuchu i pisanie raportów sprawia mu trudność. Jeśli o tym mowa, to czy dacie wiarę, że spośród całej tej ogromnej armii tylko on sam potrafi czytać i pisać po japońsku?

– Jakich raportów? – spytał ostro Satoru.

– Och, zwykle sprawozdanie z podboju kolonii Ziemnych Pająków. Zostało już wysłane do Kamisu 66. – Squealer wpatrywał się w nas tępo, gdy obrzuciliśmy go pytaniami.

– Pytaj pierwsza, Saki.

– No dobrze. Co napisaliście w tym sprawozdaniu?

– Opisaliśmy, oczywiście, szczegóły przebiegu całej bitwy, zaczynając od momentu, w którym zostaliśmy zaatakowani trującym gazem a kończąc na chwili przybycia posiłków...

– Wspomnieliście też o nas?

– He – Squealer łypnął na nas podejrzliwie.

– Chodzi o to, że jeśli napisaliście coś dziwnego, nasz nauczyciel straszenie się na nas wścieknie, gdy wrócimy do domu.

– Nie obawiajcie się. W życiu nie napisałbym niczego, co mogłoby uwłaczać dwójce ludzi, którzy zasłużyli na naszą najwyższą wdzięczność.

– Ale co dokładnie o nas napisałeś?

– Och, no cóż. Wspomniałem o tym, jak dwoje bogów zagubiło się i przypadkowo spotkało kolonię Łowików a następnie pomogło

nam bezpiecznie uciec z zasadzki Ziemnych Pająków, coś w tym stylu.

– I nic poza tym? – spytałam, czując przyływ ulgi.

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko...

– Tylko co?

– Wasza dwójka najwyraźniej działała ponad limit swych fizycznych możliwości; pomyślałem więc, że potrzebujecie lepszej opieki i dołączyłem prośbę aby się o was zatroszczono.

– Co masz na myśli? Napisałeś, że nie czujemy się najlepiej?

– Wspomniałem, że podczas walki najwyraźniej tylko bóg płci męskiej korzystał ze swojej mocy. Zauważyłem, że bez wątpienia jest wyczerpany a bogini przypuszczalnie choruje.

Ten wścibski szczur. Z rozpaczy i gniewu wzrok zaszedł mi mgłą. Spojrzałam błagalnie na Satoru.

– Squealerze, mówisz, że dopiero co skończyłeś pracę?

Dlaczego Satoru pyta o coś tak nieistotnego?

– Tak, dosłownie przed chwilą.

– Więc w jaki sposób wysłaliście raport? Jest zbyt ciemno, żeby wypuścić gołębia pocztowego, czyż nie?

– W istocie. Gdy Olbrzymie Szerszenie muszą pilnie się z kimś skomunikować, używają za dnia gołębi pocztowych, w nocy zaś wykorzystują nietoperze.

Spojrzelśmy na siebie nawzajem. Jeżeli wysłali nietoperza, odpowiedź z dystryktu mogła nadejść nawet przed świtem.

– Tak przy okazji, niektóre z kolonii zaczęły ostatnio używać sokołów zamiast gołębi, co łamie postanowienia pierwotnie zawartego paktu. Ponadto, pomimo, że nietoperze są pewniejsze, chodzą słuchy, że kilka kolonii tresuje od niedawna puchacze, które na nie polują... – Squealer wyglądał jakby miał zamiar gadać przez całą noc.

– Hej, Squealerze – powiedziałam tak neutralnym tonem, na jaki tylko mogłam się zdobyć. – Jakby to powiedzieć... Chcielibyśmy trochę się przejść.

– Dokąd idziecie? – Squealer wyglądał na zaskoczonego. – Słońce zaszło trzy godziny temu. Oddalanie się nie jest bezpieczne.

Trzy godziny po zachodzie słońca oznaczały, że jest mniej więcej dziesiąta wieczór.

– Wszystko będzie w porządku. W końcu Zieme Pajaki zostały pokonane, prawda? – Beztroski ton Satoru był znacznie naturalniejszy od mojego.

– Ale jeśli coś się wam stanie, cała odpowiedzialność spadnie na mnie. Zawołam kilku strażników...

– Nie trzeba. Po prostu nasza dwójka potrzebuje... małej zmiany otoczenia, rozumiesz? Niedługo wrócimy. Nie ma konieczności alarmowania kogokolwiek – powiedział Satoru, chwytając moją dłoń i ciągnąc mnie ze sobą.

Kiedy się obejrzelśmy za siebie, Squealer cały czas stał w tym samym miejscu, patrząc jak się oddalamy.

– Czy on nie pomyśli sobie, że to trochę dziwne? – spytałam szeptem.

– Nic nie poradzimy na tą jego podejrzliwość. Tak czy siak, nie mamy innego wyjścia jak ucieczka, prawda?

Kontynuowaliśmy nasz powolny marsz poza obozowisko. Udając, że podziwiamy niebo, spojrzeliśmy do tyłu. Kiedy upewniliśmy się, że nikt nas nie śledzi, ukryliśmy się w rzucanym przez drzewa cieniu. Skuleni przy ziemi, zaszyliśmy się w niewielkim zagajniku rosnącym pośrodku pola.

– Wiesz, którą mamy iść?

W moim plecaku powinny być kompasy, jednak podczas całej tej bieganiny gdzieś go zapodziałam.

– Mniej więcej. – Satoru spojrział na pomarańczowy księżyc wychylający się zza czubków drzew. Mamy prawie pełnię, więc księżyc pojawia się na wschodzie, podróżuje nocą po południowej stronie nieba a rankiem chowa się za horyzontem na zachodzie. Skoro mamy teraz godzinę dziesiątą, to...

Zawiły bełkot Satoru nie był zbyt pocieszający, ale biorąc pod uwagę moją zupełną niewiedzę na temat astronomii i brak zdolności orientacji w terenie, nie pozostało mi nic innego jak zaufać jego ustaleniom.

Wędrowaliśmy przez dzicz, starając się w miarę możliwości kierować na wschód. Od zeszłej nocy wędrowaliśmy tyłoma krętymi ścieżkami, że nie było mowy o tym, by dało się ustalić jaka odległość dzieli nas od jeziora Kasumigaura. Kiedy wróciłam myślami do naszej wędrowki z Rijinem w stronę Świątyni Czystości, przypomniało mi się, że byliśmy niewiarygodnie zmęczeni, a mimo tego jakoś parliśmy naprzód po bardzo krętej trasie. Mimo tego, z jakiegoś powodu byłam przekonana, że jeśli będziemy cały czas wędrować na wschód, damy radę dojść do naszych kajaków przed wschodem słońca.

Po trzech godzinach szybkiego marszu przez leśne bezdroża pomału zbliżałam się do granic swojej wytrzymałości. Bolały mnie nogi i kręciło mi się w głowie. Bardzo chciało mi się jeść, ale, co było znacznie gorsze, czułam praktycznie niemożliwe do zniesienia pragnienie. Ponieważ nie zabraliśmy ze sobą butelek z wodą, nie zostało mi nic innego jak cierpliwie je znosić. W każdym razie, kiedy postanowiliśmy chwilę odpocząć, wybraliśmy miejsce, w którym trawa była pokryta kroplami rosy.

– Zaszliśmy dosyć daleko, nie?

– Tak. Może nawet przebyliśmy już ponad połowę drogi. – zapewnił mnie z przekonaniem Satoru.

Nie wydawało mi się, by takie stwierdzenie miało jakieś podstawy, ale z drugiej strony kwestionowanie jego opinii też nie przyniosłoby żadnego pożytku, więc skwitowałam te słowa milczeniem.

Zastanawiałam się co robią teraz Shun, Maria i Mamoru. Gdy tak rozmyślałam, utkwiałam bezwiednie wzrok w zaroślach za plecami Satoru i aż podskoczyłam.

– Co się stało?

– N-nic... Przez chwilę wydawało mi się, że to bombopies – odparłam, wskazując na zbutwiałą kłodę.

– Faktycznie, wygląda trochę podobnie – uśmiechnął się Satoru.

– Ale ty nie się nie przestraszyłeś.

– Nie, bo trzeba zacząć od tego, że nie ma możliwości, by spotkać tu bombopsa.

– Dlaczego?

– Widziałaś ich prawdziwą formę, prawda, Saki?

Nie chciałam przyznawać, że nie mam pojęcia, o czym teraz mówi. – No cóż, chyba tak...

– Chyba? – zaśmiał się Satoru. Te psy-samobójcy są ostatnim gatunkiem dziko żyjących zwierząt. Wszystkie pozostałe zostały udomowione przez dziwoszczury.

– Więc ich oswojenie w ogóle nie wchodzi w grę?

– Właściwie to nie. Zanim ludzie obudzili w sobie cantus, przez długi czas modyfikowali domowe zwierzęta, jednak dotyczyło to tylko użytecznych dla nich gatunków. Dla przykładu postępowano tak ze zwierzętami z bujną, miękką sierścią, smacznym mięsem bądź produkujących duże ilości mleka. Bardzo nieprawdopodobne jest, by kiedykolwiek oswojono stworzenia, które potrafią eksplodować.

Satoru znowu przeszedł w tryb przemądrzalca. Chciałam się z nim kłócić, ale poziom cukru w mojej krwi był tak niski z głodu, że nawet na to nie miałam siły. Poddałam się.

– No to czym są bombopsy?

– Starożytne księgi biologiczne wspominają o pewnym zwierzęciu zachowującym się dokładnie tak samo jak one. Jak myślisz, co to za gatunek?

– Eee... – Szybko straciłam zainteresowanie tematem. Miałam w nosie, czym było to zwierzę. Mogła to sobie być cętkowana stawowa żaba, rozdymka tygrysia albo cokolwiek innego. Zaczęłam poważnie martwić się o pozostałą trójkę przyjaciół.

– To były mrówki. – odparł triumfalnie Satoru. – Pewien specjalny rodzaj żyjących w Malezji mrówek, które rozrywały się na

kawałki, gdy zbliżał się nieprzyjaciel i wydzielały do powietrza lotne substancje. Ostrzegały w ten sposób resztę mrowiska, że nadchodzi wróg.

Zawroty głowy zaczęły dawać mi się we znaki nawet silniej niż głód. Pomyślałam, że jeśli dłużej będziemy tak siedzieć, nie będę w stanie się podnieść.

– W każdym razie, właśnie czymś takim są bombopsy. Gdyby zwyczajne zwierzęta wysadzały się w powietrze, żeby odstraszyć wroga, ich gatunek wymarłby w mgnieniu oka, bo nie miałyby szansy wydać na świat potomstwa. W przypadku zwierząt socjalnych, takich jak mrówki, sprawy mają się inaczej. Skoro zwykłe robotnice nie mogą się rozmnażać, dla ich społeczności korzystne jest poświęcenie się jednostki w celu ochrony gniazda i królowej. Jeśli o tym pomyśleć, poza zmutowanymi przez Ziemię Pajaki osobnikami nie spotkaliśmy wolnożyjących bombopsów.

Satoru nie wydawał się głodny, zmęczony ani przejęty losem pozostałej trójki. Nie chciałam kłopotać się próbą nakłonienia go, żeby się zamknął. Kiedy powoli zamknęłam oczy, usłyszałam ulotny dźwięk.

– Tak więc – kontynuował – królowa Ziemnych Pająków potrafiła produkować dowolnie dużą liczbę najprzeróżniejszych mutantów, takich jak ci patyczakowaci wojownicy lub podobne do żab stwory. Spośród nich wszystkich bombopsy najbardziej przypominają zupełnie inny gatunek; niewielkie rozmiary łbów oznaczają prawdopodobnie, że ich inteligencja jest dość ograniczona i w przybliżeniu dorównuje psiej. Innymi słowy, żeby mogły celowo eksplodować, będąc przy tym bezwarunkowo posłuszne, nie mogą być zbyt mądre i...

Znowu to usłyszałam. Gdzieś za nami. Odgłos stąpania po suchych gałązkach i trawie. Kto... albo co tam było?

Przyłożyłam palec do ust. Satoru natychmiast zamilkł.

Za mną. Ten sam dźwięk. Wypowiedziałam bezgłośnie kilka słów.

Satoru zawahał się przez chwilę, po czym wstał zdecydowanie. – Kto tu jest? – spytał głośno.

To było dość desperackie posunięcie, ale nie mogliśmy zrobić niczego innego. Nie mieliśmy przy sobie żadnej broni. Gdybyśmy zaczęli uciekać, zostalibyśmy złapani w mgnieniu oka. Musieliśmy udawać, że wciąż możemy korzystać z cantusu.

– Bogowie, jak daleko jeszcze zamierzacie iść? – spytał Squealer, wyłaniając się z cienia.

Nasz plan by zaatakować potencjalnego wroga, gdy ten nie będzie się tego spodziewał legł właśnie w gruzach. Któż mógłby przypuszczać, że będziemy śledzeni przez całą drogę do tego miejsca?

– Ziemne Pajaki rzeczywiście zostały unicestwione, ale podróżowanie tędy w środku nocy wciąż jest niebezpieczne

– Dlaczego? Czemu śledziłeś nas aż tutaj?

Squealer przekrzywił głowę, słysząc moje pytanie. Gdyby był człowiekiem, pewnie wzruszyłby ramionami. – Jeśli coś złego stałoby się bogom, nie wytłumaczyłbym się z tego.

– Przecież odeszliśmy z własnej woli, czy to nie załatwia sprawy?

– Nie, nie załatwia. Nasza kolonia zostałaby skazana na zagładę. Zresztą Olbrzymie Szerszenie też nie przetrwałyby takiego incydentu bez szwanku. Wzorem podobnych sytuacji z przeszłości, generał Kiroumaru byłby zmuszony do popełnienia seppuku.

– Czym jest to seppuku?

– To samobójstwo dokonywane poprzez rozcięcie brzucha mieczem. Jest ostateczną formą przeprosin.

Byłam oszołomiona. W naszych słownikach próżno było szukać tego dziwnego terminu i nigdy nie przyszłoby nam to głów, że ludzie w przeszłości robili tak dziwne rzeczy.

– Rozumiem. Nie byłem świadomy, że możemy ściągnąć na was takie problemy – powiedział pokornie Satoru. – Ale stałoby się tak tylko jeśli nastąpiłoby coś bardzo nieprawdopodobnego, racja? Na przykład gdybyśmy mieli jakiś wypadek lub coś w tym rodzaju.

– Tak, ale żeby nie dopuścić nawet do tak mało możliwej sytuacji, muszę chronić dwoje bogów bez względu na wszystko.

Zachodziłam w głowę, czy ten paskudny, bezwłosy szczur na którego patrzę, mówi prawdę.

– Czy ktoś jeszcze za nami idzie?

– Nie, tylko ja.

– To dziwne. Skoro rzeczywiście chcesz nas ochraniać, to czy nie powinieneś zabrać ze sobą żołnierzy?

– To... To wszystko stało się za szybko. Nie miałem czasu.

Pytanie Satoru rozwiało wątpliwości nas obojga na temat tego, czy Squealer śledzi nas z rozkazu Kiroumaru. Działanie na własną rękę mogło być częścią jego planu, dzięki któremu mógłby przypisać sobie wszystkie zasługi. Jeszcze dwa dni wcześniej, o czym byłam przekonana, nie bylibyśmy tak obsesyjnie podejrzliwi w podobnej sytuacji.

– Tak z innej beczki: nie jesteście spragnieni?

Squealer wyciągnął bukłak, który miał zawieszony przy pasie. Wewnątrz coś zachlupotało jak woda. Spojrzeliśmy po sobie, jednak pokusa była zbyt silna, by z nią walczyć; wzięłam naczynie do ręki i odkorkowałam je. Piliśmy chłodną wodę olbrzymimi łykami. Krążenie krwi od razu powróciło do normy i poczułam się, jakbym wyrwała się śmierci z rąk. Przekazałam bukłak Satoru, żeby on również mógł ugasić pragnienie.

– Ale na przygotowanie tego miałeś czas – zauważyłam. Chciałam wyrazić naszą wdzięczność dla Squealera, lecz zamiast tego z moich ust wydobył się ten uszczypliwy komentarz.

– Zabrałem go żołnierzom chwilę przed tym, jak za wami ruszyłem. Zdobycie jednego z takich bukłaków nie było żadnym problemem. Bez tego mielibyśmy spore kłopoty w razie napotkania innej kolonii.

Nagle uświadomiłam sobie, że gdy brałam naczynie od Squealera, było po brzegi wypełnione wodą. Nie ulegało wątpliwości, że po tak długiej wędrówce i on jest spragniony.

– Dzięki. Ty też się trochę napij.

Wzięłam bukłak od Satoru i podałam go Squealerowi.

– Dziękuję. – Squealer z nabożeństwem uniósł do ust trzymane naczynie i wziął niewielki łyżek.

W tej samej chwili spojrzeliśmy na siebie nawzajem z Satoru i zawarliśmy niewypowiedzianą umowę.

– Squealerze, potrzebna jest nam twoja pomoc – powiedziałam.

– Oczywiście, czego tylko sobie zażyczycie – odparł, błyskawicznie spoglądając w górę. – Powiedzcie mi, co mogę dla was zrobić.

– Chcemy dotrzeć na wschodni brzeg Jeziora Kasumigaura. Wskaż nam najkrótszą drogę.

– Ale dlaczego tak się śpieszycie? Gdybyście poczekali do jutrzejszego poranka, żołnierze Olbrzymich Szerszeni bezpiecznie by was tam zaprowadzili.

– Ponieważ gdybyśmy zwlekali do rana, znaleźlibyśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie – odparł bez ogródek Satoru.

Squealer prawdopodobnie został przekupiony obietnicą odbudowy kolonii Łowików, udzieloną przez Kiroumaru; gdybyśmy mu wszystkiego nie wyjaśnili, z pewnością nie przeszedłby na naszą stronę.

– Co macie na myśli?

– Kiroumaru mógłby nas zabić.

– Coś takiego nigdy by się nie stało! Jako β★ë©Å... dziwoszczurowi, i jako generałowi największej z kolonii nigdy nie przyszłoby mu do głowy by skrzywdzić bogów!

– Nie mogę tego wyjaśnić, ale proszę, zaufaj nam.

Złapałam Squealera za dłonie. Wydawał się zaskoczony, ale się nie wyrwał.

– Gdyby nie było tak jak mówimy, nie pomyślelibyśmy nawet o ucieczce w środku nocy.

Squealer pomyślał przez chwilę, po czym z powagą skinął głową. – Rozumiem. Pokażę wam drogę, jednak ścigający nas

wybiorą najprawdopodobniej tę samą ścieżkę, więc musimy się spieszyć.

Marsz wzdłuż brzegu rzeki płynącej dnem niewielkiej dolinki był znacznie przyjemniejszy niż przedzieranie się przez spadziste, górskie dróżki. Dzięki temu poruszaliśmy się znacznie szybciej, jednak wciąż byliśmy pod ogromną presją.

Idąc przez góry, nigdy nie wiedzieliśmy, czego możemy spodziewać się przed sobą, więc samo posuwanie się do przodu wymagało sporej odwagi. W dolinie z kolei byliśmy bardzo odślonięci, a do tego nie było w niej żadnego miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć. Wędrówka brzegiem rzeki okazała się niespodziewanie przerażająca.

Światło księżyca ledwie docierało na dno doliny. Rzeka była czarna jak atrament. Jedyнным uchwytnym dźwiękiem był szum rozpędzonej wody, wwiercający się w głowę tak bardzo, że po pewnym czasie nie wiedziałam już czy rzeczywiście go słyszę, czy to tylko wytwór mojej wyobraźni. Odgłos przybierał na sile, tak, że ostatecznie przypominał wojenne okrzyki nieskończonej armii dziwoszczurów, albo ryki jakichś innych, groźnych bestii.

Zarówno ja, jak i Satoru cały czas odwracaliśmy się do tyłu, chcąc upewnić się, że nikogo za nami nie ma. Rzeka, która wydawała się prowadzić do samych piekieł, zdecydowanie nie łagodziła dręczących nas obaw.

– Jak nazywa się ta rzeka? – Głos Satoru dobiegał z bardzo daleka.

– Bogowie nie nadali jej nazwy. My nazywamy ją □Ξ☆ξΘ... Po japońsku będzie to znaczyło, pomyślmy... Zapomniana Rzeka.

– Dlaczego tak ją nazwaliście? – spytałam. Mój głos był dziwnie zachrypnięty, zupełnie jakby należał do kogoś innego.

– Nie jestem całkowicie pewien – Słowa Squealera zabrzmiały, jakby wypowiadał je spod ziemi. – Jezioro Kasumigaura zasila wiele większych i bezpieczniejszych rzek, jak na przykład Sakura. Może właśnie dlatego nie pamięta się o tej rzece.

– Miejmy nadzieję, że Kiroumaru również o niej zapomniał – powiedziałam, chcąc rozładować napięcie.

– Nadzieję mieć możemy, ale tak wytrawny dowódca jak on na pewno o niej pamięta. – Odpowiedź Squealera okazała się zadziwiająco przykra. – Zapomniana Rzeka jest pełna mielizn i kamieni, więc zazwyczaj nikt nie podróżuje nią w nocy. Między innymi dlatego wybrałem właśnie tę drogę. Jednakże, mimo tego, że generał Kiroumaru nieczęsto wybiera tą ścieżkę, stoczył w tych okolicach wiele wojen. Odbyła się tu między innymi bitwa z kolonią Wędrownych Mrówek, znana jako Upadek Zielonego Muru.

– Wędrowne Mrówki? Istnieje taka kolonia? – zapytał Satoru.

– Już nie. Pięć lat temu przegrała wojnę z Olbrzymimi Szerszeniami i została kompletnie zniszczona.

Ta opowieść do niczego nie była nam teraz potrzebna; samo słuchanie słów Squealera pomagało nam jednak się skupić.

– Kolonia Wędrownych Mrówek liczyła ponad osiemnaście tysięcy żołnierzy; z powodu tak licznej armii cieszyła się powszechnym respektem. Przeprowadzane przez nie oblężenia zawsze kończyły się sukcesem. Tamtego razu ich przeciwnicy, Olbrzymie Szerszenie, zostały otoczone, a Wędrowne Mrówki rozbiły obóz u bram wrogiej kolonii. W końcowej fazie bitwy, ich generałowi Quikurowi udało się wyeliminować wszystkich przeciwników z wyjątkiem elitarnego oddziału ochroniarzy królowej.

Sądząc po jego zainteresowaniu działaniami wojennymi, Squealer musiał bez wątpienia spędzić dużo czasu na analizowaniu historycznych zapisków. Kontynuował swój wywód ożywionym tonem.

– Wędrowne Mrówki dzielił dystans zaledwie kilku kilometrów od kolonii Olbrzymich Szerszeni. Na tak niewielkiej przestrzeni mogły poruszać się tylko na powierzchni, jednak z powodu tak dużej liczebności armii, pierwsze szeregi znajdowały się już w połowie drogi, podczas gdy ostatni żołnierze dopiero opuszczali obozowisko. Quikur postanowił poczekać u stóp góry aż dołączy do niego reszta

żołnierzy. Zakładał, że mniej liczne oddziały Olbrzymich Szerszeni kryją się pod ziemią i zupełnie odrzucił możliwość, że zostanie zaatakowany z góry, z klifu, który my, miejscowi, nazywamy Zielonym Murem. Generał Kiroumaru poprowadził w ukryciu swych elitarnych wojowników na szczyt wzniesienia i przygotował zasadzkę. Wróg znajdował się dokładnie pod klifem, o którym wszyscy myśleli, że jest zbyt stromy, by dało się nań wspiąć. Kiroumaru ujrzał jednak wspinającego się po nagich skałach gekona i wypowiedział słowa, które stały się później znanym cytatem: „Gekon ma cztery nogi, tak jak i my. Jeśli on może wspiąć się na tę górę, nie ma powodu, dla którego my nie moglibyśmy zrobić tego samego.”

To było tak absurdalne, że byłam pewna, iż Squealer żartuje. Dużo później, gdy przeanalizowałam sprawozdania z wojen dziwoszczurów, przekonałam się, że mówił prawdę i zaniemówiłam z wrażenia.

– Właśnie tym wyczynem wsławił się generał Kiroumaru. Pierwsze imię nadane mu przez bogów brzmiało Kidoumaru i nie było zapisywane znakami 奇道丸, lecz 詭道丸.¹

Squealer pokrótce wyjaśnił nam znaczenie obydwu znaków.

– Rozumiem, Mówiąc krótko, miało to oznaczać, że nikt nie da rady się ukryć, będąc ściganym przez Kiroumaru, tak? – spróbowałam wpleść moje pytanie w dowcip.

– Dokładnie. Jeśli generał Kiroumaru zdecydował się na serio kogoś ścigać, dla jego ofiary oznaczało to pewny koniec.

Zapadła krótka cisza.

Po tym jak ujrzałam Kiroumaru wydającego rozkaz doszczętnego zniszczenia kolonii Ziemnych Pająków, nie miałam wątpliwości, że jego zdolności strategiczne są zatrważające. Gdyby nas dogonił, nie mielibyśmy żadnych szans.

Wszystko zależało teraz od tego, jak późno Kiroumaru zdecyduje się podjąć za nami pościg. Między odesłaniem przez

¹ 詭 – „zwodniczy”, 奇 – „dziwny”, „niecodzienny”, „magiczny”, 道 – „droga”, „metoda”

Komisję Etyki nietoperza z poleceniem pozbycia się nas, a wyruszeniem żołnierzy w pogoń musiał upłynąć pewien okres; zakładałam, że jeśli nam się poszczęści, zdołamy w tym czasie dotrzeć do kajaków. Był jednak jeden poważny problem – istniała możliwość, że Kiroumaru, widząc, że daliśmy nogę, podjął decyzję o pościgu samodzielnie, jeszcze przed otrzymaniem odpowiedzi z dystryktu. Jeśli rzeczywiście tak było, z pewnością już za nami ruszył.

Nieświadomie przyspieszyliśmy marsz. W pewnym momencie nie dało się jednak już iść szybciej; kamienie, którymi usiany był brzeg rzeki były śliskie i zdradliwe. Po trzydziestu minutach tej pospiesznej wędrówki, gdy byliśmy już cali złani potem, Squealer nagle się zatrzymał.

– Co się dzieje?

Squealer podniósł palec do ust i zasyczał. Ten dziwny gest uciszania można spotkać nawet w starożytnej literaturze; jego znaczenie jest niezmiennie – zawsze i wszędzie znaczył to samo. Teraz też od razu pojęliśmy, o co chodzi. Zdziwiło mnie jednak, że ów gest jest tak uniwersalny, że nawet gatunek nie ma znaczenia w jego przypadku.

– Usłyszeliście to? – spytał cicho Squealer.

Wytężyłam słuch.

Uchwyciłam ten dźwięk. Ptasi śpiew. Pomimo, że był środek nocy, brzmiało to, jakby ptak krążył po niebie.

Kyokyokyokyokyokyokyoko...

Odgłos bardziej przywodził na myśl wielkiego insekta, aniżeli ptaka, co nappełniało mnie niepokojem. Idąc za przykładem Squealera, znieruchomieliśmy niczym skały. Dziwny ptak leciał wzdłuż brzegu rzeki, nie przestając zataczać kręgów nad naszymi głowami.

Pierwszy przerwał ciszę Satoru.

– W czym właściwie problem? Przecież to tylko ptak.

– Jest środek nocy, pamiętasz?

– Może to kozodój. One prowadzą nocny tryb życia, podobnie jak sowy.

Czy to naprawdę mogło być takie proste?

– Ale dlaczego z premedytacją obniża lot coraz bardziej i bardziej?

Tak jak się spodziewałam, Satoru nie miał pojęcia o zachowaniu kozodojów. Zatopił się w myślach na kilka chwil.

– Pomimo, że zwie się go kozodojem, nie jest prawdopodobnie żerującym na większych zwierzętach drapieżnikiem, takim jak sowa. Zjada owady, na które poluje przy brzegach rzek.

Milczący dotychczas Squealer odchrząknął. – To rzeczywiście może być dziki kozodój, ale mam silne obawy, że tak nie jest.

– Co masz na myśli?

– Generał Kiroumaru lubuje się w wykorzystywaniu ptaków jako zwiadowców. Słyszałem, że używa kozodojów, ponieważ bardzo dobrze widzą w ciemnościach.

Byłam zdziwiona tym, co powiedział. Gdy o tym pomyślałam, ptak rzeczywiście zdawał się czegoś szukać.

– Naprawdę? Trochę trudno uwierzyć w coś takiego – odparł podejrzliwie Satoru. – W jaki sposób ptak ma zameldować, że coś znalazł?

– Ja też nie znam szczegółów. Pszczoły miodne potrafią jednak przekazywać sobie informacje o tym, gdzie rosną kwiaty. Podejrzewam więc, że po odpowiedniej tresurze również ptaki można nauczyć podobnej rzeczy.

Jeśli teoria Squealera była prawidłowa, Kiroumaru mógł być już bardzo blisko.

W absolutnej ciszy popędziliśmy do przodu.

Kiroumaru prawdopodobnie trzymał się tuż za nami, bezszelestnie nas śledząc. Jeszcze nie zaatakował prawdopodobnie dlatego, że wciąż oczekiwał na odpowiedź od Komisji, albo po prostu nie uświadomił sobie jeszcze, że Satoru nie może korzystać z cantusu.

Równie dobrze mógł też po prostu czekać, aż znajdziemy się w miejscu dogodniejszym do przypuszczenia na nas szturmu.

Im więcej o tym rozmyślałam, tym bardziej czułam się przytłoczona obecnością ukrytego wroga.

Jednakże, podobnie jak nie ma niekończących się nocy, każde trudności muszą mieć swój kres. Kiedy nieprzerwanie maszerowaliśmy na wschód, niebo zaczęło się rozjaśniać.

– Świta...! – Satoru z trudem pohamował krzyk.

– Ujrzymy Jezioro Kasumigaura, gdy tylko przez nią przejdziemy – powiedział Squealer, wskazując na sporą, wijącą się rzekę, płynącą jakieś dwieście metrów przed nami.

Pomyślałam, że może to rzeczywiście był dziki ptak. Kolejny element naszego urojenia, w którym byliśmy ścigani przez Kiroumaru.

Błyskawicznie poczułam ogromną ulgę.

Właśnie wtedy Satoru coś dostrzegł.

– Co... Co to jest? – zapytał.

Wszyscy znieruchomieliśmy z przerażenia.

Na piaszczystym brzegu rzeki, jakby oczekując na nasze przybycie, stały ustawione w rząd postacie.

Rozdział 8

Zatrzymaliśmy się gwałtownie. Poczułam jak naprzemiennie przepływają przez mnie fale strachu i dezorientacji.

Widzieliśmy trzy sylwetki. Patrzyły się wprost na nas.

Złudne nadzieje ogarnęły moje myśli. Statystycznie rzecz biorąc, szansa na to, że zdołamy uciec wynosiła mniej niż jedna na milion. Nadzieja przypomina jednakże płomień – więcej w niej modlitwy niż logicznego rozumowania; jest silniejsza niż strach i popycha nas do działania.

Satoru i ja jednocześnie na siebie spojrzeliśmy i skinęliśmy głowami.

Ruszyliśmy powoli naprzód. Mogliśmy wybrać różne ścieżki; każda z nich dawała większe szanse na ucieczkę niż nie zrobienie niczego. Ta konkretna decyzja była równoznaczna z odsłonięciem naszej słabości, czyli faktu, że nie możemy używać cantusu. Wszystkim co liczyło się w tamtym momencie było jednak sprawdzenie, kim są nasi wrogowie.

Bijąc się z takimi myślami zrobiłam krok, a potem następny i następny. Kiedy spojrzałam na czarne sylwetki, ponownie ogarnęła mnie przemożna chęć ucieczki. Zadrżały mi kolana. *Czyżbym pchała się prosto w paszczę lwa?*

Nie, to niemożliwe... To... Te cienie... Znam je. Z pewnością je znam. Wszystko będzie w porządku – przekonywałam się bezustannie, jednak sylwetki wciąż stały nieruchomo, uniemożliwiając mi ich zidentyfikowanie.

Jeszcze kawałek, kawałeczek i wszystko będzie jasne.

Gdy tylko wypowiedziałam w myślach te słowa, złocisty promień słońca wyłonił się zza górskiego łańcucha, zupełnie mnie oślepiając. Trzy cienie również zostały pochłonięte przez światło. Zamarłam w miejscu, lecz właśnie w tamtym momencie usłyszałam krzyk.

– Saki! Satoru!

Błyskawicznie zorientowałam się, kto nas nawołuje. To był ten sam głos, który tak bardzo pragnęłam usłyszeć. Głos Shuna. Satoru zerwał się biegiem, ruszając mu na spotkanie.

– Shun! Maria! Mamoru!

Biegłam opętańczo naprzód, w stronę światła, odurzona szczęściem.

Cała nasza piątka rzuciła się sobie w objęcia; klepaliśmy się po ramionach, płakaliśmy i śmialiśmy się szaleńczo jak wariaci. Wspomnienia o całym cierpieniu, które nas spotkało wyparowały w jednej chwili a problemy które nas dopiero czekały wydały się odległe o miliony lat. To, że spotkaliśmy się wszyscy – cali, zdrowi i w jednym kawałku było prawdziwym cudem, którym nie mogliśmy się nacieszyć.

Pragnęłam wtedy, by czas się zatrzymał.

Gdyby rzeczywiście tak się stało, nasza pięcioosobowa grupka nie skurczyłaby się tak bardzo...

– No dobrze, wracajmy więc do kajaków! – Shun jako pierwszy zdołał ochłonąć. – Będziemy mieć później mnóstwo czasu na opowiadanie naszych historii.

Po tych słowach przypomniało mi się nagle, że jest cała góra pytań, które chciałabym zadać.

– A co to takiego? – Coś za moimi plecami przestraszyło Marię.

– Och, on nazywa się Squealer – powiedziałam, głaszcząc ją delikatnie po ramieniu. – Doprowadził nas aż tutaj.

– Spotkanie z wami to dla mnie zaszczyt. Jestem Squealer z kolonii Łowików.

Wszyscy troje byli zszokowani jego płynną mową.

– Łowiki straciły wielu żołnierzy podczas wojny z Ziemnymi Pająkami, lecz znacząco przyczyniły się do zwycięstwa nad nimi – wyjaśnił Satoru.

– Ziemne Pajaki zostały pokonane? Naprawdę? – spytał Mamoru z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Tak. Armia Olbrzymich Szerszeni przybyła w samą porę i zmiotła je z powierzchni ziemi, ale porozmawiamy o tym później. Teraz nie ma na to czasu. Musimy dostać się do łodzi najszybciej jak się da.

– A-ale...

Nawet Shun wydawał się mieć problemy ze zrozumieniem naszej obecnej sytuacji.

– Skoro nie ma już Ziemnych Pająków, to chyba nie musimy już uciekać, prawda?

– Musimy. Potem to wyjaśnię – ponagliłam ich.

– Ale przed czym w takim razie uciekamy? – spytała Maria, nie spuszczać z oczu przewodzącego naszej grupie Squealera.

– Przed kolonią Olbrzymich Szerszeni. Przed generałem Kiroumaru – odparł Satoru.

– Że co? A-ale przecież Olbrzymie Szerszenie są lojalne w stosunku do ludzi, no nie? – zapytał się Mamoru z widoczną na twarzy konsternacją.

– I właśnie dlatego stanowią zagrożenie – odpowiedział Satoru, po czym nagle zamilkł.

Squealer szedł na tyle blisko, że na pewno był w stanie wszystko usłyszeć. Musieliśmy ważyć słowa, żeby przypadkiem nie wymuskał nam się dokładny powód, dla którego mieliśmy zostać wyeliminowani.

– Wszystko później wyjaśnię. Po prostu mi zaufajcie.

Shun, Maria i Mamoru wydawali się nastawieni nieco sceptycznie lecz bez słowa skinęli głowami. Darzyliśmy się nawzajem bezwzględny zaufaniem; wtedy po raz pierwszy dostrzegłam, jak bardzo pokrzepiający jest ten fakt.

Szybko minęliśmy zakole rzeki. Zgodnie z tym, co powiedział Squealer, przestrzeń stawała się coraz bardziej otwarta. Już niedługo powinniśmy dojść do miejsca, w którym wąska dolina przechodzi w płaską równinę, a po kolejnym kilometrze drogi ujrzeć błyszczące w słońcu wody jeziora Kasumigaura.

Nasze nastroje znacznie się poprawiły, jednak było jeszcze za wcześnie na świętowanie. Idący przodem Squealer nagle się zatrzymał i przekrzywił głowę, uważnie czegoś nasłuchując.

Z doliny dochodził dziwny ptasi śpiew.

Kyokyokyokyokyokyokyoko...

Kozodój.

Potwierdziły się moje wcześniejsze przypuszczenia. To nie był dziki ptak, lecz szpieg, wysłany przez Kiroumaru by nas śledzić.

– Biegiem! – ryknął Satoru.

Pomimo, że roztrząsanie jego decyzji o ucieczce już po fakcie było bezsensowne, cały czas zastanawiałam się, czy podjął ją słusznie. Od jeziora Kasumigaura wciąż dzielił nas spory dystans, a po dotarciu do brzegów i tak musielibyśmy mieć dodatkowy czas na odnalezienie ukrytych w trzcinie kajaków. Ponadto, przez to, że uciekaliśmy, ścigającym nas dziwoszczurom rzeczywiście mogło zdawać się, iż jesteśmy czemuś winni, co było dla nich dodatkowym pretekstem do pogoni za nami. Poza tym było to właściwie równoznaczne z obwieszczeniem całemu światu, że nie możemy używać cantusu.

Skoro jednak już zaczęliśmy biec, nie było czasu na to by się zatrzymać i przedyskutować słuszność naszego działania. Kierując się w stronę równin gnaliśmy w dół doliny tak długo, że aż zaczęłam myśleć, że zaraz wypluję płuca.

– Poczekajcie... chwilkę. Już... nie mogę... biec.

Czułam zażenowanie tym, że to ja pierwsza musiałam się zatrzymać. Trzeba zacząć od tego, że nigdy nie byłam dobra na długich dystansach; dokładając to tego wszystko, przez co przeszłam podczas poprzednich dni, byłam skrajnie wyczerpana. Pięcioro ludzi i jeden dziwoszczur zatrzymali się, wariacko dysząc.

– Jeszcze kawałek. Zdaje się, że pamiętam to miejsce. Brzeg powinien być tuż za tamtymi drzewami – powiedział Shun, wskazując na niewielki zagajnik, znajdujący się jakieś dwieście lub trzysta metrów przed nami.

– Ruszajmy dalej. Nawet, jeśli nie dajesz rady biec, po prostu idź i się nie zatrzymuj – dodał Satoru, biorąc mój plecak.

Powoli ruszyłam, idąc przodem.

– Czym był ten podobny do ptasiego trelu dźwięk? – spytała Maria.

– To kozodój. Szpicel kolonii Olbrzymich Szerszeni.

Maria wydawała się nie do końca wierzyć moim słowom.

– To prawda. One dobrze widzą w ciemności, więc wykorzystuje się je, gdy trzeba przeprowadzić nocny zwiad.

Wyjaśnienie Squealera najwyraźniej do końca ją przekonało. Pomyślałam, że to trochę paskudnie z jej strony, że bardziej zawierzyła temu szkaradnemu stworowi niż swojej najlepszej przyjaciółce.

– Ale przecież jest już jasno – zauważył Mamoru, spoglądając w niebo.

Wciąż mokre od porannej rosy kwiaty błękitnych komelin zaczęły rozwijać się pod naszymi stopami.

– Podczas dnia wykorzystują inne ptaki, tak? – spytał Squealera Satoru.

Las budził się do życia; dobiegała zeń ptasia pieśń na którą składało się wiele różnych głosów.

– Dokładnie. Słyszałem, że gdy jest jasno, używają kruków ze względu na ich wysoką inteligencję.

Dokładnie w tym momencie ów ptak, jakby chcąc celowo przerwać naszą rozmowę, donośnie zaskrzeczał.

– Gdzie on jest? – Satoru rozglądał się rozpaczliwie wkoło.

– Tam! Na tym drzewie!

Maria miała najostrzejszy wzrok z nas wszystkich. Na rosnącym sto metrów na wprost uschniętym drzewie przysiadł złowrogi, czarny kształt.

– Jesteś absolutnie pewna, że ten kruk rzeczywiście nas obserwuje? – wyszeptał nie do końca przekonany Shun.

Po dokładnym przyjrzeniu się ptakowi, nie wydawało się by jakoś szczególnie poświęcał nam uwagę.

– W każdym razie, po prostu się pospieszmy. Jeśli damy radę znaleźć kajaki zanim pojawi się tu Kiroumaru, powinno być dobrze.

Satoru maszerował żwawo tuż przy mnie. Przedzierając się przez dębowo-kasztanowy zagajnik słyszeliśmy ulotny dźwięk pluszczącej wody. Zmienił się kierunek wiatru, przez co mogliśmy wyczuć płynącą ze wschodu charakterystyczną woń jeziora. Zapominając o ostrożności pognaliśmy przed siebie, aż w końcu stanęliśmy u brzegów jeziora Kasumigaura, zarośniętych olbrzymimi połaciami szumiących delikatnie trzcin.

– Tam! – Shun wskazał miejsce, w którym ukryliśmy łodzie i popędził w jego kierunku.

Ruszyliśmy za nim, lecz w tym samym momencie niebo nad naszymi głowami przeciął duży cień. Spojrzałam w górę i zobaczyłam kruka. Zastanawiałam się, czy to ten sam ptak, którego widzieliśmy poprzednio. Zatoczył leniwie kilka kręgów cztery lub pięć metrów nad nami, po czym wylądował na sosnowej gałęzi, z której zaczął nam się uważnie przyglądać, kracząc zadziornie. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, jak straszni potrafią być ludzie.

Żałowałam, że nie mogę użyć cantusu. Z chęcią cisnęłabym kamieniem w łeb ptaszyska. Brodziliśmy w mule po kolana, torując sobie drogę przez trzciny w poszukiwaniu kajaków, których jednak nigdzie nie było widać. Byłam praktycznie pewna, że znajdujemy się we właściwym miejscu, jednak po trwających ponad pięć minut bezowocnych poszukiwaniach zaczęłam się niecierpliwić. Kruk cały czas siedział na drzewie, śledząc każdy nasz ruch i przeraźliwie skrzecząc.

– Dziwne. To raczej niemożliwe, żeby odpłynęły z prądem...

Nawet Shun zaczął wątpić w swoją pamięć. Pomoc nadeszła jednak z najbardziej nieoczekiwanej strony.

– Znalazłem je! – krzyknął Mamoru. Jego głos nigdy wcześniej nie dodał mi takiej otuchy jak wtedy. Szybko otrzepaliśmy się z błota i pognaliśmy w jego stronę.

Kajaki musiały zerwać się z utrzymujących je linek i podryfować z wiatrem. Gdyby nie kotwice, które utkwiły w mulistym dnie, prawdopodobnie odpłynęłyby jeszcze dalej.

Niezwłocznie odcumowaliśmy łódzie. Podobnie jak poprzednio, Satoru i ja zajęliśmy Sakuramasu 2, Maria wraz z Mamoru wsiedli do Hakurena 4 a Shunowi przypadł Kamuruchi 7.

– No cóż, w takim razie na mnie już pora – rzekł Squealer, stojąc na brzegu i obserwując, jak szykujemy się do odpłynięcia.

– Dziękujemy. Bez ciebie nie dalibyśmy rady dotrzeć tak daleko – podziękowałam mu z głębi serca. Przynajmniej w tej kwestii byłam wtedy szczerą.

– Życzę wam bezpiecznej podróży.

Squealer stał w pełnej szacunku pozie podczas gdy kajaki powoli oddalały się od brzegów

– Ruszajmy – powiedział Satoru.

Odwróciłam się i zanurzyłam wiosło w wodzie. Tym razem nikt z nas nie mógł skorzystać z cantusu; nie mieliśmy więc innego wyboru jak ręczne napędzanie łodzi przez całą drogę.

Zaczęliśmy niezdarnie machać wiosłami. Wiedzieliśmy, że gdy dopłyniemy do głównego nurtu rzeki Tone, będziemy mogli płynąć z prądem; do tego czasu jednak musieliśmy polegać na sile mięśni.

Niestety, popełniliśmy błąd, forsując się nadmiernie na początku podróży. Wszyscy byliśmy już zupełnie wyczerpani gdy do przepłynięcia pozostała jeszcze dosyć duża odległość. Ramiona straszliwie mnie bolały a całe dłonie miałam usiane pęcherzami. Nie minęło jeszcze południe, ale wszyscy byliśmy już spaleni bezlitosnym słonecznym żarem. Woda, którą opryskałam sobie twarz, by się schłodzić, wyparowała w ciągu pięciu minut.

– Hej, zatrzymajmy się na chwilę – zaproponował Shun, patrząc na nas z niepokojem. Pomimo tego, że wiosłował w pojedynkę, i tak przemieszczał się dużo szybciej od reszty naszej grupy.

– Radzę sobie jakoś – odkrzyknął Satoru.

– Mieliśmy dużą przewagę na starcie. Powinniśmy trochę odpocząć, jeśli jest taka możliwość.

Chciałam jak najszybciej popłynąć dalej, ale nie dało się ukryć, że od poprzedniego dnia porządnie nie odpoczęliśmy.. Zdecydowaliśmy się przystać na propozycję Shuna i zrobić sobie małą przerwę.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności słońce zostało przysłonięte przez dryfujący obłok; mogliśmy więc bez przeszkód podziwiać błękit nieba, leżąc na dnie kajaku.

Słuchając usypiającego szumu fal, pogrążyłam się w półśnie. Upłynęło jednak zbyt mało czasu od chwili, gdy ledwo wyrwałam się ze szponów śmierci, bym mogła całkowicie zasnąć. Cały czas rozmyślałam nad tym, co teraz zrobimy. Posiedliśmy zakazaną wiedzę. Jeśli teoria Satoru była prawdziwa, staliśmy się celami do tego, co określaliśmy mianem „wymazania”. *Czy możemy jakoś uniknąć tego losu?*

Poczułam jak coś zsuwa mi się po klatce piersiowej pod koszulką. Odruchowo przytrzymałam tę rzecz prawą dłonią, wyciągnęłam ją na wierzch i przyjrzałam się jej. To był mały woreczek - amulet zawieszony na fioletowym sznurku. Na jego przedniej części wyryto ozdobną czcionką inskrypcję: „ochrona przed karmicznymi demonami”. Zeszłej wiosny, wszyscy uczniowie Akademii Mędrców odwiedzili kapliczkę, gdzie otrzymali takie ochronne talizmany.

Nauczyciel mówił nam, żebyśmy nigdy nie otwierali wisiorków, lecz im bardziej coś jest zabronione, tym większa chęć na zrobienie tej rzeczy – taka jest już ludzka natura. Muszę przyznać, że spośród wszystkich uczniów to ja pierwsza dałam się pokonać ciekawości.

Niecierpliwie czekałam do momentu, gdy będę sama; gdy tylko tak się stało, od razu otworzyłam amulet.

Woreczek nie był zaszyty, a jedynie lekko zawiązany sznurkiem, więc z łatwością mogłam wyjąć jego zawartość. Wewnątrz znajdował się złożony skrawek papieru oraz szklany dysk. Na karteczce czarnym tuszem zapisano dziwaczne litery, bardziej przypominające obrazy niż typowe pismo. Przyprawiło mnie to o gęsią skórkę, więc szybko z powrotem złożyłam papierek. Długo przypatrywałam się szklanej płytce.

Była wykonana z przejrzystego szkła, okrągła, miała średnicę około pięciu centymetrów i przypominała miniaturowy model galaktyki. Wewnątrz mieniły się subtelne złociste pasemka, układające się w skomplikowane wzory; na powierzchni dysku pojawiały się coraz to nowe utkane z nich obrazy. Widziałam malutkie bambusowe łodygi. Gdy przypatrzyłam się z bliska dostrzegłam także mikroskopijne listki i fantazyjny czerwony owoc. Obok niego pojawiły się ołówki, kubeczki, kwiaty i inne spotykane na co dzień rzeczy. Na koniec spod nich wszystkich wyłonił się kształt maski czystości.

Tak zwane maski czystości, noszone przez dzieci podczas dnia pogoni za demonami, były wykonane z wilgotnej gliny, pokrytej warstwą białej kredy. Przypominały ludzką twarz, lecz wszystkie były identyczne i całkowicie pozbawione wyrazu. Ta maska różniła się jednak od pozostałych. Gdy na nią patrzyłam, widziałam w niej swoje własne oblicze.

Leżąc na dnie kajaku z zamkniętymi oczyma, wyczułam szklany dysk przez materiałową powłokę talizmanu.

Odwróciłam się po cichu, zerkając na Satoru. Wydawał się kompletnie zrelaksowany; użył plecaka jako poduszki i kołysał się w rytmie unoszonej falami łodzi. Sądząc po jego spokojnym, równym oddechu, najprawdopodobniej drzemał.

Interesowanie się rzeczami, od których powinno trzymać się z daleka jest złym nawykiem, jednak czasami wpływa to na mnie uspokajająco. Otworzyłam amulet i wyjęłam ze środka szklaną płytkę.

Odbijające się od niej światło mogło przyciągnąć uwagę pozostałych, więc szybko ukryłam dysk w skulonych dłoniach, po czym uważnie mu się przyjrzałam.

Nie bardzo wiem, jak mogłabym opisać to dziwne, niepokojące uczucie, jakiego wtedy doznałam.

Mam na myśli, że na pierwszy rzut oka dysk wydał mi się w jakiś nieokreślony sposób inny niż poprzednio. Patrzyłam na niego na tyle często, by kompozycja złocistych wzorów wyryła się w mojej pamięci. Tak bardzo pragnęłam jednak ukojenia, które przyniosło mi spoglądanie na płytkę, że mimo wszystko wręcz pożerałam ją wzrokiem. *Nie. Coś jest nie tak. Inaczej, niż zwykle.* To nie moja wyobraźnia sprawiała, że idealne uprzednio kompozycje bambusowych łądyżek stały się teraz zdeformowane. Powodował to raczej fakt, że zatopione w głębi szkiełka geometryczne desenie stały się wykrzywione.

Gdy skupiłam wzrok na masce czystości, przez ciało przebiegł mi dreszcz. Maskę się rozpląwała... To była bardzo nieznaczna zmiana, a obraz nadal przypominał moją twarz; miałam jednak nieodparte wrażenie że maska czystości powoli przekształca się w oblicze karmicznego demona.

Instynktownie odrzuciłam dysk jak najdalej od siebie, prosto w wodę jeziora. Satoru uniósł głowę, słysząc pluśnięcie.

– Co się stało?

– Nic takiego – odparłam, wymuszając uśmiech. – Nie powinniśmy już ruszać dalej?

– Racja.

Satoru głośno krzyknął w stronę pozostałych łódek i po chwili ponownie ruszyliśmy w drogę.

Co stało się z tą twarzą? – pytałam się w myślach. Strasznie ciążyło mi wspomnienie tego, co widziałam. *Dlaczego ona się topiła?*

A może to nie działo się naprawdę...? Przepelniały mnie wątpliwości. Czyżby to była tylko moja wyobraźnia? Iluzja wywołana przemęczeniem umysłu?

Nagle bardzo pożałowałam tego, że wyrzuciłam dysk do wody. Byłam pewna, że gdybym tylko mogła jeszcze raz rzucić na niego okiem, wszystko wróciłoby do normy.

Nie, nie wróciłoby. Na pewno nie wyobraziłam sobie przeszywającego dreszczu, jaki poczułam gdy zobaczyłam maskę. Twarz wewnątrz szklanej płytki *naprawdę* się rozpadała.

Ale dlaczego ta twarz, moja twarz, się rozpływała? Nie, chwila... To nie była moja twarz. Podobieństwo musiało być przypadkowe, w końcu talizmany były rozdawane losowo.

Czy aby na pewno...? Przestałam wiosłować, pogrążona w myślach.

Pomimo, że w istocie stworzono pozory losowości, czy to możliwe, że od początku było ściśle określone, któremu dziecku przypadnie konkretny wisiorek? Jeśli tak nie było, to dlaczego w takim razie ustawiono nas w rzędzie zgodnie z miejscami na liście, zamiast po prostu puścić w obieg pudełko z amuletami, pozwalając na wybranie dowolnego z nich...?

– Hej, Saki, zacznij wiosłować jak należy – narzekał Satoru.

Podążając tym tropem, zawartość każdego talizmanu była inna. To, że maska czystości wewnątrz mojego wisiorka przypominała moją twarz nie było zwykłym zbiegiem okoliczności. Czyżby maski czystości wewnątrz szklanych dysków zawsze wyglądały podobnie do twarzy właściciela wisiorka?

– Sakiiii!

– Dobra, dobra. Słyszę.

Zanurzyłam wiosło w wodzie i ponownie oddałam się rozmyślaniom.

Nawet jeśli tak jest, to po co to wszystko? Każda maska jest wizerunkiem ucznia. Czy za tym stoi jakieś ukryte znaczenie?

Nieważne, jak usilnie o tym myślałam, nie potrafiłam znaleźć logicznego uzasadnienia. Doszłam jedynie do wniosku, że skoro włożono w całą tę szopkę tyle wysiłku, amulet nie mógł być po prostu zwyczajnym talizmanem; musiał służyć jeszcze w jakimś innym celu.

Od chwili spotkania fałszywego minoshiro moje postrzeżenie dorosłych diametralnie się zmieniło. Podejrzewałam, że wszystkie rzeczy, które każą nam robić są jedynie kolejnymi metodami inwigilacji dzieci.

Nawet same amulety mogą być narzędziami, dzięki którym nas kontrolują. Całe to stwierdzenie, że chronią przed karmicznymi demonami może być zwykłą przykrywką.

Zanurzyłam jeziorze chusteczkę i otarłam nią czoło. Chłodna woda spłynęła mi po skroniach i wyparowała zanim zdążyła dotrzeć do policzków, jednak nawet tego nie zauważyłam, głęboko pogrążona w zadumie.

Na nieszczęście, nie zdążyliśmy spytać fałszywego minoshiro o to, czym naprawdę są karmiczne demony. Wydawało się jednak, że podobnie jak Bestie, stanowią one istotne, prawdziwe zagrożenie.

Wydawało mi się, że w końcu zaczynam rozumieć. To było instynktowne uczucie, którego nie potrafiłam jeszcze ubrać w słowa.

Chyba wiem. Czyżby talizman był tak naprawdę wykrywaczem karmicznych demonów? Ostrzegającym nas, gdy w pobliżu znajduje się niebezpieczeństwo? Gdy demon jest blisko? Albo, może...?

– Saki!

Łańcuch moich myśli został przerwany krzykiem Satoru. Przez moment pomyślałam, że jest na mnie zły, za to, jak słabo wiosłuję, jednak błyskawicznie uświadomiłam sobie, że chodzi o coś zupełnie innego.

Nad głową przeleciał mi niewielki cień. Gdy spojrzałam w górę, w ułamku sekundy zorientowałam się, że to ten sam kruk, którego spotkaliśmy wcześniej. Głośno zaskrzeczał, zatoczył nad nami koło, po czym odleciał w kierunku, z którego przybył.

Gdy się obróciłam, na horyzoncie ujrzałam całą flotyllę łodzi, płynących pod pełnymi żaglami w naszą stronę. W samym środku formacji znajdował się olbrzymi okręt wojenny; był co najmniej trzy razy dłuższy od naszych kajaków. Pokład po brzegi był wypełniony dziwoszczurzymi żołnierzami.

– Saki... – westchnął Satoru z rezygnacją. – Złapali nas. Spójrz, tam jest Kiroumaru.

Chwyciliśmy się za ręce i czekaliśmy na podpłynięcie statku dziwoszczurów. Dłoń Satoru lepiła się od potu; prawdopodobnie tak samo było z moją własną ręką.

W milczeniu przypatrywaliśmy się widokowi jeziora Kasumigaura. Kajaki pruły przez wodę znacznie szybciej niż wtedy, gdy wiosłowaliśmy by wprowadzić je w ruch.

Wszystkie trzy łodzie zostały przywiązane linami do okrętu flagowego dziwoszczurów. Mknący przez jezioro statek był napędzany przez kilka dziwnych, trójkątnych żagli.

– Nie miałem pojęcia, że ich okręty są tak zaawansowane – powiedział Satoru.

– Czy to możliwe, że w tej dziedzinie ich osiągnięcia przewyższają ludzkie?

– No cóż, my posiadamy cantus. Nie potrzebujemy żagli do sterowania statkami, prawda?

Istnieje pewien limit prędkości, niezależnie od tego jak wielkich żagli się użyje. Wykorzystując cantus, omija się to ograniczenie.

– No tak... – Satoru skrzyżował ramiona i wlepił wzrok w zasnutą mgłą góry.

– A kogo obchodzi dziwoszczury? Wracając do tego, o czym rozmawialiśmy wcześniej...

– Ach, tak. – Satoru wyciągnął swój amulet zza kołnierza.

– Sprawdź to.

Otworzył wisiołek bez wahania.

– Zaglądałeś już wcześniej do środka?

– Czy to nie oczywiste? Chyba nie ma osoby, która by tego nie zrobiła – powiedział, unosząc dysk na wysokość oczu.

– No i...?

Twarz Satoru pobladła.

– Daj mi spojrzeć.

– Nie – odparł, ściskając szklaną płytkę tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie.

– Jest inna niż zazwyczaj?

– Tak.

Satoru nie rozwinął swojej odpowiedzi, lecz to, co usłyszałam wystarczyło bym poczuła się trochę lepiej. Przynajmniej nie tylko mój talizman się zmienił.

– Czy to możliwe, że stopiły się z powodu gorąca? – spytałam bez przekonania.

– To niemożliwe, niezależnie od tego jak jest upalnie ani jak słaby jest materiał. Poza tym przez cały czas były wewnątrz woreczków, które chroniły je przed słońcem.

– No więc jak to się stało?

– Nie mam pojęcia – nachmurzył się. – Cokolwiek to oznacza, z pewnością nie jest to nic dobrego... – Satoru zamilkł, wpatrując się w przeciwległy brzeg.

– Myślę, że najlepsze, co można zrobić, to go wyrzucić – powiedział.

– He?

Bez chwili namysłu zdjął talizman i cisnął go w wodę jeziora. Ciężar szklanego dysku spowodował, że bawełniana torebka powoli zaczęła tonąć.

– Czekaj, co ty wyprawiasz?

– W porządku, zrób to samo ze swoim, Saki.

– Dlaczego?

– Jeśli po naszym powrocie odkryją, co stało się z amuletami, może wydarzyć się coś złego. Rozpływanie się masek czystości to definitywnie zły znak. Musimy sprawdzić dyski Shuna i pozostałych.

Jeśli okażą się zmienione, musimy nakłonić ich, by również pozbyli się amuletów.

– Ale w ten sposób nic nas nie ostrzeże, jeśli znajdziemy się w pobliżu karmicznego demona.

– Więc jeśli tak się stanie, po prostu będziemy musieli stawić mu czoła. Nie wiemy nawet czym dokładnie są karmiczne demony – odparł Satoru, cały czas krzyżując ręce.

– Ale jak to wytłumaczymy? Gdyby jedno z nas zgubiło amulet, nie byłoby to niczym dziwnym, lecz gdy wszyscy wrócimy bez nich, z pewnością zaczną coś podejrzewać.

– No tak. Masz rację... Chociaż nie, właściwie to coś wymyśliłem! Możemy powiedzieć, że zabrały je nam Ziemne Pająki, kiedy nas uwięziły. Shun i reszta będą musieli oczywiście powiedzieć, że również trafili w ich niewolę.

Dokładnie tego można było się spodziewać po takim kombinatorze jak Satoru. Zastosowałam się do jego rady, wyrzucając za burtę resztę mojego talizmanu. Analizując chłodno całą sytuację, rzeczywiście nie dałoby się wytłumaczyć dlaczego odebrano mi tylko szklany dysk, a nie cały wisiorek. Bez obciążenia zawartością, woreczek dryfował po powierzchni wody aż w końcu znikł mi z pola widzenia.

Kiedy na dobre straciłam go z oczu, okręt dziwoszczurów zbliżał się już do celu, ciągnąc za sobą nasze kajaki.

Żołnierz Olbrzymich Szerszeni zszedł z pokładu i porozwijał liny. Były one co prawda zaledwie przerzucone luźno przez uchwyty znajdujące się z tyłu naszych łodzi, jednak nie dalibyśmy rady odpiąć ich z naszej strony.

Na mostku okrętu wojennego pojawił się niezwykle rośl dziwoszczur. Przybył Kiroumaru. Pomimo tego, że zraniony we wczorajszej eksplozji bark miał owinięty bandażami, nadal poruszał się z werwą, jakby w ogóle nie odczuwał bólu spowodowanego odniesionymi urazami.

– Jak się czujecie?

– Podróż była dzięki tobie dość przyjemna – odparłam.

Wilczy uśmiech Kiroumaru rozszerzył się, sięgając mu prawie po same uszy.

– Spójrzcie tam, na to miejsce, gdzie promienie słońca tańczą, odbijając się w wodzie. To właśnie północna granica rzeki Tone... Przepraszam was, ale nie możemy popłynąć z wami dalej.

– Nie martw się o to. Dalej już poradzimy sobie sami.

Dzięki temu, że ogromny okręt dziwoszczurów wziął nas na hol, daliśmy radę przepłynąć olbrzymie jezioro w niespełna trzy godziny. Nie zdołalibyśmy tego dokonać przed zachodem słońca, gdybyśmy musieli samodzielnie wiosłować. Zastanawiałam się jednak, dlaczego nie mogą popłynąć dalej. Satoru też najwyraźniej nie do końca to rozumiał, ale nie odzywał się.

– Bogowie, bogowie. – Squealer wychylił się zza pleców Kiroumaru. Tutaj ostatecznie się rozstajemy. Będę się modlił, by wasza podróż przebiegła bez niebezpieczeństw.

Nie byłam pewna, co o tym sądzić. Oczywiście, sprawiał wrażenie jakby naprawdę się o nas martwił, lecz przypuszczałam, że cały czas, poczynawszy od przeprowadzenia nas przez las a na zdradzeniu naszej pozycji skończywszy, wykonywał rozkazy Kiroumaru.

– Tobie też życzymy wszystkiego dobrego. Uważaj na siebie. Byłoby bardzo dobrze, gdybyś zdołał odbudować swoją kolonię. – Spróbowałam zdławić swoje podejrzenia i odpowiedzieć mu szczerze.

Kiedy szykowaliśmy się już do wypłynięcia usłyszałam za sobą głos Kiroumaru.

– Mam prośbę.

– Jaką? – spytał Satoru.

– Kiedy wrócicie, nie mówcie, proszę, że holowałam wasze kajaki.

– Dlaczego? – Byłam szczerze ciekawa powodu.

– Nie mogę powiedzieć, ale gdyby to się wydało, zostałbym skazany na śmierć – odparł Kiroumaru. W jego oczach zauważyłam

błysk powagi, którego nie zaobserwowałam nawet wtedy, gdy dowodził bitwą.

– Rozumiemy. Zachowamy to w tajemnicy – odpowiedział cicho Satoru.

Nie byłam do końca pewna co sprawiło, że z taką łatwością wiosłowaliśmy w dół rzeki – czy to dlatego, że wypoczęliśmy i zregenerowaliśmy siły, czy też może dzięki wartkiemu nurtowi Tone. Kiedy spojrzeliśmy do tyłu, okręt wojenny był już jedynie punkcikiem na horyzoncie.

– Kiroumaru ryzykował życiem, żeby nam pomóc – powiedziałam bardziej do siebie samej niż do Satoru.

– Masz rację. Jestem przekonany, że otrzymał od Komisji rozkaz by nas zatrzymać. – W jego głosie dało się wyczuć dumę, wynikającą zapewne z tego, że jego teoria okazała się prawdziwa. – Z pewnością właśnie dlatego musiał zawrócić w tamtym miejscu. Okrętowe żagle byłyby widoczne z bardzo daleka, więc jeśli ktoś z wioski obserwowałby rzekę, dorośli szybko dowiedzieliby się, że Kiroumaru zignorował ich polecenie i udzielił nam pomocy.

– Ale dlaczego...?

– Czy to w ogóle podlega wątpliwości? – Satoru uśmiechnął się, jakby chciał sobie ze mnie zadrwić za to, że nie dostrzegam czegoś oczywistego. – Ponieważ ocaliliśmy go wczoraj przed bombopsami. Gdybym się ich nie pozbył, Kiroumaru byłby teraz tak samo martwy jak Rijin.

– Hej! – dobiegł z przodu głos Shuna.

– Hej! Już odpływamy! – odkrzyknął Satoru.

Gdy usłyszałam jego głos, w moim wnętrzu pękła jakaś tama. To było zupełnie, jakby poprzednie trzy dni były tylko długim snem, w którym po prostu w ramach obozowej wyprawy siedzieliśmy w kajakach i wiosłowaliśmy, płynąc po rzece.

– Hej, Saki! Co się dzieje? Ej... – Satoru wydawał się zdezorientowany, bo nie przestawałam płakać, wybuchając od czasu do czasu niekontrolowanym śmiechem. Szlochałam tak przez dobre

dziesięć minut. Szybko zbliżyliśmy się do pozostałych kajaków i moje zachowanie udzieliło się także Marii, przechodząc w histeryczny lament.

Choć chłopcy wydawali się już tym znużeni, w końcu wyplakałam się z głębi serca i poczułam ogromną ulgę. Dotarliśmy do północnych granic Tone i zaczęliśmy spływać w dół rzeki. Teraz czekała nas już tylko bezstresowa podróż powrotna do wiosek... cóż, przynajmniej chciałam, żeby tak było. W rzeczywistości jednak pojawiały się coraz to nowe przeszkody. Po pierwsze, nie mieliśmy doświadczenia w sterowaniu kajakami bez cantusu. Poza tym nasze zmęczenie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, dawno już osiągnęło szczyt. Fakt, że słońce zaczęło zachodzić i robiło się coraz ciemniej również nie ułatwiał podróży. Kroplą, która przelała czarę goryczy było to że, nasze kajaki zaczęły przeciekać z powodu licznych uszkodzeń, powstałych w wyniku częstego uderzania o skały i pozostałe łodzie. To, że wszyscy przeżyliśmy można uznać za cud.

Kiedy opadła ciemna kurtyna nocy, rzeka ponownie zaczęła zmieniać wygląd. Światło gwiazd odbijało się i drżało na obsydianowoczarnej powierzchni wody, dając złudzenie, że pozostajemy w bezruchu. Ryk wody sprawiał jednak, że łagodny nurt rzeki wydawał się bardziej rwący niż był w rzeczywistości.

Poczułam instynktowny dyskomfort. To było dziwne wrażenie cofania się pamięcią do chwil długo przed moimi narodzinami; starożytne, wrodzone wspomnienie, będące dziedzictwem naszych jaskiniowych przodków.

Chcąc dokładniej opisać, czym było to uczucie, posunęłabym się do stwierdzenia, że dopadło mnie po prostu przemożne pragnienie jak najszybszego powrotu do domu. Satoru i ja bardzo obawialiśmy się tego, co może czekać na nas po powrocie. Biorąc pod uwagę naszą ówczesną kondycję fizyczną, kontynuowanie podróży po rzece tamtej nocy byłoby samobójstwem. Nie mieliśmy więc innego wyjścia jak rozbicie obozu, jednak przez długi czas nie mogliśmy wypatrzeć

odpowiedniego miejsca. Przypomniałam sobie wysuszone stare koryto rzeki, które mijaliśmy tuż przed zmierzchem i poczułam lekkie ukłucie irytacji. Wszyscy chcieli dotrzeć tak daleko, jak tylko się da, więc kontynuowaliśmy wiosłowanie bez żadnych przerw, mimo, iż każdy z nas wiedział, że i tak nie damy rady dotrzeć do wioski. Powinniśmy byli zatrzymać się w tamtym miejscu.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy obszar nadający się do rozbicia namiotów, byliśmy zupełnie wyczerpani. Znajdowaliśmy się tak blisko brzegów, że gdyby rzeka choć trochę wezbrała, potopilibyśmy się. Do tego kamieniste podłoże było zbyt nierówne, by móc komfortowo się wypaść. Nie trzeba więc dodawać, że nie była to najlepsza lokalizacja na obozowisko.

Ostatkami sił wznieśliśmy ręcznie trzy namioty. Wykopaliśmy dziury na tworzące szkielet schronień tyczki, przykryliśmy konstrukcje płachtami płótna i przywiązaliśmy je skórzanymi rzemykami. Nie wiedzieć czemu, nie udało nam się sprawić by namioty wyglądały tak dobrze, jak podczas naszej pierwszej nocy na obozie.

– Dziwne. Czemu tak nam nie idzie? – burknął zmęczony Satoru.

– Wtedy skorzystaliśmy z cantusu – odparł Shun, nadal męcząc się z poprawnym ustawieniem namiotu.

Jeśli o tym pomyśleć, nie sposób nie przyznać mu racji. To było zaledwie trzy dni temu, ale wydawało mi się, że minęła cała wieczność.

– Satoru, wciąż nie możesz używać mocy? – spytałam, chwytając się ostatniego promyka nadziei.

– Uch – pokiwał głową. – Jestem zbyt wyczerpany, by się skoncentrować, ale może dam jakoś radę z czymś tak prostym.

– Co? O czym wy mówicie? – wtrąciła się kompletnie zdezorientowana Maria.

Opowiedziałam im o tym, jak przypominałam sobie mantrę Satoru i zdołałam go zahipnotyzować by przywrócić mu cantus.

– Rozumiem! Więc wystarczy, że będziemy znać nasze mantry, a uda nam się odzyskać moc – podekscytował się Shun. – Daliśmy się złapać na bajeczkę mnicha. Jego hipnoza nie była niczym wielkim. Nawet Saki dała radę odwrócić jej skutki.

Pomyślałam, że ostatnie zdanie było trochę zbędne.

– Ale czy wy w ogóle znacie swoje mantry? To, że zapamiętałam mantrę Satoru, było zwykłym przypadkiem. – oznajmiłam, rozglądając się po przyjaciółach.

Mimo totalnego mroku byłam w stanie określić, jaki wyraz zagościł na ich twarzach.

– Ja pamiętam swoją – powiedział Shun.

– Że co? Ale jak...?

– Wykorzystywałem różne metody zapamiętywania, żeby wyryć ją w pamięci. Mój cantus nie chce jednak powrócić, niezależnie od tego ile razy powtarzam sobie mantrę w myślach. Myślę, że hipnoza jest niezbędna by go odpieczętować.

Nasze mantry zostały skradzione; celem sugestii hipnotycznej było sprawienie, byśmy je zapomnieli, więc fakt, że Shun zdołał sam przypomnieć sobie swoją był więcej niż zdumiewający. Wyjaśnił nam, że skorzystał z wielu mnemotechnik, dzięki którym był w stanie odtworzyć treść swojej mantry zawsze, gdy ją zapomni.

– Ja w każdym razie nie pamiętam swojej – oznajmiła Maria z przygnębieniem.

– Zapisaliście ją gdzieś?

Maria, Mamoru i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Ja tak. – Przypomniałam sobie, że wyryłam jej treść na breloczku, który schowałam pod podłogowymi deskami.

– Ja też.

– I ja... Zapisałam ją w pamiętniku.

Każda sylaba naszych mantr była największą świętością, więc nie wolno nam było pozwolić komukolwiek poznać ich treści. Ściślej mówiąc, nie powinniśmy byli nawet ich zapisywać, jednak na szczęście cała nasza trójka uznała, że jest to zbyt ważna rzecz, by

powierzyć ją jedynie naszej pamięci i że należy ją utrwalić w jakiejś formie. Fakt, że pokazaliśmy sobie nawzajem z Satoru nasze mantry był tak niebywały, że w innych grupach podobna rzecz byłaby nie do pomyślenia. Patrząc na to z perspektywy czasu, był to kolejny z dowodów na to, że naszą grupę tworzyli specjalnie wyselekcjonowani uczniowie.

– A więc wszystko będzie dobrze. Kiedy dotrzemy do wioski, Satoru i ja zademonstrujemy im, że możemy używać cantusu. W ten sposób sprawimy, że nie będą podejrzewać, że nasze moce zostały zapieczętowane. Reszta z was może powiedzieć, że jesteście zbyt zmęczeni i chcecie wracać do domów. Następnie, gdy odnajdziecie swoje mantry, pójdziecie do Saki, która przywróci wasz cantus.

Słowa Shuna błyskawicznie rozwiały wszystkie moje zmartwienia. Pomimo tego, że nie cieszyłam się z powodu śmierci Rijina z rąk dziwoszczurów, nie dało się zaprzeczyć, że umarli nie zdradzają tajemnic.

Znacznie podniosło to nas wszystkich na duchu. Z pomocą Satoru, który ułożył płótna dzięki lewitacji, byliśmy w stanie rozbić wszystkie trzy namioty. Zebraliśmy suche gałęzie, rozpaliliśmy ognisko i ugotowaliśmy ryżowy kleik. Posiłek był pozbawiony smaku jeszcze bardziej niż kolacja, którą przygotowaliśmy pierwszego wieczoru, lecz smakował jak najwykwintniejsze danie świata.

Kiedy wszyscy się najedliśmy, usiedliśmy przy ogniu i po kolei opowiadaliśmy pozostałym co działo się z nami po tym, jak się rozdzieliliśmy. Opowieści Shuna, Marii i Mamoru nie były ani trochę ekscytujące. Po tym jak Satoru i ja zostaliśmy schwytani przez Ziemne Pajaki, zaczęli za nami podążać, czekając aż nadarzy się okazja do uratowania nas, ale szybko uświadomili sobie, że strażników jest zbyt wielu. Zdecydowali więc, że zawrócą i udadzą się po pomoc do wioski. Próbowali podróżować za dnia, lecz byli tak przerażeni odgłosami wojny, że większość czasu spędzili ukryci w zaroślach. Kiedy nocą zapadła cisza, szybko przedarli się przez las do Jeziora Kasumigaura. Kiedy się z nimi spotkaliśmy, wręcz nie

posiadali się z radości. Maria stwierdziła, że pomyślała wtedy, że to tanuki¹ sobie z nich zadrwił.

Dla odmiany, nasza historia przez cały czas trzymała ich w napięciu. Bez ustanku zarzucali nas pytaniami o to, co działo się, kiedy siedzieliśmy w klatce Ziemnych Pająków, a zwłaszcza ciekawił ich sposób, w jaki pozbyliśmy się strażnika. Kiedy jednak zaczęliśmy opowiadać o ataku na kolonię Łowików i naszej wędrówce przez podziemne tunele, całkowicie zamilkli. Rozpromienili się, kiedy doszliśmy do momentu, w którym w ostatniej chwili zdołałam przywrócić moc Satoru, dzięki czemu mogliśmy przypuścić potężny kontratak. Dalsza część naszych perypetii sprawiła, że ponownie zaniemówili; najwyraźniej to, w jaki sposób rozwinęła się sytuacja wykraczało poza ich najśmielsze oczekiwania.

Ponieważ to Satoru mówił, mi przypadło korygowanie jego historii i dodawanie fragmentów, które pominął. Satoru szczyił się swoimi zdolnościami gawędziarskimi, lecz często fantazja ponosiła go tak mocno, że myślałam, że będę zmuszona poprawić ponad połowę jego opowieści. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się martwiłam. Cała trójka naszych przyjaciół siedziała z otwartymi na wpół ustami i błyszczącymi z zachwytu oczami, słuchając historii niczym grupka małych dzieci.

Kiedy Satoru skończył mówić, zapadła grobowa cisza, przerywana jedynie odgłosem trzeszczących płomieni. W końcu ktoś jednak otworzył usta, zapoczątkowując całą lawinę pytań. Wszystkich ciekawiło między innymi dlaczego tak bardzo chcieliśmy uciec od Kiroumaru po tym, jak nas obronił.

Satoru ponownie wyjaśnił, jak mają się sprawy. Spodziewałam się ich burzliwej reakcji na wieść, że najprawdopodobniej zostaliśmy przeznaczeni do eliminacji przez Komisję Etyki, ale przyjęli tę informację ze względnym spokojem. Zdecydowanie przyczynił się do tego fakt, iż Shun najwyraźniej zgadzał się ze mną, że Satoru trochę

¹ Tanuki – japońskie zwierzęta należące do psowatych; według ludowych przypowieści są przebiegłymi stworzeniami, potrafiącymi zmieniać postać.

przesadza. Poza tym, kiedy wszystkie zagrożenia zostały zażegnane, wszyscy byliśmy w dobrych nastrojach. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem Shuna, zdołalibyśmy całkowicie zataić to, że Rijin zapieczętował nasz cantus. W takim przypadku, najgorszym co musielibyśmy znieść byłaby bura od nauczyciela.

– Liczę na ciebie, Saki – powiedział Shun, podając mi strzępek papieru. – Proszę, przywróć mi cantus.

Wzięłam głęboki wdech i skinęłam głową.

Rozwinęłam karteczkę i w świetle ogniska przeczytałam jej treść. Ta mantra była dosyć długa, składała się łącznie z ośmiu słów, złożonych z trzydziestu sześciu znaków. Miałam zamiar spalić paperek zaraz po tym, jak przeczytam mantrę, jednak nie byłam pewna, czy zdołam zapamiętać tak długi tekst. Zgniotłam kartkę w dłoni.

No dobrze. Zrobię to. Dam radę. Muszę tylko powtórzyć to, co zrobiłam z Satoru. Próbowałam uspokoić się w myślach, lecz tak naprawdę obie sytuacje różniły się znacząco w trzech kwestiach. Po pierwsze, Shun był w pełni przytomny. Poza tym miał pozostać całkowicie świadomy, kiedy będę go hipnotyzować i sam znał już treść swojej mantry. Wtedy jednak nie pomyślałam o żadnej z tych rzeczy.

– Spójrz na płomienie.

Wróciłam pamięcią to ceremonii przejścia w dorosłość i skierowałam uwagę Shuna na ognisko. Naczelny Mnich Mushin nakazał mi wyobrazić sobie, że poruszam płomieniami; w przypadku osoby, której cantus został zapieczętowany prawdopodobnie nie przyniosłoby to jednak efektu.

– Spójrz na drżące płomienie. W prawo. W lewo. Chwiej się... Drgają – wyszeptałam.

Shun cały czas milczał. Pozostała trójka obserwowała mnie z zapartym tchem.

Rozproszyłam ogień przy pomocy długiej gałęzi, rozpryskując wkoło jasne iskierki. Nie spodziewałam się, że uda mi się uzyskać taki

sam efekt, jaki wywierały płomienie nad ołtarzem, lecz ślady pozostawione w powietrzu przez iskry sprawiły, że zapanował senny nastrój.

– Shunie Aonuma.

Nie poruszył się nawet na cal. Nie potrafiłam stwierdzić czy został zahipnotyzowany czy nie.

– Shunie Aonuma. Złamałeś zasady, przychodząc do miejsca dla ciebie nieprzeznaczonego. Co więcej, pozwoliłeś by słowa demona zatruły twoje myśli. Prawdziwy problem leży jednak znacznie głębiej.

Nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

– Pogwałciłeś najbardziej fundamentalną regułę Kodeksu Etyki, ostatnie z Dziesięciu Wskazań: „Nie bezcześć Trzech Klejnotów”. Uwierzyłeś w słowa demona i poddałeś w wątpliwość nauczanie Buddy. Z tego powodu muszę zapieczętować twój cantus.

Wydawało mi się, że słyszę westchnięcie Shuna. Najwyraźniej mój plan zadziałał. Z lekką niepewnością kontynuowałam.

– Spójrz raz jeszcze na płomienie.

Brak odpowiedzi.

– Spójrz na płomienie.

Wciąż milczał, lecz dostrzegłam w jego oczach odbijający się ogień.

– Twój cantus został zamknięty w tej figurce człowieka. Widzisz ją?

Tym razem do moich uszu dotarło znacznie głośniejsze westchnienie. Chwilę później usłyszałam twierdzącą odpowiedź Shuna.

– Wrzucam figurkę do ognia. Wszystko zostaje spalone. Każde z twoich doczesnych pragnień ulega spopieleniu a prochy powracają do przepastnej, nieokiełznanej ziemi. – Wzięłam głęboki oddech, po czym głośno wypowiedziałam pozostałą część formułki. – Spójrz! Figurka została zniszczona. Twój cantus jest teraz zapieczętowany.

Z gardła Shuna wydobył się zduszony odgłos. Jego oddech przyspieszył.

– Odrzuć swoje przyziemne pragnienia. Spal wszystko w oczyszczającym ogniu by osiągnąć nirwanę.

Nadszedł czas. Wstałam i przysunęłam się bliżej niego.

– Shunie Aonuma. W swoim oddaniu Buddzie odrzuciłeś swój cantus. Dzięki jego miłosierdziu otrzymasz teraz czystą mantrę, nową duszę, a twój cantus zostanie ci przywrócony.

Uderzyłam go w ramiona i wyszeptałam mu do ucha zapisane na karteczce słowa:

Oṃ amogha vairocana mahāmudrā maṇipadma jvāla pravarttaya hūṃ.

Później dowiedziałam się, że pochodzą one od samego Buddy; była to Mantra Światła. Samo to stanowiło jasną oznakę wrodzonych talentów Shuna. Od samych jego narodzin spodziewano się, że w przyszłości zostanie przywódcą.

Nagle ogień buchnął na potrójną wysokość i rozpełzł się niczym ośmiogłowy wąż, wirując i wijąc się w powietrzu w dziwnym tańcu.

Shun uśmiechał się, spoglądając w płomienie. Wszyscy ogromnie się ucieszyliśmy; zaczęliśmy klaskać, tupać i gwizdać. Naszej radości nie było końca przez długi czas. Shun odzyskał swój cantus.